



Joanna Maitland



Porwanie

Prolog

Londyn, środa, 22 czerwca 1815

Ross zacisnął zęby i ruszył do wyjścia. Kiedy przekroczy ten próg, będzie mógł znowu swobodnie oddychać.

- Kapitanie Graham! - W ukochanym głosie Julie zabrzmiała troska.

Ross odwrócił się. Powoli, by zapanować nad wyrazem twarzy.

- Niech pan nas nie opuszcza, sir - poprosiła cicho. - Tyle mamy jeszcze do opowiedzenia. Tyle należy się jeszcze panu podziękowań.

Uśmiechnął się, ale potrząsnął głową. Nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Na pewno ma pan o czym pogawędzić ze swymi przyjaciółmi.

Ruchem głowy wskazała panią domu i towarzyszącego jej mężczyznę, którzy stali w drugim końcu pokoju pogrążeni w tak intymnej rozmowie, że na policzki damy wypłynął lekki rumieniec.

Oto mężczyzna, którego miłość została odwzajemniona, pomyślał Ross. Szczęśliwy człowiek.

- A przede wszystkim, drogi przyjacielu - ciągnęła Julie z przejęciem - chciałabym, by pan poznał Pierre'a oraz zyskał jego podziw i szacunek, tak jak zdobył pan mój.

Mówiąc to, błędziła spojrzeniem ponad ramieniem Rossa, aż wreszcie utkwiała wzrok w jednym punkcie. Blask w jej oczach sprawił, że kapitan nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że dostrzegła swego ukochanego.

Ross znów poczuł przeszywający ból.

Zmobilizował wszystkie siły, by nie wypaść z roli dżentelmena i przyjaciela, którą odgrywał od kilku miesięcy. Jeszcze wczoraj łudził się, że jednak zdobędzie Julie. Teraz nadzieje prysły. Została mu tylko godność.

Skłonił się lekko.

- Do usług, *mademoiselle*. Jak zawsze.

Rozdział pierwszy

- Ty ladacznico!

Ta obelga była kroplą, która przepełniła czarę. Cassandra Elliott rzuciła się na przyrodniego brata, próbując odzyskać skrawki listu. Na próżno. James był zbyt wysoki i zbyt silny. Odepchnął ją jedną ręką, a drugą wrzucił podarte kartki do ognia. Cassandra przyglądała się bezradnie, jak skręcały się i czerniały w płomieniach.

- Nienawidzę cię! - Zaszlochała z gniewu i frustracji. - Nie masz prawa...

- Mam wszelkie prawa! Powiedz, jak on się nazywa.

- Nigdy! - Cassandra potrząsnęła głową. - Możesz... James brutalnie popchnął siostrę na dębowy zydel.

- Jestem głową rodziny i nie dopuszczę, byś ściągnęła na nas niesławę.

- Nie zrobiłam nic złego, dostałam tylko kilka wierszy miłosnych. Natomiast ty, Jamie Elliotcie...

- Co ja?

- Spędzasz wszystkie noce w lupanarach. To nie ja okrywam niesławą nazwisko Elliottów, tylko ty...

- Zapominasz się, siostrzo. Jestem mężczyzną i panem tych ziem!

Pochylił się nad nią groźnie, ze zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi pięściami.

Cassandra nie cofnęła się jednak. Nie da mu satysfakcji, że zdołał ją zastraszyć! Gdyby tylko nie była tak osamotniona...

- Nikt poza tobą nie ośmiela się krytykować mojego postępowania. Nie zamierzam więcej tego tolerować. Jesteś tylko kobietą i będziesz robić to, co ci każę. A jeśli nie... - Pochylił się jeszcze bardziej i jego twarz znalazła się zaledwie o cale od twarzy siostry. Wściekłość buchała z niego jak żar z otwartego paleniska. - Nie zapominaj, co spotkało twoją matkę.

Na wspomnienie matki serce Cassandry zabiło mocniej.

- Mogę cię wsadzić do Bedlam, jak mój ojciec twoją matkę. Nie ma tu żadnego mężczyzny, który mógłby stanąć w twojej obronie. Wszyscy wiedzą, że jesteś szaloną, upartą dziewczyną. Jeśli powiem, że zachowałeś się jak ladacznica, podobnie jak niegdyś twoja matka, to każdy mężczyzna - a jestem pewien, że i kobieta - pomoże mi wepchnąć cię za bramę Bedlam.

- Nie zrobisz tego...

- Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, dziewczyno. Pamiętaj, że jestem nieodrodnym synem swego ojca.

James złapał jedyną świecę i wypadł z małego saloniku, nie oglądając się za siebie.

Cassandra usłyszała, jak przekręca klucz w zamku.

Została uwięziona. Znowu. Zapewne sporo czasu upłynie, zanim James ochłonie z gniewu i pozwoli ją wypuścić. Jeśli będzie miała pecha, nie dostanie również nic do jedzenia.

W słabym blasku dogasającego ognia rozejrzała się po pokoju.

Musi mieć jakieś światło!

Nie mogła znieść myśli, że zostanie całkiem sama, w ciemnościach, w tym pustym, nieprzyjaznym pomieszczeniu. Uklękła przy palenisku, żeby rozdmuchać dogasający żar i zapalić od niego płamę łożu, który skapnął ze świecy, a wówczas zauważyła na podłodze, za nogą od krzesła, strzęp papieru. Jedyny dowód na to, że komuś na świecie zależało na Cassandrze Elliott.

Wyjęła strzęp spod krzesła i wygładziła. Przynajmniej ten jeden człowiek dbał o nią. Nie mógł jej jednak pomóc.

Niecierpliwie otarła łzę. Łzę gniewu. Bo przecież nie była tak słaba, by pozwolić przyrodniemu bratu doprowadzić się do płaczu!

Znów pieszczotliwie pogładziła papier. Tak mało zostało. Zaledwie kilka oderwanych słów z trzech wersów poematu Alasdaira. Uśmiechnęła się, kiedy po raz pierwszy przeczytała wiersze, będące wyrazem cielejącej miłości chłopca.

Alasdair miał dopiero piętnaście lat i idealizował Cassandrę. Siebie widział w roli rycerza, który zdobywa jej miłość dzięki bohaterskim czynom. Zupełna dziecinada! Gdyby jednak James dowiedział się, kim jest chłopiec, wybiłby mu z głowy wszelką myśl o bohaterskich czynach. Cassandra obiecała sobie nigdy nie zdradzić bratu jego nazwiska.

Znowu opadła na twarde, dębowy zydeł. Nie musiała mieć daru jasnowidzenia jak jej sławna imienniczka z Troi, by widzieć przyszłość. Ród Elliottów skazany był na zagładę. Jej ojciec i brat byli pijakami i hazardzistami. Żaden z nich nie troszczył się ani o ziemię, ani o poddanych. Trwonili majątek na zaspokajanie własnych zachcianek i traktowali kobiety gorzej niż bydło.

Gdyby tylko mogła stąd uciec! Ale dokąd? Nie miała ani pieniędzy, ani przyjaciół, którzy odważyliby się narazić jaśnie panu z Langrigg. Po tej stronie zatoki Solway nie miała szansy ukryć się przed Jamesem, bo wszyscy ją tu znali. Gdyby uciekła, James odnalazłby ją bez wątpienia. Mógł nawet spełnić swą groźbę i zamknąć ją w zakładzie dla obłąkanych.

Matka Cassandry zmarła w Bedlam, zamknięta pod fałszywym zarzutem cudzołóstwa. Czy była szalona? Początkowo zapewne nie, ale pod koniec życia z całą pewnością. Jej mąż, ojciec Cassandry, nigdy jej nie odwiedził, nie zapytał o nią, nie wymówił jej imienia. Przestała dla niego istnieć

James Elliott gotów był zrobić to samo z siostrą, gdyby próbowała opierać się jego planom wydania jej za mąż. Musiała chronić Alasdaira, ale jeśli James naprawdę dojdzie do wniosku, że straciła cnotę...

Cassandra zadrżała i ukryła twarz w dłoniach. Nie będzie płakać! Nie jest tchórzem! Będzie...

W zamku zazgrzytał klucz.

Cassandra szybko otarła twarz i zacisnęła zęby. Tak szybki powrót Jamesa nie wróżył nic dobrego. Pośpiesznie ukryła strzęp papieru w kieszeni.

- Panienko Cassie? - Morag służyła w rodzinie od czasów wczesnego dzieciństwa Cassandry. - Przyniosłam ci ciepłe mleko, kochanie, i parę placków.

I ser. Pan był okropnie na ciebie zagniewany, ale wyjechał do bur... wyjechał z domu. Wróci dopiero rano. - Morag postawiła na niskim stoliku cynowy talerz i kubek. - Zajadaj, panienko Cassie. Za parę minut wrócę po naczynia.

Nie dodała nic więcej. Nie musiała. Obie zdawały sobie sprawę z tego, że gdyby James dowiedział się, co zrobiła, wyrzuciłby Morag bez chwili wahania.

Cassandra jadła łączywie. Od wczesnego ranka nie miała nic w ustach. Ser był pyszny, a placki świeżo upieczone. Talerz opróżnił się aż nazbyt szybko. Cassandra polizała palec i przesunęła nim po talerzu, żeby zebrać okruszki. Nadal była głodna.

Ross podniósł wzrok w niebo; Zmierzając na północ, wykorzystywał dodatkowe godziny światła dziennego, by jak najszybciej oddalić się od Londynu, w którym zaznał tyle bólu. Tutaj, na szkockim pograniczu, przy sprzyjającej aurze, widno było niemal do północy, a przez większą część podróży nie mógł narzekać na warunki atmosferyczne.

Teraz jednak pogoda zaczynała się zmieniać, i to gwałtownie. Od zachodu na horyzoncie pojawiły się stada czarnych chmur, rwące naprzód jak rumaki, gotowe stratować wroga okutymi żelazem kopytami. W nocy należało spodziewać się burzy. W okolicy trudno było o schronienie dla samotnego wędrowca i jego wiernego konia.

Ross dotknął obcasem kasztanowatego boku Hery. Natychmiast przyspieszyła kroku. Zapewne wyczuła zbliżające się niebezpieczeństwo znacznie wcześniej, niż Ross zauważył, że dzieje się coś złego. Zaczął żałować, że uparł się dotrzeć do Annan, zamiast zatrzymać się na nocleg po angielskiej stronie granicy, gdzie czekało na niego wygodne łóżko i dobra strawa, a dla zwierzęcia przytulna stajnia i pełen żłób. Tutaj, w bezpośredniej bliskości Solway, nie było śladu siedzib ludzkich. Prawdopodobnie te tereny były zbyt niebezpieczne.

Skierował Herę w stronę zagajnika. Nie zamierzał wjeżdżać pomiędzy drzewa, tylko zatrzymać się na skraju lasu, który zapewni im przynajmniej

osłonę przed porywistym wiatrem, jeśli nie przed deszczem. Przynaglił klacz do szybszego biegu, choć pociemniało tak dalece, że taka prędkość stawała się ryzykowna.

- Już niedaleko, moja śliczna - mruknął cicho, kładąc dłoń na szyi zwierzęcia. Klacz zastrzygła uszami. Była wyraźnie zaniepokojona zbliżającą się burzą. Nawet głos pana nie zdołał jej uspokoić. - Już naprawdę blisko - powtórzył Ross.

Na skraju lasu koń zwolnił. Stare drzewa były zdeformowane przez stale szalejące w tych stronach wichury.

- Lepsze to niż nic - mruknął Ross do siebie i już chciał zejść na ziemię, gdy nagle niebo rozdarła potężna błyskawica, po której nastąpiło kilka sekund przejmującej ciszy.

Hera stuliła uszy i wytrzeszczyła oczy z przerażenia. Potem rozległ się przeciągły grzmot, podobny do warkotu watahy rozwścieczonych wilków. Hera chciała stanąć dęba, ale Ross zdołał nad nią zapanować. Uspokajająco poklepał ją po szyi, choć w tym momencie wcale nie myślał o swej wiernej klaczy. Skupiał całą uwagę na niewyraźnym dźwięku, który dobiegł jego uszu w krótkiej chwili ciszy pomiędzy błyskawicą a grzmotem.

Tak, to był tętent kopyt!

A więc nie tylko Ross znajdował się poza domem w tę burzliwą noc. Sądząc po odgłosach, tamten koń wpadł w panikę i poniósł.

Znów zaczął nasłuchiwać.

Tak, koń pędził w jego stronę i wcale nie zwalniał.

Zawrócił Hereę, przygotowując się do zatrzymania przerażonego zwierzęcia. Nie wziął jednak pod uwagę burzy. Właśnie w chwili, gdy koń mijał ich w szalonym galopie, niebo rozdarła kolejna błyskawica. Hera stanęła dęba i tym razem o mało nie zrzuciła swego pana. Ross stracił kilka sekund na opanowanie wystraszonej klaczy i kilka kolejnych na nakłonienie jej do pościgu za uciekającym w popłochu wierzchowcem.

Nie miał wyboru. W świetle błyskawicy dostrzegł śmiertelnie przerażonego ogiera i równie przerażoną dziewczynę z rozwianymi na wietrze długimi, czarnymi włosami. Diabli wiedzą, co ta mała robiła sama w nocy na tym odludziu. Może to złodziejka? Albo nawet wariatka? Tak czy inaczej, Ross nie mógł jej zostawić na łasce Solway i burzy.

- No, naprzód, Hero - szepnął, pochylając się nad szyją zdenerwowanej klaczy. - Ruszaj. Nie zawieź mnie.

Posłuszny jego prośbie koń odważnie rzucił się naprzód. Ross zdawał sobie sprawę, że miał mizerne szanse na dogonienie dziewczyny. Zyskała nad nim znaczną przewagę. Nie śmiał w takich warunkach zmuszać wierzchowca do szybszego biegu, ale mimo wszystko musiał spróbować. Niedaleko przed nimi znajdowała się groźna zatoka Solway ze swymi ruchomymi piaskami i niespodziewanymi przyływami. Jeżeli koń nie zatrzyma się z własnej woli, prawdopodobnie zabije i siebie, i jeźdźca.

Szansy Rossa były bliskie zeru, nie mógł jednak zrezygnować.

Następna oślepiająca błyskawica i niemal natychmiast grzmot. Tym razem Hera tylko niespokojnie zastrzygła uszami. Ross był niemal pewien, że widział dziewczynę daleko przed sobą. Zmusił zwierzę do szybszego biegu.

Znajdowali się w samym sercu burzy. Grzmoty niemal nie milkły. Pioruny biły w ziemię raz po raz. Lunał również gwałtowny, letni deszcz. Ubranie Rossa przemokło w jednej chwili, czuł, jak woda ścieka po siodle. Mocniej ścisnął w dłoniach śliskie wodze. Odległość między nim a dziewczyną zaczęła się zmniejszać, najwyraźniej jej koń tracił siły.

Kolejna błyskawica i ogłuszający grzmot - tym razem tuż nad jego głową. Ross wyraźnie zobaczył dziewczynę jakieś pięćdziesiąt jardów przed sobą. Jej koń stanął dęba z przerażenia, strącił ją na ziemię, po czym rzucił się do ucieczki, ciągnąc za sobą postać w bieli.

Ross zaklął pod nosem. Pewnie noga uwięzła jej w strzemieniu! Zwierzę będzie chyba musiało teraz zwolnić, przecież wlecze za sobą ciężar? Ale dziewczyna... Czy przeżyje?

Wydawało mu się, że upłynęły wieki, zanim się z nimi zrównał. Złapał konia za uzdę i stopniowo zatrzymał. Dopiero potem mógł zająć się niefortunnym jeźdźcem.

Zeskoczył z siodła i ukląkł przy leżącej na ziemi postaci. Dziewczyna nie poruszała się. Może nie żyła? Wsunął jej rękę pod plecy, by unieść ją z ziemi.

- Mogę się podnieść sama, dziękuję, sir - stanowczy głos dobył się spod splecionej gęstwiny mokrych włosów.

Ross cofnął się jak oparzony.

Dziewczyna usiadła i z triumfem uniosła rękę.

- A myślał, że sobie ze mną poradzi! - zawołała. - Niedoczekanie, nie pozwoliłam mu zwać!

W zaciśniętej prawej ręce trzymała wodze!

- Mógł cię zabić - wyjąkał osłupiały Ross. - Dlaczego nie pozwoliłaś mu uciec?

- Bo go potrzebuję - odparła po prostu, zerkając na Rossa zza oblepiających twarz włosów. - Bez niego nie mam co marzyć o ucieczce.

Ross pokręcił głową. Może jednak była szalona, choć nie wyglądała na wariatkę. Podniósł przemoczoną i drżącą z zimna dziewczynę i otulił własnym płaszczem.

- Nie musi pan tego robić, sir - oświadczyła ostro, próbując zrzucić płaszcz z ramion. - Niczego mi nie brakuje. Ja tylko...

- Bzdura - uciął. - Trzeba cię rozgrzać, bo się rozchorujesz. Powiedz, czy gdzieś w okolicy można znaleźć schronienie? Pewnie pochodzisz z tych stron?

- No... jest chatka Shony. Właśnie do niej zmierzałam, kiedy Lucyfer się spłoszył.

Ross parsknął śmiechem.

- Odpowiednie imię. Dlaczego wsiadłaś na narowistego konia? I to w takim stroju?

- Proszę nie zwracać się do mnie tak apodyktycznym tonem, sir. Dlaczego każdy mężczyzna próbuje mi dyktować, co mam robić? Jestem w pełni zdolna do podejmowania własnych decyzji.

Ross uniósł brew. Nie wyglądała na zdolną do podejmowania rozsądnych decyzji, choć bez wątplenia była damą. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Jej ociekający wodą strój trudno było uznać za przyzwoity. W dodatku dosiadała nieujeżdżonego konia. Ewidentnie ktoś powinien się nią zaopiekować.

- Nazywam się Ross Graham, milady, i jestem obcy w tych stronach. Jeśli pani pozwoli... - Wykonał lekki, niedbały ukłon, który wywołał na ustach dziewczyny uśmiezek. - ...odwiozę panią w bezpieczne miejsce. Może wskaże mi pani właściwy kierunek?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Mężczyzna, który w samym środku burzy nie zapomina o salonowych manierach, musi być niespełna rozumu.

Ross mocno zacisnął dłoń na jej ramieniu. Miał już dość uprzejmości. Z każdą chwilą byli coraz bardziej przemoczeni.

- Którędy? - rzucił ostro.

- No, dobrze. Proszę mi pomóc wsiąść na konia, to poprowadzę.

- Chyba nie zamierza pani jechać na tym wierzchowcu?

- Oczywiście, że tak! Będzie znacznie szybciej niż na piechotę. Zapewniam panu, że nie pozwolę mu uciec. Zresztą burza już mija. Będzie spokojniejszy.

I natychmiast ruszyła; Zdecydowanie zbyt szybko. Jeżeli nie znała terenu na pamięć, to każdy krok stanowił dla jej wierzchowca ryzyko.

- Uwaga! - krzyknął Ross do oddalających się pleców dziewczyny. - Zabijesz konia!

- Nie ja! - zawołała przez ramię.

Po dziesięciu minutach wskazała mu niewielki budynek, prawie ukryty za lekkim wzniesieniem.

Uświadomił sobie, że trochę się rozjaśniło. Burza chyba rzeczywiście słabła. Deszcz niemal ustał. Teraz widział dziewczynę całkiem wyraźnie. Jej biała koszula ostro odcinała się od czarnych boków konia. Zauważył, że miała gołe nogi i bose stopy!

Zeskoczyła z siodła przy chatce i zaczęła walić pięściami w drzwi. Otworzyły się w momencie, gdy Ross zsiadł z Hery i ruszył za dziewczyną.

Z domku wyszedł wysoki mężczyzna o czarnych brwiach i uśmiechnął się złowrogo.

- Tak myślałem - stwierdził lakonicznie i brutalnie popchnął dziewczynę ku jednemu z trzech kompanów, którzy wyłonili się z chatki za nim. - Zajmij się nią, a ja rozprawię się z tym jej gachem!

- Puść ją! - krzyknął Ross i instynktownie sięgnął po broń. Niestety, pistolety tkwiły spokojnie w olstrach przy siodle.

Pozostały mu tylko własne pięści.

Ciemny typ musiał to wyczuć. Nie wiadomo skąd w jego dłoni pojawił się pistolet wycelowany w serce Rossa.

- A więc to ty? Nadajesz się tylko do układania wierszyków, co? No to przekonamy się, jak ci się będzie rymowało wśród szczurów. Związać go, chłopcy.

Dwaj mężczyźni rzucili się na niego i po chwili ręce Rossa zostały mocno związane za plecami ostrym, konopnym sznurem, a w usta wepchnięto mu knebel z jakiejś brudnej szmaty.

- Wsadźcie go na jego konia - rozkazał przywódca.

Ross został wepchnięty na grzbiet Hery. Jazda z rękami skrepowanymi za plecami nie będzie bezpieczna, pomyślał.

- A dziewczka, jaśnie panie?

Łajdak wskazał głową dziewczynę, której przemoczona koszula przylgnęła do ciała, niczego już kryjąc. Najwyraźniej jednak nie zdawała sobie z tego sprawy. Ze wszystkich sił starała się oswobodzić z rąk prześladowców.

- Odwieźcie ją z Tamem do domu i zamknijcie. Dopilnuj, żeby tym razem ci nie uciekła, Tam.

W tym momencie mężczyzna zwany Tamem krzyknął z bólu i cofnął rękę, którą zakrywał usta dziewczyny.

- Ta zaraza mnie ugryzła!

Dziewczyna nie zwracała najmniejszej uwagi na Tama. Wpatrywała się z ogniem w oczach na ciemnego typu.

- Niech cię diabli porwą! - wrzasnęła z odrazą. - Będiesz się smażyć w piekle, Jamie Elliotcie!

- Może i tak, moja droga - odparł Elliott chłodno, wsiadając na konia. - Zobaczymy się później. Najpierw rozprawię się z twoim gachem, to pilniejsze.

Sięgnął po wodze Hery i ruszył szybkim truchtem, zmuszając oporną klacz Rossa, by podążyła za nim. Oddalili się już o dobrych dwadzieścia jardów, zanim Ned, gapiący się na nich z otwartymi ustami, wskoczył na drugiego konia i pogalopował za swym panem.

- Oj, panienko Cassie! Zmokłaś jak pies! Nie mogłaś chociaż zabrać płaszcza?

Cassandra uśmiechnęła się z wysiłkiem do służącej, która gderała, krzątając się przy niej z suchymi ręcznikami i ciepłą nocną koszulą.

- A i tak nie uciekłaś, słodziutka - westchnęła smutno Morag. - Teraz jaśnie pan będzie cię jeszcze bardziej pilnował. Jak zobaczył, że wyszłaś przez okno, to wpadł w taką furję, że o mało nie wyrzucił z tego okna Tama. Trzeba ci to było widzieć! Aż do kuchni dochodziły jego wrzaski. Jutro z samego rana Tam ma założyć kraty w twoim oknie. - Morag zaczęła wycierać mokre włosy Cassandry. - Ależ ty przemokłaś, dziecko! Zobaczysz, rozchorujesz się.

- On też tak powiedział - mruknęła Cassandra, wkładając ciepły szlafrok.

- Jaśnie pan tak powiedział? - zdumiała się Morag.

- Nie! - zawołała Cassandra z nutką rozbawienia w głosie. - Jamiego nie obchodzi, czy żyję, czy już umarłam. Chyba że koliduje to z jego planami.

- Ciii, dziecinko!

Morag położyła palec na ustach. W jej oczach pojawił się strach, ale nie próbowała oponować. Wszyscy domownicy wiedzieli, co Elliott sądził o swej przyrodniej siostrze i jak paskudnie ją traktował.

- Morag - poprosiła Cassandra z naciskiem. - Kiedy Jamie i jego ludzie wrócą do domu, za wszelką cenę postaraj się dowiedzieć, co z nim zrobili. Błagam cię.

- Z kim?

- Z człowiekiem, który próbował mnie ratować.

- Ratować? Zacznij od początku, panienko Cassie. Jestem kompletnie skołowana. Jak zesłaś po murze?

- Ja... wcale nie wyszłam przez okno, ale Jamie musi wierzyć, że tak zrobiłam.

- Ale przecież drzwi były zamknięte na klucz...

- Dotrzymasz tajemnicy, Morag? Służąca kiwnęła głową.

Cassandra wiedziała, że może jej zaufać.

- Wsunęłam pod drzwi papier i wypchnęłam klucz od środka. Spadł prosto na kartkę. Miałam szczęście. Bez trudu wciągnęłam go do pokoju przez szparę pod drzwiami.

Morag aż zachłysnęła się z podziwu.

- To stara sztuczka. Dziwię się, że Jamie na to nie wpadł. Może dał się oszukać, bo uciekając, przekręciłam klucz i zostawiłam go w zamku. Dla niepoznaki otworzyłam okno.

- Ale dlaczego wyszłaś z domu tylko w cieniutkiej koszuli? I na bosaka?

- Jamie zabrał mi wszystkie ubrania. Powiedział, że powinnam się przyzwyczajać do życia w nocnej koszuli, bo tak są ubierani pensjonariusze w Bedlam.

Cassandra przełknęła z trudem ślinę na wspomnienie tamtej przerażającej rozmowy. Teraz, po nieudanej ucieczce, jeszcze bardziej przerażającej.

- Nie zamknie cię w Bedlam - zapewniła Morag z przekonaniem. - Nikt nie uważa cię za obłąkaną. Zresztą nie mógłby cię wydać za mąż z domu wariatów.

- Ale on twierdzi, że jestem... ladacnicą. Jak... - Głos Cassie załamał się. Z trudem dokończyła szeptem: - Jak mama. Za to może mnie zamknąć.

- Gdyby to zrobił, miałby do czynienia z twoim ojcem chrzestnym, a takiego ryzyka nie podejmie.

Służąca kiwnęła głową zdecydowanie, jakby chciała przekonać samą siebie.

Morag ma rację, pomyślała Cassandra. Jej ojciec chrzestny, sir Angus Fergusson, zapewnił ją kiedyś, że zawsze będzie mogła na niego liczyć. Choć już wiele lat temu zerwał wszelkie kontakty z jej rodziną, czuła, że może mu ufać. Cieszył się równie wielkimi wpływami jak Jamie, może nawet większymi. Gdyby tylko zdołała do niego dotrzeć...

- Czy to do niego chciałaś uciec? - Cassie bez słowa skinęła głową, a wówczas rozburzona Morag wyrzuciła z siebie istny potok słów. - Chciałaś po ciemku przebyć Solway? Sama? Ty naprawdę oszalałaś, dziecinko!

- Nie było wcale tak ciemno. Przynajmniej zanim nie zaczęło zbierać się na burzę. Zamierzałam zabrać ze sobą Shonę. Tylko Lucyfer przestraszył się pioruna i poniósł. - Nie dodała, że spadła z siodła, ale nie wypuściła z ręki wodzy i koń włókł ją po ziemi.

- Mogłaś zostać wciągnięta przez ruchome piaski - szepnęła Morag ze zgrozą.

- Ale nie zostałam. Zatrzymał nas pewien pan. On... w ciemnościach niezbyt dobrze go widziałam, ale mówił jak dżentelmen.

Uśmiechnęła się do siebie. Zachowywał się również jak dżentelmen. Miał nienaganne maniery. Ross Graham. Człowiek, który dokonuje oficjalnej prezentacji w samym środku szalejącej burzy.

- Jaśnie pan z pewnością nie uwięziłby dżentelmena.

- Wątpię, by wiedział, z kim ma do czynienia, Morag. Związali go i zakneblowali, nie dając mu dojść do słowa. - Urwała i splotła dłonie. - Musisz się dowiedzieć, co z nim zrobili, Morag. Nawet jeśli... nawet jeśli go zabili.

Na chwilę zamknęła oczy, przerażona własnymi słowami. Chyba Jamie nie posunął się do morderstwa?

Rozdział drugi

Ross otworzył oczy. Nic nie widział, ale nie potrzebował wzroku, by zorientować się, gdzie jest. Wystarczyło powonienie. Śmierdziało wilgocią i zgnilizną. Do tego dołączył się odór więzionych tu przez długi czas ludzi i jeszcze jakaś woń, której nie potrafił na razie zidentyfikować.

Wyciągnął rękę i dotknął wilgotnej słomy, na której leżał. Pod nią była kamienna podłoga. Czuł w całym ciele przenikliwe zimno. Najwyraźniej do tego miejsca nigdy nie docierały promienie słoneczne. Usiadł. Zbyt szybko. Odezwał się tępy ból w tyle głowy.

A, tak. Teraz sobie przypomniał. Próbował uciec, kiedy dotarli na przedmieścia Dumfries i został zwalony z nóg ciosem w głowę. Zbadał palcami czaszkę, szukając krwi, ale wymacał jedynie niewielki guz. Cóż, w czasie wojny zdarzały mu się poważniejsze kontuzje. Nic mu nie będzie. Przynajmniej Elliott i jego nikczemni pomagierzy rozwiązali mu ręce.

Ross usiadł znacznie ostrożniej niż poprzednio i oparł obolałą głowę o mur. Gdzie był? Przypuszczalnie w Dumfries, w niewoli u człowieka nazwiskiem Elliott.

Palce Rossa natrafiły na wilgotną wełnę. Powinien był rozpoznać ten smród! Jego płaszcz. Szybko sprawdził zawartość kieszeni. Właściwie nie zdziwił się, że pieniądze zniknęły. Po chwili na jego ustach pojawił się ponury uśmieszek wymacał ukryty pod materiałem portfel. Nadal posiadał więc angielskie banknoty. Szkoda tylko, że stracił złote gwinee, za które mógłby wykupić się z lochu, do którego wtrącił go Elliott.

Elliott. A ta dziewczyna. Kim była? Niewątpliwie Elliott miał nad nią jakąś władzę...

Coś przemknęło po stopie Rossa. Szczur. Naturalnie. W takim miejscu musiały być szczury, ale na niektórych kwaterach w Hiszpanii bywało gorzej. Ross stoicko wzruszył ramionami. Uświadomił sobie boleśnie, że na razie powinien unikać gwałtowniejszych ruchów. Podniósł się na kolana. Potem, opierając się ręką o ścianę, powoli wstał. W tym momencie w drugim końcu pomieszczenia otworzyły się drzwi i pojawiła się latarnia. Światło oślepiło Rossa.

- A więc jednak nie jest pan martwy - rozległ się męski głos, który zaraz przeszedł w ochryply rechot.

Ross daremnie próbował dojrzeć rysy twarzy mężczyzny. Doszedł tylko do wniosku, że nie był to ani Elliott, ani jego pomagier. Ten człowiek był znacznie cięższy od nich obu.

- Przyniosłem obiad.

Ross usłyszał stukot metalowych talerzy stawianych na kamiennej podłodze i zrobił krok w stronę drzwi.

- Zostań na miejscu! - wrzasnął mężczyzna. - Mam pistolet i zastrzelę cię, jeśli się zbliżysz!

- Przecież wiesz, że nie mam broni - powiedział Ross spokojnie.

- Tak, ale jaśnie pan ostrzegał, że możesz być niebezpieczny.

- Gdzie jestem?

- A jak sądzisz? W więzieniu w Dumfries.

- A pod jakim zarzutem zostałem tu osadzony? Nie zrobiłem nic złego.
Strażnik zarechotał.

- Jaśnie pan jest innego zdania. Mówił, że będziesz wisieć.

- Do licha, człowieku! - Ross zrobił kolejny krok - Ja tylko...

- Stój w miejscu!

Ross zamarł w pół kroku. Strażnik pospiesznie wycofał się za próg i zamknął za sobą drzwi. Latarnia oświetliła zakratowane okienko w drzwiach.

- Niedługo dowiesz się, co cię czeka - powiedział mężczyzna i przekręcił klucz w zamku. - Bardzo niedługo.

Latarnia zachybotała się i znikła. Ross ponownie został sam. W ciemności.

Zbyt często znajdował się w opresji podczas wojny na Półwyspie Iberyjskim, żeby teraz tracić głowę. Przede wszystkim należało zabezpieczyć jedzenie przed szczurami. Znowu opadł na kolana i macając przed sobą drogę, natrafił wreszcie na brzeg metalowego talerza. Leżał na nim tylko spory kawał twardego chleba. Ross uśmiechnął się w mroku. Zupełnie jak w dawnych czasach.

Oderwał kęs chleba i zaczął go przeżuwać w zamyśleniu.

Musi wysłać wiadomość. Kto w Dumfries mógłby pomóc nieznanemu Anglikowi?

Postanowił przekupić strażnika jednym z ukrytych w płaszczu banknotów, by zaniósł list do burmistrza bądź miejscowego sędziego pokoju.

Cassandra spacerowała po swoim pokoju. Po swoim więzieniu. Na szczęście zwrócono jej odzież. Nareszcie była przyzwoicie ubrana i obuta, ale w oknach pojawiły się kraty.

Nie zamierzała jednak rozpaczać z tego powodu. Przy odrobinie szczęścia otworzy drzwi tym samym sposobem, co poprzednio. Najpierw jednak musiała

zdobyć informacje o człowieku, który próbował ją ratować. Co, u licha, zatrzymało Morag? Z pewnością do tej pory powinna już uzyskać jakieś wiadomości?

Przestała krążyć po pokoju na dźwięk przekreścanego w drzwiach klucza.

- Morag! - zawołała niecierpliwie na widok służącej, wnoszącej tacę z jedzeniem. - Dowiedziałaś się, co stało się z męż...?

Morag skrzywiła się ostrzegawczo i leciutko potrząsnęła głową.

- Próbowала, siostrzyczko - dobiegł z za pleców służącej sarkastyczny głos Jamesa. Brat Cassandry wszedł do pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi. - Tak bardzo się starała, że nawet Tam to zauważył. Zgodzisz się chyba, że nasz Tam do najbystrzejszych nie należy, ale skoro nie możesz doczekać się wieści o swoim gachu, postanowiłem sam dostarczyć ci informacji.

- On nie jest moim gachem! - zaprzeczyła gorąco Cassandra. - Wczoraj spotkałam go pierwszy raz w życiu!

James zignorował jej słowa.

- Wracaj do kuchni, kobieto! - rozkazał ostrym tonem. - I zapamiętaj sobie moje słowa. Nie wolno ci wchodzić do mojej siostry bez pozwolenia. Jeśli dowiem się, że złamałaś zakaz, to trafisz do przytułku dla nędzarzy, albo i do rynsztoka.

Morag aż się skuliła. Wybiegła, nie odważywszy się nawet spojrzeć na swoją panienkę. Cassandra straciła jedyne go sojusznika.

James rozwalił się w fotelu, z wysokim oparciem i wyciągnął długie nogi przed siebie. Wyglądał jak dżentelmen w chwili relaksu, ale James Elliott nie był dżentelmenem.

- A teraz, droga siostrzo, mamy pewne sprawy do omówienia. Po pierwsze, ta kobieta nie będzie ci więcej usługiwać. A przynajmniej nie ma prawa wchodzić tutaj sama. Tam dopilnuje, żebyś nie mogła zamienić słowa na osobności z nią ani z nikim innym, kto mógłby ci pomóc. Zrozum wreszcie, że

to ja jestem tutaj panem i moja wola musi być respektowana. Nikt nie będzie mnie obrażać. Nawet ty.

Tym razem Cassandra nie zaprotestowała. Nie spojrzała na brata. Z zaciśniętymi zębami wbijała wzrok w podłogę. Ostre słowa cisnęły się jej na usta, ale przełknęła je i milczała. Chwila satysfakcji nie była warta tygodni czy nawet miesięcy dotkliwych restrykcji.

- Zapomniałaś języka w gębie, siostrzyczko? - rzucił drwiąco James. Czekał przez kilka sekund na jej reakcję. Kiedy pojął, że Cassandra nie zamierza odpowiedzieć, ciągnął: - Chciałaś informacji o swym gachu. Pewnie myślisz, że go zabiłem, co? Trochę wiary, dziewczyno. Czyżbyś miała mnie za głupca, który zaryzykuje łamanie prawa, podczas gdy bez problemu może wykorzystać prawo, by przeprowadzić swoją wolę?

Cassandra podniosła oczy na brata. Przynajmniej Ross Graham był jeszcze żywy.

- Twój kochanek, droga siostrzo, przebywa w więzieniu w Dumfries, gdzie oczekuje na proces. Potem zostanie powieszony.

- Nie! - krzyknęła piskliwie Cassandra. - Nie! Nie zrobił nic złego!

James uniósł brwi i spojrzał na nią z szyderstwem.

- Nic? Nie powiedziałbym, moja droga. Uprowadzenie to poważne przestępstwo. Karane śmiercią. Jestem gotów zeznać pod przysięgą, że cię uprowadził. Nie wątpię, że wymiar sprawiedliwości zastosuje wobec twojego kochanka satysfakcjonującą mnie karę.

- Dopuściłbyś się krzywoprzysięstwa? W obliczu Boga? - wyszeptała Cassandra ze zgrozą.

- To nie będzie krzywoprzysięstwo. Złapałem was przecież razem. Mam na to trzech świadków, nie licząc starej Shony.

- Jamesie... proszę. - Dla siebie nigdy nie poniżyłaby się do błagania. Nie mogła jednak dopuścić, by powieszono niewinnego człowieka. - On nie jest moim kochankiem. Jeśli chcesz, mogę przysiąc na Biblię. Nigdy przedtem go

nie spotkałam. Byłam sama. - Wpadła w rozpacz na widok niedowierzania, malującego się na twarzy brata. - Przysięgam, że byłam sama. Zamierzałam przepłynąć się przez Solway. Chciałam dotrzeć do ojca chrzestnego...

James gwałtownie poderwał głowę. Spochmurniał na wspomnienie człowieka, w którym miał wroga, a który był na tyle potężny, by bez obaw stanąć w obronie jego siostry.

- Rozpętała się burza - dodała pośpiesznie Cassandra. - I Lucyfer poniósł. Gdy nie ten człowiek, który pojawił się nie wiadomo skąd, Lucyfer zrzuciłby się do zatoki. Może tak byłoby lepiej. Pozbyłbyś się wreszcie niepotrzebnego brzemienia.

James nie wyglądał na przekonanego. Puścił mimo uszu znakomitą większość jej wyjaśnień, odpowiedział tylko na ostatnie słowa.

- Rzeczywiście, jesteś dla mnie ciężarem. Dlatego ostrzegam cię. Niezameżna siostra stanowi pewną wartość, pod warunkiem jednak, że dba o swą reputację. - Wstał i nie przejmując się oburzeniem Cassandry, podniósł jej twarz do góry i przyjrzał się jej rysom. - Wyglądasz nawet nie najgorzej, kiedy nie robisz tej upartej miny. Mogę dostać za ciebie niezłą cenę.

- Chcesz mnie sprzedać? Jak... konia? - Do tej chwili Cassandra łudziła się nadzieją, że będzie miała coś do powiedzenia w kwestii wyboru męża. Bez sensu. Przecież znała brata.

- A jak sądziłaś, siostrzyczko? Że co zrobię? Nie zamierzam już długo cię tu trzymać. Zresztą po dzisiejszej eskapadzie powinienem szybko się ciebie pozbyć, zanim zaczną się plotki. Jeśli ludzie powiedzą: jaka matka, taka córka, stracisz jakąkolwiek wartość.

Cassandra zagryzła wargę. Mocno.

- Co? Nie masz mi nic do powiedzenia? Nie chcesz mnie błagać, żebym ci dał za męża przystojnego, młodego byczka?

Cassandra milczała.

- Cóż, widać nie. Może masz rację. Wiesz równie dobrze jak ja, że przystojni młodzieńcy raczej rzadko bywają tak tępi jak stare pryki. Mało prawdopodobne, żeby dostał ci się młody mąż. Czy przystojny. Prawdę mówiąc, mężczyzna, którego mam na myśli, jest... - Urwał na chwilę, czekając na pytania Cassandry. Ponieważ jednak milczała z uporem, ruszył do drzwi. - Jedno ci mogę obiecać - wycedził z furją, otwierając drzwi. - Twój mąż może być stary i zezowaty, ale będzie dżentelmenem. Muszę dbać o swoją reputację. Miłego dnia, siostrzyczko.

Odszedł, przekręcając klucz w zamku. Cassandra znowu została sama. Ogarnęło ją przerażenie. Musiała ratować Rossa Grahama! Potem będzie mogła zastanowić się nad własnym położeniem. W tej chwili ważniejsze jest życie tego człowieka. James zamierzał zamordować go w majestacie prawa. Musiała coś zrobić. Koniecznie! Ale co?

Ross nie spał dłużej niż kilka godzin. Owinął się płaszczem, ale i tak było mu przeraźliwie zimno. Obudził się wstrząsany dreszczami. Podjął więc energiczny marsz po niewielkiej celi, żeby się trochę rozgrzać. Trzy kroki, obrót, trzy kroki, obrót, trzy kroki...

Miał tu aż za wiele czasu na myślenie. To był prawdziwy problem. Żeby uniknąć wspomnień, starał się skoncentrować na Elliotcie i tej dziewczynie.

Na Jowisza, wpakowała go w nieliche tarapaty!

Próbował przypomnieć sobie, jak wyglądała. Na próżno. Widział jedynie plątaninę ociekających wodą czarnych włosów i oblepiającą ciało białą koszulę. Pamiętał własne osłupienie, gdy spostrzegł jej gołe nogi i bose stopy. Nie pamiętał natomiast rysów twarzy. Czy w ogóle widział jej twarz? Tylko niewyraźny zarys ogromnych, ciemnych oczu. Nic więcej. Nie był nawet pewien, czy poznałby ją, gdyby spotkali się ponownie.

Podjął decyzję. Gdy strażnik wróci, zaproponuje mu łapówkę w zamian za papier, atrament i obietnicę dostarczenia listu burmistrzowi. Ross dotknął

ukrytej kieszonki, zawierającej całe jego bogactwo. Dobrze mu służyła we Francji i w Hiszpanii, a potem ocaliła jego umiłowaną Julie z niejednej opresji.

Julie... Wspomnienia popłynęły rwącym strumieniem, jak woda po otwarciu śluzy. Miał przed oczami każdy rys jej ślicznej twarzy, brzoskwiniową cerę i złociste włosy. Kuszące krągłości ukryte pod prostymi, tanimi sukienkami i niski, nieco zachrypnięty głos. Olśniewający uśmiech i sposób, w jaki zagryzała pełną dolną wargę, gdy była zmartwiona lub zamyślona...

Dosyć! Wiedział już przecież doskonale, o kim Julie śniła na jawie. Z pewnością nie o Rossie Grahamie, choć próbowała mu wmówić, że jej podziw i szacunek dla niego mogą wkrótce zmienić się w miłość. Zrobiła z niego idiotę.

A może niewłaściwie rozumiał jej zachowanie? Niewykluczone, że pragnęła tylko okazać mu wdzięczność i przyjaźń. Jedynie on widział w tym to, co chciał zobaczyć?

Wrócił pamięcią do ich wspólnej, wielomiesięcznej eskapady, podczas której przebyli setki mil - od skromnego domku Julie na francuskim wybrzeżu Morza Śródziemnego, poprzez północną Francję, po rejs statkiem do Anglii. Przez całą drogę była cudownie odważna, nawet wówczas, gdy o mało nie wpadli w ręce żołnierzy Bonapartego. Czy dlatego nie dostrzegał jej fałszu? Flirtowała z Rossem bez osłonek - te niby mimowolne muśnięcia palcami, te prośby, by podał jej rękę na nierównościach terenu, te ufne spojrzenia, to zwilżanie językiem warg, jakby zapraszała go do pocałunku.

Do licha, wiedziała przecież, że nie mógł jej pocałować! Nie mógł, bo zobowiązał się wywieźć ją z ogarniętej wojną Francji i dostarczyć do krewnych w Anglii. Zdawała sobie sprawę, że był człowiekiem honoru. Przecież właśnie dlatego zgodziła się z nim uciec. Tylko czy musiała go w sobie rozkochać?

Zadrzał. Dwukrotnie - w Perpignan i w Santander - próbował się jej oświadczyć.

- Teraz nic nie mów, drogi przyjacielu - poprosiła za drugim razem. - Wkrótce znajdziemy się w Londynie. Wolni. Będziemy mogli otworzyć przed

sobą nasze serca. - A potem uśmiechnęła się tym swoim olśniewającym uśmiechem i zwilżyła językiem wargi.

Na samą myśl o tym ciało Rossa zareagowało! Głośno przeklął własną słabość. Słabość do kobiety, której nigdy nawet nie pocałował!

Okazał się kompletnym durniem, sądząc, że Julie, wnuczka markiza, pomyśli o małżeństwie z człowiekiem niezbyt majątnym i pozbawionym rodziny! Wmawiał sobie, że w Londynie, wolna i bezpieczna, wyzna wreszcie, że Ross zdobył jej serce.

Tak się jednak nie stało.

Dotarli do Londynu w tym wyjątkowym dniu, gdy całe miasto oszalało ze szczęścia na wieść o zwycięstwie pod Waterloo. Julie o mało nie wpadła pod przyozdobiony dębowymi liśćmi wóz pocztowy - jeden z tych, które rozjechały się ze stolicy do wszystkich zakątków kraju, by rozpowszechnić radosną nowinę w całym imperium. Ross, w ostatniej chwili porwał ją wówczas w ramiona i poczuł na piersi uderzenia jej serca, wciągnął w płuca woń jej skóry i włosów, trzymał ją tak blisko, jak o tym marzył... Przez kilka sekund. Jedyne przez kilka sekund. Potem wszystko się skończyło. Odsunęła się od niego.

Dotarli do Berkeley Square i zostali serdecznie powitani przez jej arystokratyczną angielską rodzinę. Tam, jeszcze przez sekundę, jedną krótką sekundę, uśmiechał się w przekonaniu, że już następnego dnia będzie mógł otworzyć przed nią serce.

A potem zobaczył oczy Julie utkwione w innym mężczyźnie. Jej twarz rozpromienioną miłością...

Nigdy nie kochała Rossa!

Czy zależało jej na nim? Z pewnością nie na tyle, by powiedzieć mu prawdę, by uprzedzić, że oddała już serce innemu. Powstrzymała go przed oświadczeniami, ale raczej po to, by oszczędzić sobie kłopotu, niż w obawie, że złamie mu serce. Bo odrzucając jego oświadczenia, musiałaby wyjaśnić dlaczego. Znacznie łatwiej było igrać z nim, jak z rybką złapaną na haczyk - trochę

popuścić, by po chwili znowu przyciągnąć. Utrzymywać głupią rybę w przekonaniu, że wcale nie jest oszukiwana, by do końca nie zorientowała się, że zostanie podana na talerzu.

Wściekły na siebie i na Julie, Ross uderzył zaciśniętą pięścią w ścianę. Na chwilę ból oderwał go od dręczących myśli. Potem jednak obłęd wrócił.

Czyżby rzuciła na mnie czar? - pytał się w duchu. Wydawało mu się, że jakaś żelazna pięść zacisnęła się na jego sercu i miażdży je w bezlitosnym uchwycie. Ból był potworny. Nie do wytrzymania.

- Nie! - krzyknął na głos.

Nie pozwolę, by jedna intrygantka zniszczyła mi całe życie. Zapomnę o niej. Nie jest warta takiego cierpienia. Już nigdy nie dopuszczę, by jakakolwiek kobieta rzuciła na mnie taki czar jak Julie. Jeżeli kiedykolwiek się ożenię, to z kobietą ciemnowłosą, brzydką... i niemą. Już nigdy nie dam się omotać urodzie czy czułym słówkom. Jeśli jeszcze raz natknę się na damę w opresji, błagającą mnie o pomoc, to odwrócę się od niej plecami i odjadę z pieśnią na ustach!

Nagle wybuchnął śmiechem, tym wspaniałym, głośnym, oczyszczającym śmiechem, który wypływa z głębi duszy i wypłukuje z niej gorycz i gniew. Kiedy wreszcie przestał się śmiać, czuł się całkiem pusty, ale wreszcie wolny.

Kochał Julie. Gotów był oddać dla niej życie, ale teraz miłość wypaliła się wreszcie i znowu był panem siebie.

Wyprostował się. Trzeba spojrzeć w przyszłość, mimo że chwilowo nie rysowała się ona w najjaśniejszych barwach. Przyjechał do Szkocji, by rozwikłać tajemnicę swojej rodziny i jeśli... i kiedy wydostanie się z tego lochu, tym właśnie się zajmie. Żeby nikt, choćby nie wiadomo jak wysoko urodzony, nie mógł już patrzeć na niego z góry. Pozostanie nadal oficerem i dżentelmenem, ale odnajdzie rodzinę, z której będzie mógł być dumny. Rozpocznie nowe życie.

Rozdział trzeci

Cassandra pochyliła się i zmeła w ustach przekleństwo. Przez dziurkę od klucza zobaczyła światło. James zabronił zostawiać klucz w zamku. Może podejrzewał, że Morag pomogła jej w ucieczce.

Musiała chronić Morag przed Jamesem. Nie mogła dopuścić, by służąca ryzykowała życie, a z miłości do Cassandry była gotowa to zrobić. James był człowiekiem okrutnym i mściwym. Z niekłamaną satysfakcją wygnałby Morag z domu i jeszcze dopilnował, aby na pewno cierpiała głód.

Musi istnieć inny sposób.

Ross Graham siedział w więzieniu w Dumfries. Miał stanąć przed sądem. Czyli przed burmistrzem. Burmistrz uwierzy w oskarżenia Elliotta. Nie będzie miał powodu, by kwestionować słowa pana tych ziem.

Chyba że zaprzeczy im panna Elliott.

Powinna skłonić burmistrza, by wezwał ją na świadka. Wyjaśni mu, co się stało. Może Morag...? Nie! To zbyt niebezpieczne. Nie wolno mieszać do tego Morag. Zresztą służąca nie miała pieniędzy na podróż do Dumfries.

Cassandra oparła łokcie na stole i zaczęła gryźć koniuszek gęsiego pióra. Mogła, oczywiście, napisać list, ale komu go powierzyć? Tylko jedna, jedyna Morag stała zawsze po jej stronie.

Podniosła rękę, by otrzeć spocone czoło. Pewnie przeziębila się podczas burzy. Było jej gorąco. Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę.

Ale zamiast płótna jej palce namacały strzęp papieru.

Alasdair! Piętnastolatek z sąsiedniego dworu, który wyobrażał sobie, że jest zakochany w Cassandrze, i zapewniał, że gotów jest służyć jej aż po kres swoich dni. Czy będzie gotów jej pomóc, narażając się na gniew jej groźnego brata?

Musiała zaryzykować. Jeśli Alasdair wpadnie, to najwyżej James spuści mu lanie, ale nawet James nie odważy się wyrządzić poważniejszej krzywdy szlachetnie urodzonemu chłopcu, w dodatku synowi najbliższego sąsiada.

Cassandra przełknęła z trudem ślinę. Gdyby tylko mogła uciec! Nie chciała narażać Alasdaira, ale miała do wyboru: zaryzykować manto Alasdaira albo powieszenie Rossa Grahama. Nie mogła dopuścić, by zginął jej wybawca.

Zaczęła spacerować po pokoju, planując kolejne posunięcia. Trzeba napisać list do burmistrza, a potem po prostu wyrzucić kartkę przez okno, oczywiście upewniwszy się, że Alasdair stoi na dole, ale jak go tu ściągnąć?

Cichutkie pukanie wyrwało ją z zamyślenia.

- Panienko Cassie! - Stłumiony szept był ledwo dosłyszalny. Morag musiała zbliżyć usta do dziurki od klucza.

Cassandra podbiegła do drzwi.

- Morag! - wyszeptała z naciskiem. - Bądź ostrożna! Jeśli mój brat cię usłyszy...

- Nic się nie bój! Pan je posiłek. Mówiłam Tamowi, że panienkę też trzeba nakarmić, ale...

- Nieważne, Morag. Posłuchaj. Chciałabym, żebyś przekazała wiadomość Alasdairowi. Powiedz, żeby tu przyszedł, jak tylko się ściemni. Zrzucę mu z okna list. Zaniesie go do burmistrza Scobiego. Powiedz mu, że to bardzo pilne. Zrobisz to? Proszę, Morag. Wiem, że...

- Ciii, dziecko. Naturalnie, że to zrobię. Powiem Tamowi, że wybieram się z wizytą do kucharki Alasdaira, by pożyczyć...

Nawet przez solidne drzwi Cassandra usłyszała ciężkie kroki na schodach. O Boże! Morag zostanie złapana! Wstrzymała oddech, czekając na wybuch gniewu Tama lub swojego brata.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Ciężkie kroki zbliżyły się do drzwi. To mógł być tylko Tam. James był młodszy i miał lżejszy chód. Cassandra odetchnęła z ulgą, Morag najwyraźniej uniknęła przyłapania. Spokojnie odeszła

od drzwi i usiadła na krześle, opierając głowę na dłoni. Oddychała głęboko, by uspokoić napięte nerwy. Powinna wyglądać potulnie.

Tam nie zapukał. Po prostu otworzył drzwi i wszedł do pokoju.

Cassandra w jednej chwili zmieniła decyzję, nie mogła tolerować takiego zachowania służącego brata. Wstała z krzesła i zmierzyła wchodzącego gniewnym spojrzeniem.

- Nie zapukałeś - zauważyła lodowato.

- Zdawało mi się, że coś słyszałem. Muszę pilnować, żeby...

- Akurat! Założę się, że wlałeś tu w nadziei, że zastaniesz mnie w niekompletnym stroju. Wiesz, co spotyka takich mężczyzn? Podglądacz Tom został oślepiiony, pamiętasz?

Tam zaczął gwałtownie zaprzeczać.

- Dość tych kłamstw! Powiem bratu o twoim niewybaczalnym postępku, jak tylko go zobaczę. On też nie uwierzy w twoje tłumaczenia. Doskonale wie, że od czasu założenia krat w oknach z tego pokoju nie ma ucieczki.

- Nie ma powodu mówić o tym jaśnie panu, panienko - wybełkotał poblady Tam. - I tak szedłem na górę, żeby zapytać, co panienka chce na obiad. Są świeżo upieczone placki. Morag zrobiła pyszną duszoną sarninę. Jeśli panienka ma apetyt, to...

- Chętnie coś zjem, bo nie miałam dziś nic w ustach. Od jutra bardziej przykładaj się do obowiązków. Powinieneś dbać, żebym była należycie odżywiana.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie Tam odwrócił spojrzenie.

- Zaraz przyniosę posiłek, panienko - zapewnił i wycofał się z pokoju.

Cassandra nasłuchiwała. Tam nie był jednak tak wystraszony, by zapomnieć o zamknięciu drzwi na klucz. A szkoda. Przynajmniej nie odważy się więcej wejść do jej pokoju bez pukania. Mogła już teraz spokojnie napisać list do burmistrza, bo była pewna, że zdąży go schować, gdyby służący ponownie wszedł na górę.

Usiadła przy stole i sięgnęła po pogryzione pióro. Umoczyła je w atramencie i zaczęła obmyślać jedno z najważniejszych pism w swoim życiu.

- Przyniosłem panu ubranie, sir.

Ross wstał i podszedł do drzwi, by wziąć surdut od strażnika. Na ciele pod koszulą czuł krzepiący dotyk pliku banknotów. Od tej pory miały tam pozostać.

- Moja pani zrobiła, co w jej mocy, ale nie wygląda jak nowy. Tyle że wysechł, ale...

- Nieważne - stwierdził Ross i natychmiast wsunął ręce w rękawy.

- Burmistrz pana wzywa, sir. Mam pana do niego zaprowadzić.

- Znakomicie - odparł Ross. - Rozumiem, że burmistrz jest władny wypuścić mnie z tej przeklętej nory?

- Tak... ale mam pana prowadzić ulicami miasta i... i ma pan iść w kajdankach.

- Co? - warknął Ross.

- Nie zaryzykuję prowadzenia pana bez kajdanek, sir. Gdyby pan uciekł...

- A dokąd miałbym uciec? Bez konia, bez ubrań... Jestem dżentelmenem. Dam panu słowo, że nie ucieknę ani w drodze do domu burmistrza, ani z powrotem. Czy to wystarczy?

- Nie chodzi tylko o mnie, sir. Mnie pana słowo wystarczy, ale jeśli chodzi o burmistrza...

Ross spokojnie pozapinał guziki surduta.

- Otrzymał pan ode mnie pewną... gratyfikację w zamian za dostarczenie listu burmistrzowi. Niewykluczone, że i w przyszłości będę prosił pana o tego rodzaju przysługi. Pod warunkiem jednak, że będzie mnie pan traktował jak dżentelmena.

- Dobrze, sir. Skoro dał mi pan słowo, obejdzie się bez kajdanek.

Dozorca odsunął się na bok, by wypuścić więźnia z maleńkiej celi i Ross z uśmiechem ruszył w stronę światła słonecznego, którego nie widział od dwóch dni.

- Dlaczego więzień nie jest skuty?

Burmistrz Scobie był niewysokim, korpulentnym mężczyzną, ale teraz wyprostował się jak struna, żeby przytłoczyć wielkością swojego urzędu potężnego strażnika.

- Dałem słowo honoru, że nie będę próbował ucieczki - odparł spokojnie Ross, zanim strażnik otworzył usta. - Proszę pozwolić, że się przedstawię: kapitan Ross Graham z Pięćdziesiątego Drugiego Regimentu Jego Królewskiej Mości. Posiadacz królewskiego patentu oficerskiego nie łamie słowa.

Burmistrz cofnął się pod nieustępliwym spojrzeniem Rossa o pół kroku.

- W rzeczy samej, sir. Racja, ale zarzuty wobec pana są... bardzo poważne. Bardzo poważne. Czytałem pana list, ale... nie widzę, w jaki sposób mógłbym... James Elliott będzie świadczył przeciw panu... Do rozprawy nie da się nic zrobić.

- A kiedy to nastąpi?

- No... trudno powiedzieć. To zależy od świadków i...

- To cywilizowany kraj, panie burmistrzu. Nie można wtrącić człowieka do więzienia i trzymać tak długo, aż zgnije. Zasada *habeas corpus* przewiduje, że musi mnie pan postawić przed sądem lub puścić wolno.

Burmistrz przechylił głowę na bok i uniósł brew.

- I tutaj się pan myli, sir. Zasada *habeas corpus* obowiązuje w prawie angielskim, ale nie po tej stronie granicy. Nawet dżentelmen musi pozostawać w więzieniu do czasu, gdy sąd raczy go wezwać przed swoje oblicze. - Przeniósł spojrzenie na strażnika, który zaszurał nogami, ale nic nie powiedział.

- W tak poważnej sprawie sądowi musi przewodniczyć szeryf. W najbliższym czasie nie oczekujemy jego przyjazdu do Dumfries.

Burmistrz Scobie najwyraźniej celowo mnożył przeszkody. Zapewne siedział w kieszeni u Elliotta. Ross musiał szybko znaleźć jakiś sposób, by się ratować.

- W tak poważnej sprawie, panie burmistrzu, dżentelmen ma prawo wezwać na pomoc przyjaciół. - Ross rozejrzał się po niewielkiej bibliotece i zauważył biurko, zarzucone papierami i pergaminami. - Zakładam, że pozwoli mi pan napisać list? - I nie czekając na odpowiedź, usiadł przy biurku, odsunął na bok sterty dokumentów i zaczął pisać na arkuszu drogiego papieru burmistrza.

- Ja... no... sir, nie może pan... - Burmistrz urwał, próbując wziąć się w garść.

Ross zignorował te słowa i nadal pospiesznie pisał.

- Sir, więźniowie nie mają prawa do korespondencji. To wbrew przepisom. Ja...

- Może pan przeczytać mój list przed wysłaniem, sir - odparł Ross spokojnie, nie podnosząc głowy.

Musiał wysłać bardzo krótką wiadomość. Jego przyjaciel, Max, członek Izby Lordów, z pewnością znał jakichś szkockich arystokratów. Burmistrz Scobie należał do ludzi, na których lord czy hrabia robią znacznie większe wrażenie niż zwyczajny właściciel ziemski.

- Poproszę o list.

Burmistrz szybko przebiegł pismo wzrokiem i spojrzał podejrzliwie na więźnia. Potem przeczytał jeszcze raz. Zmarszczył czoło. Zaczynał być z lekka zaniepokojony. Dobrze.

- Jak pan widzi, zwracam się do przyjaciela z prośbą, by znalazł jakieś wysoko postawione osoby, oczywiście Szkotów, które mogłyby za mnie zaręczyć. Ośmielę się zauważyć, że chyba nie może pan mieć nic przeciwko temu.

- Eee... nie. Chyba nie, ale jaką mam gwarancję, że pański przyjaciel... -
zajrzał ponownie do listu - ... pański przyjaciel, Max, zdoła nakłonić jakiegoś
szkockiego dżentelmena, by wyświadczył panu tę grzeczność?

Mówiąc to, spoglądał na Rossa z góry.

Ross wyjął mu z dłoni swój list i wstał z krzesła. Teraz to niewysoki
burmistrz musiał podnieść głowę, by patrzeć mu w twarz.

- Mogę polegać na przyjacielu - odparł z uśmiechem i odwrócił kartkę w
taki sposób, by burmistrz mógł przeczytać nazwisko adresata: Jego Wysokość
lord Penrose.

Burmistrz wytrzeszczył oczy i zaczął coś niewyraźnie bełkotać.

- Panie burmistrzu. - W drzwiach stanął leciwy służący. - Przybył
pułkownik. Mam go wprowadzić do bawialni czy też...

Burmistrz odwrócił się z wyraźną ulgą.

- Już idę.

I nie zaszczycał Rossa jednym spojrzeniem, wypadł do holu.

- Przykro mi, sir - odezwał się strażnik z przeproszającym uśmiechem. -
Wygląda na to, że muszę zabrać pana z powrotem.

Ross zmełł w ustach przekleństwo. Jeszcze nie został pokonany!
Burmistrz sądził dotychczas, że jego więzień jest nikim. Teraz przekonał się, że
Ross ma doskonale koneksje, więc zaczął łamać sobie głowę nad sposobem
załatwienia sprawy w taki sposób, by zadowolić i Rossa, i pana Elliotta. Chciał
zyskać na czasie, ale nic z tego!

Ross podbiegł do drzwi i otworzył je gwałtownym szarpnięciem.
Burmistrz kłaniał się właśnie wysokiemu, dystyngowanemu mężczyźnie, który
podawał służącemu kapelusz i laskę. Przybysz ewidentnie był dżentelmenem.

- Proszę o wybaczenie, pułkowniku, że kazałem panu czekać. - Burmistrz
skłonił się ponownie. - Kwestie prawne, rozumie pan, z tym... z tym więźniem. -
I lekceważąco machnął ręką w stronę Rossa, ale temu gestowi towarzyszyło

bardzo niepewne spojrzenie. - Zapraszam do salonu, mam wyjątkowo dobrą maderę...

- Jedną chwileczkę, panie burmistrzu - rzucił ostro pułkownik. - Może mi pan, z łaski swojej, wyjaśnić, co tu się dzieje? To przecież kapitan Graham! Żądam wyjaśnienia, co dżentelmen robi w pańskim więzieniu.

Ross był zdumiony, że pułkownik go zna. Skąd, na litość boską?

Pułkownik dostrzegł jego zakłopotanie i podszedł z wyciągniętą ręką.

- Nie pamięta mnie pan, kapitanie Graham. Pułkownik Anstruther. Zostałem odesłany do domu jako inwalida po bitwie pod Badajoz. Niezbyt często widywaliśmy się podczas walk na Półwyspie, ale ja pana zapamiętałem doskonale. Generał Picton wyrażał się o panu z najwyższym uznaniem.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, nie zwracając uwagi na burmistrza i strażnika.

- Dziękuję, sir - powiedział Ross. - Służba pod jego dowództwem była prawdziwym zaszczytem. Zapewne wie pan, że poległ pod Waterloo?

- Tak, słyszałem. Ta strata napawa mnie smutkiem. - Z żalem potrząsnął głową.

W zapadłą nagle ciszę wdarł się głos burmistrza.

- Pułkowniku - zaczął, występując naprzód. - Jeśli pan pozwoli...

- Jeszcze mi pan nie wyjaśnił, dlaczego ten dżentelmen został zatrzymany.

- Ja... eee... - Burmistrz gwałtownie poczerwieniał. - Cóż, panie pułkowniku, ciąży na nim bardzo poważne oskarżenie. O porwanie. Wniesione przez brata ofiary, Jamesa Elliotta. Nie zamykałbym kapitana, panie pułkowniku, ale pan Elliott nalegał. Twierdził, że oskarżony może próbować ucieczki, i że jest niebezpieczny. Dlatego - tu uśmiechnął się słabo do Rossa - nie mogę go wypuścić.

Ross całkowicie zignorował słowa burmistrza.

- Pułkowniku - powiedział z ogromną serdecznością. - Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem panu wdzięczny za wstawiennictwo. Bałem się już,

że w kraju, w którym nie obowiązuje zasada *habeas corpus*, zgniję po prostu w więzieniu i...

- Kto panu powiedział taką bzdurę?

- Ja, pułkowniku - oświadczył burmistrz. - Powstało nieporozumienie, bo w chwili, gdy pan przyszedł, miałem właśnie poinformować kapitana o istniejącym w szkockim prawie ekwiwalencie. Szkocja jest cywilizowanym krajem, kapitanie. Więźniowie nie gniją w lochach bez sądu, tak samo jak w Anglii.

- Jestem gotów zaręczyć za kapitana Grahama, panie burmistrzu, i liczę, że zostanie natychmiast zwolniony.

Burmistrz zawahał się. Nerwowo szurał nogami.

- James Elliott nalegał...

- James Elliott może być pewien, że kapitan Graham nie podejmie próby ucieczki. Może wątpi pan w moje słowo, burmistrzu?

Burmistrz dosłownie skulił się pod gniewnym wzrokiem pułkownika. Nerwowo pocierając o siebie dłonie, mały człowieczek przenosił wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Obaj byli twardzi jak skała.

- Muszę znać miejsce pobytu więźnia - wyjąkał bez przekonania.

- Najbliższych kilka tygodni zamierzam spędzić w swej rezydencji w Dumfries. Kapitan Graham będzie moim gościem. Może być pan pewien, że nie wywiozę go poza zasięg pańskiej jurysdykcji. - Pułkownik zwrócił się do Rossa z uśmiechem. - Jeśli jest pan gotów, sir, możemy od razu jechać do mnie. Sprawa, jaką miałem do burmistrza, może zaczekać. To nie było nic ważnego. - I nie przejmując się tym, że burmistrz o mało nie zachłysnął się powietrzem, odwrócił się ku drzwiom.

- Chwileczkę, pułkowniku - powiedział szybko Ross. - Naturalnie gotów jestem dać burmistrzowi słowo honoru, nie mogę jednak przyjąć pańskiej, tak wspaniałomyślnie zaoferowanej mi gościny. W tak opłakanym stanie nie śmiem przestąpić progu domu dżentelmena. Nie mam nawet ubrania na zmianę. -

Spojrzał na swe wilgotne spodnie i buty oraz na surdut, który zbiegł się przy suszeniu. Od trzech dni się nie mył, a leżał na cuchnącej, zbutwiałej słomie. Musiał śmierdzieć jak muł z ruchomych piasków Solway. - Panie burmistrzu, co się stało z moją klaczą i bagażem podróжным?

Burmistrz unikał wzroku Rossa.

- Pański koń znajduje się w stajni u George'a. Trzeba zapłacić za jego utrzymanie. O ile mi wiadomo, nie było żadnego bagażu. Tylko koń i płaszcz.

Pułkownik w ogóle nie zwrócił uwagi na tę wymianę zdań. Otworzył drzwi wejściowe, nie czekając, aż zrobi to służący.

- Proszę się tym nie przejmować, Graham. Pański bagaż z pewnością się znajdzie. Na razie proponuję gorącą kąpiel i dobry posiłek.

- Dobrze, sir, ale...

- Poślę jednego ze swoich ludzi do Elliotta, żeby dowiedział się, co się stało z pańskim bagażem - oświadczył pułkownik, gdy wyszli na ulicę. - To z pewnością jakaś pomyłka.

Ross kiwnął głową, bo wymagała tego grzeczność, ale doskonale wiedział, że nie doszło do żadnej pomyłki. Jaśnie pan Elliott zrobił wszystko co w jego mocy, by Ross zgnił w więzieniu.

Pułkownik Anstruther zlustrował gościa od stóp do głów.

- Całkiem nieźle, Graham - stwierdził w końcu. - Chociaż surdut nie leży może najlepiej...

Ross uśmiechnął się do gospodarza.

- Pański surdut może nie leży na mnie najlepiej, sir, ale proszę mi wierzyć, poczucie, że znów jestem czysty, to prawdziwe błogosławieństwo. Do końca życia pozostanę pańskim dłużnikiem: wyciągnął mnie pan z tamtej cuchnącej ciemnicy.

- Drobiazg! Każdy dżentelmen zrobiłby na moim miejscu to samo. Gdyby nie udało się odzyskać pańskiego bagażu, to jutro możemy wybrać się po zakupy. Dzisiaj już na to za późno.

Ross skinął głową. Przynajmniej nowych ubrań nie będzie zawdzięczał pułkownikowi. Pozostało mu dość pieniędzy, by je kupić.

- Jeszcze jedno, Graham... Muszę pana uprzedzić, że moja żona nie cieszy się dobrym zdrowiem. Jest... niepełnosprawna. Sam pan zobaczy. Proszę jednak, by traktował ją pan jak zupełnie zdrową osobę i nie zwracał uwagi na to, że nie może chodzić.

Ross zrobił krok do przodu i bezradnie wyciągnął rękę.

- Postaram się rozerwać trochę panią Anstruther, sir.

- Dziękuję. - Pułkownik milczał przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. Potem stwierdził cicho: - Kiedy wyjeżdżałem na Półwysep, nic nie wskazywało na to, że dzieje się z nią coś złego. Choroba zaczęła się podczas mojego pobytu za granicą, a żona nie wspomniała o niej w żadnym z listów. Gdy przed rokiem wróciłem do domu, ledwo ją poznałem. Śliczna dziewczyna, którą poślubiłem, zmieniła się w cień kobiety, ale jeszcze mogła chodzić. Od wiosny już nie może. Jest lekka jak piórko. Co wieczór, kiedy wnoszę ją do sypialni, czuję, że niknie w oczach.

Ross nie znalazł słów, by wyrazić swe współczucie.

Pułkownik potrząsnął głową, jakby chciał uwolnić się od melancholii.

- Mówię panu o tym tylko dlatego, żeby nie był pan zaskoczony jej widokiem. Żona zachowała dobry humor i nigdy się nie skarży. Zaraz się pan przekona, że jest głęboko zaabsorbowana projektem dokończenia naszego domu i ogrodu na wsi. Jeśli nie będzie pan uważał, to zaraz zostanie pan włączony do pomocy w realizacji jej planów. Niełatwo jej odmówić!

- Z przyjemnością będę służyć pani Anstruther swoją osobą, by choć po części zrewanżować się panu za uprzejmość. Proszę powiedzieć żonie, że jestem całkowicie do jej dyspozycji.

- Co za pochopna deklaracja z ust dżentelmena! - rozległ się kobiecy głos.

- Proszę tylko pomyśleć, o co mogłabym pana poprosić!

Pułkownik roześmiał się ze słów żony, która wjechała do pokoju w fotelu na kółkach.

- Pozwól, moja droga, że przedstawię ci kapitana Grahama. Próbowałem ostrzec go przed ryzykiem, jakie podejmuje.

- Ale on nic sobie nie robi z moich ostrzeżeń. Wygląda więc na to, że zdobyłaś kolejnego kawalera na swe usługi.

Ross podszedł i pochylił się nad chudziutką, kruchą dłonią kobiety. Żona pułkownika musiała być kiedyś prawdziwą pięknoscią. Teraz rzeczywiście wyglądała jak zjawą, jak cień kobiety, którą niegdyś była.

Następnego ranka na progu domu pułkownika Anstruthera stanął James Elliott. Z torbami Rossa w ręku.

Z chmurnie ściągniętymi brwiami skłonił się pułkownikowi w drzwiach biblioteki i powiedział:

- Przyjechałem zwrócić bagaże i pistolety kapitana Grahama i przeprosić za wniesienie przeciwko niemu oskarżenia.

Zarzuty zostały już wycofane, co może potwierdzić pan burmistrz. Przyznaję, że wyciągnąłem pochopne wnioski, gdyby pan jednak znał sytuację i moją siostrę... - Ukłonił się lekko Rossowi. - Siostra wyjaśniła mi, co się wydarzyło, kapitanie Graham, więc przyjechałem prosić pana o wybaczenie. Siostra prosiła również, bym przekazał panu jej podziękowania za uratowanie życia. Ma nadzieję, że nie odniósł pan poważniejszych obrażeń podczas pobytu w... w Dumfries.

Sprytne, pomyślał Ross. Wzmianka o siostrze miała uśmierzyć mój gniew. Jako dżentelmen nie mam wyboru, muszę przyjąć przeprosiny, szczególnie tu, w domu pułkownika Anstruthera.

- Proszę podziękować pannie Elliott za troskę. Może ją pan zapewnić, że nic mi nie jest, dzięki interwencji pana pułkownika. Widzę, że odnalazł pan moje zaginione torby. To wyjątkowe szczęście. Burmistrz twierdził, że zniknęły bez śladu.

- Zaszło nieporozumienie, sir. Pańskie bagaże były złożone w stajni, obok klaczy. Oczywiście, nie musi pan wносить żadnych opłat. Już się tym zająłem.

- Cóż za wspaniałomyślność, Elliott - zauważył pułkownik nieco opryskliwie.

- Mam nadzieję, że puści pan w niepamięć ten niefortunny epizod, sir. Siostra pragnie za moim pośrednictwem zaprosić obu panów, oczywiście wraz z panią Anstruther, do naszego domu, by mogła przeprosić pana osobiście.

Najwyraźniej siostra Elliotta nie otrzymała zgody na przyjazd do Dumfries. Wyglądało więc na to, że jeśli Ross chciał znowu zobaczyć dziewczynę i poznać jej tajemnicę, musiał się wybrać do Langrigg. Byłoby jednak szczytem nietaktu kazać niepełnosprawnej pani Anstruther jechać z wizytą do jakiegoś dzieciaka. Ross czekał na odpowiedź pułkownika.

- Jesteśmy wdzięczni pannie Elliott za zaproszenie. - Pauza, jaką w tym momencie zrobił pułkownik, była niezwykle znacząca. Ross zauważył, że Elliott zaczynał się czuć niewyraźnie. Pomimo wysokiego urodzenia nie był dżentelmenem, jednakże nawet on musiał się zorientować, że to on i jego siostra powinni pofatygować się do Anstrutherów, a nie odwrotnie. Pomijając wszelkie inne okoliczności, to oni byli winni przeprosiny. - Rozumie pan jednak, Elliott, że mojej żonie nie jest łatwo podróżować. Tym bardziej że, o ile pamiętam, drogi w pańskiej posiadłości są wyjątkowo marne. Prawda? - Pułkownik zaczekał, aż Elliott z niechęcią kiwnie głową, zanim podjął: - Niemniej, pan wraz z siostrą będziecie mile widzianymi gośćmi tutaj, u nas, w Dumfries. Wówczas panna Elliott będzie mogła osobiście przeprosić, kogo będzie chciała.

Rozdział czwarty

- Wysłałaś list do burmistrza - grzmiał James, wytrząsając pięściami nad Cassie. - Tym razem posunęłaś się za daleko, siostrzyczko. Ta kobieta, Morag, jeszcze dziś opuści moją ziemię. Żadna baba nie będzie lekceważyć moich poleceń w moim własnym domu.

- Morag nie miała z tym nic wspólnego - oświadczyła cicho Cassandra, zdając sobie sprawę, że nie wolno jej prowokować brata. Zmuszała się do zachowania spokoju, pomimo oburzenia jego niesprawiedliwością i okrucieństwem. Jeżeli będzie potulna, to brat może wysłucha, co ma do powiedzenia.

James nic nie odpowiedział. Jego mina świadczyła jednak, że był jak najdalej od tego, by dać wiarę jej zapewnieniom.

- Przecież wiesz, bracie, że Morag nie mogła Zawieźć listu do Dumfries. Jak miałyby tam dojechać? Jak zdołałyby utrzymać taką wyprawę w tajemnicy? Przecież jej nieobecność została natychmiast zauważona. Sam byś to spostrzegł.

Jej łopatologiczne wyjaśnienia najwyraźniej zaczynały odnosić skutek. Zaciśnięte pięści Jamesa nieco się rozluźniły. Na razie nie zdradzał chęci do krzyku. Na razie.

Cassandra podjęła pośpiesznie:

- Przecież to, że wysłałam list, wyszło nam w rezultacie na dobre. Nam obojgu - podkreśliła. - Bo oboje zdajemy sobie sprawę, że nie powinniśmy robić sobie wroga z pułkownika Anstruthera. On ma zbyt wpływowych znajomych w Dumfries i Edynburgu. - Spostrzegła, że jej argumenty wreszcie zaczynają trafiać do Jamesa. Brat myślał pewnie, że zemścił się na pozbawionym przyjaciół podróżnym, o którego nikt się nie upomni. Wędrowiec okazał się jednak człowiekiem, posiadającym zdolność zniszczenia Elliottów.

- Graham rzeczywiście jest dżentelmenem - przyznał w końcu James i gniewnie potrząsnął głową. - Wystarczył rzut oka na bieliznę z najlepszego płótna, ale nawet dżentelmen może zawisnąć na stryczku, Cassie, jeśli popełni poważną zbrodnię. - W jego słowach kryła się nienawiść.

Powinieneś wziąć te słowa do siebie! przemknęło przez głowę Cassie, ale natychmiast się zawstydzila tej myśli. Mogła nienawidzić przyrodniego brata i miała ku temu powody, ale nie życzyła mu przecież śmierci. Nie! Chciała tylko... uwolnić się od niego i zaznać w życiu choć odrobiny szczęścia.

- Nie było żadnej zbrodni - stwierdziła po prostu. - Nigdy wcześniej go nie spotkałam.

- Tak tylko mówisz.

- Jamie...

- Dość mydlenia oczu, dziewczyno. Powiedz, kto zaniósł list. Cassie zacisnęła usta w wąską linię i nie odezwała się.

- A więc to tak? Dobrze. Skoro nie mogę ukarać prawdziwego winowajcy, będę musiał obciążyć odpowiedzialnością kogo innego. - James zniżył głos do podłego syku. - Tak. Morag się nada. Odejdzie stąd jeszcze dzisiaj.

- Nie! Nie możesz tego zrobić. Morag nie zrobiła nic złego. Proszę, Jamie! Przysięgam, że to nie Morag.

- Nie wątpię, ale ktoś musi zostać ukarany, żeby dać przykład innym. - Przysunął twarz do twarzy siostry. - Chyba to rozumiesz?

- Więc ukaraj mnie. To ja napisałam ten list.

- O, zamierzam cię ukarać. Mam co do ciebie pewne plany, panno Cassandro Elliott.

Cassie starała się powstrzymać drzenie. Nie do końca jej się udało.

- Boisz się? To dobrze. Powinnaś się bać. Twoje pierwsze zadanie będzie całkiem proste. Masz dowiedzieć się wszystkiego o kapitanie Grahamie. Wiemy, że ma potężnych przyjaciół, ale o nim samym nie mamy żadnych informacji. Bez wątpienia z przyjemnością zapozna cię ze swą sytuacją mająt-

kową i perspektywami życiowymi. Kiedy was znalazłem, robiliście wrażenie bardzo zaprzyjaźnionych.

- Nie zrobię tego, nie jestem szpiegiem!

- Zrobisz dokładnie to, co ci każę, bo inaczej Morag zostanie wygnana. - Zmiażdżył ją wzrokiem. - Więc jak?

Cassie nie miała wyboru. Kiwnęła głową.

- I zapamiętaj sobie, siostrzyczko. Będę śledził każdy twój krok. Jeśli krzywo staniesz, Morag za to zapłaci. Piekielnie subtelne, co?

Piekielne bez wątpienia, pomyślała Cassie. Mając Morag za zakładniczkę, mógł zmusić siostrę do posłuszeństwa.

- Nie dowiem się niczego o kapitanie Grahamie, jeśli z nim nie porozmawiam. Wątpię, by chciał mieć do czynienia z człowiekiem, który wtrącił go do więzienia. Lub z jego siostrą.

James wybuchnął ochryłym śmiechem.

- Nie masz najlepszego zdania o moim rozsądku, Cassie. Poczyniłem już przygotowania. Nie rób takiej zdziwionej miny. Myślałaś, że nie potrafię złożyć oficjalnych przeprosin, jak przystało na dżentelmena? Nie doceniasz własnego brata! Jesteśmy zaproszeni do pułkownika Anstruthera i kapitana Grahama w dogodnym dla nas terminie, abyś mogła wyrazić ubolewanie z powodu zamieszania, jakie spowodowałaś.

- Ja...? Ubolew...?

- Prawdę mówiąc, nie sądzę, by oczekiwano od ciebie przeprosin - podjął z wyrazem triumfu na twarzy. - To będzie... taka kurtuazyjna wizyta, która umożliwi ci zaznajomienie się z panią Anstruther i kapitanem Grahamem. Nie może być nic łatwiejszego, prawda?

Lekko kiwnęła głową.

- I żeby wszystko było jasne: podczas tej wizyty masz przekonać dżentelmenów, obu - podkreślam - dżentelmenów, że jesteś prawdziwą damą, która stanowi idealny materiał na skromną i uczciwą żonę.

- Obu dżentelmenów? Pułkownik Anstruther już ma żonę!

- Wkrótce owdowieje. Jest bardzo bogaty.

Zatem taki był plan Jamesa! Cassandra poczuła, że ogarnia ją lodowate przerażenie. Wszyscy wiedzieli, że pułkownik był szczerze oddany żonie. Jak James mógł być tak gruboskórny?

Mógł.

- Co do kapitana Grahama, muszę dopiero zorientować się w jego sytuacji. Może być żonaty albo, co gorsza, biedny. Masz koniecznie wyjaśnić te dwie kwestie. Prawdziwa dama potrafi delikatnie zdobyć tego rodzaju informacje. Chyba nauczono cię czegoś w tej ekskluzywnej szkole w Edynburgu, za które ojciec tak drogo płacił?

Cassandra nic nie odpowiedziała. Nie było sensu. - I pamiętaj. Nie czułaś się najlepiej. Lekkie przeziębienie nie pozwoliło ci przez pewien czas opuszczać pokoju. - Uśmiechnął się złośliwie przy słowie: „opuszczać”. - Jeszcze nie całkiem doszłaś do siebie, ale zdobyłaś się na wielki wysiłek, by złożyć tę właśnie, szczególnie ważną wizytę. Czy wyraziłem się jasno?

James Elliott zajął krzesło wskazane mu przez pułkownika i zwrócił się ku pani Anstruther.

- Muszę uprzedzić, że moja siostra czuje się jeszcze dość słabo i będzie mogła pozostać najwyżej parę minut. - Elliott zerknął przez ramię w stronę drzwi i dodał, zniżając głos, z fałszywą troską: - Kilka dni temu wybrała się na konną przejażdżkę i złapała ją burza. Przeziębila się i przez jakiś czas nie opuszczała swego pokoju. Dzisiaj po raz pierwszy wyszła z domu.

Ross i pułkownik wymienili spojrzenia. Jak gładko Elliott kłamał!

- Biedne dziecko! - zawołała pani Anstruther. - Nie powinna składać wizyt, kiedy jest chora. Można było przecież przełożyć odwiedziny na później.

- To drobnostka, milady. Wie pani, jakie są młode dziewczyny. - Prychnął z lekceważeniem. - Rozczulają się nad sobą przy pierwszym kichnięciu. I... - Z

holu dobiegł odgłos zbliżających się kroków. Elliott wstał. - Oto i ona. Chodź, Cassandro. Nasi gospodarze czekają.

- Dzień dobry, pani Anstruther - powiedziała Cassie spokojnie i złożyła elegancki ukłon.

Ross wstrzymał oddech.

Jak, u licha, mógł się aż tak pomylić?!

Był przekonany, że panna Elliott ma piętnaście, najwyżej szesnaście lat; uznał ją za dziecko, w dodatku nieznośne dziecko. Tymczasem ta ciemnowłosa i ciemnooka piękność była znacznie starsza. Miał przed sobą całkowicie dorosłą kobietę, kobietę, o którą mężczyźni są gotowi staczać boje.

W kilka sekund Ross zrozumiał, co tak go poprzednio dziwiło. Pragnienie ucieczki panny Elliott i determinacja jej brata, by zatrzymać ją przy sobie. Podobno po to, by zapewnić jej bezpieczeństwo...

Cassandra musiała zmobilizować przed tym spotkaniem wszystkie siły. James przedstawił jej swe nieczne cele bez ogródek. Teraz, kiedy stanęła na progu salonu, czuła, że wszystkie oczy skierowały się na nią. Odetchnęła głęboko, weszła do pokoju i złożyła nienaganny ukłon gospodyni, starając się nie kierować wzroku na żadnego z panów, których brat upatrzył sobie na ewentualne ofiary.

- Dzień dobry, pani Anstruther - zwróciła się do pięknej, choć wyjątkowo kruchej kobiety, która siedziała w fotelu przy kominku, w którym zupełnie bez potrzeby rozpalono ogień.

James nie pomylił się w ocenie stanu zdrowia żony pułkownika. Bardzo się zmieniła od ich ostatniego spotkania. Była już wyraźnie naznaczona piętnem śmierci. Wydawała się istotą eteryczną, wręcz przezroczystą. Na poły anielską.

- Podejź tu, dziecko. Nie może pani ryzykować kolejnego przeziębienia.
- Umysł pani Anstruther, w przeciwieństwie do ciała, działał bez zarzutu. -
Proszę usiąść koło mnie, razem będziemy się wygrzewać przy ogniu. -

Uśmiechnęła się do męża, który stał zwrócony plecami do kominka. - Panowie, zróbcie miejsce rekonwalescentce.

Pułkownik Anstruther skłonił się lekko i przesunął, by zapewnić gościowi miejsce przy ogniu. Zdaniem Rossa w pokoju panował niemiłosierny upał, ale zorientował się już, że pułkownik gotów był uczynić wszystko, by w najmniejszych choćby stopniu złagodzić cierpienia żony. Łączyła ich prawdziwa miłość, jakiej każdy mógł im pozazdrościć, bo niewielu dane jest jej zaznać.

Obie panie gawędziły przyjacielsko, gdy do salonu została wniesiona taca z herbatą. Pani Anstruther uśmiechnęła się do męża, który stał w drugim końcu pokoju i prowadził znacznie mniej swobodną rozmowę z Elliottem i Rossem.

- Napije się pan z nami herbaty, panie Elliott? A może nie chce pan, jak mawia mój mąż, zamulać sobie żołądka takimi napojami?

Elliott pospiesznie podszedł do kominka i uprzejmie zapewnił, że napije się herbaty z największą przyjemnością. Zbyt przymilny, pomyślał Ross. Ten człowiek usilnie starał się przypodobać pani Anstruther. Zapewne po to, by wkraść się w łaski jej męża, ale dlaczego? Czego Elliott mógł potrzebować od pułkownika?

Panna Elliott pomagała gospodyni podawać herbatę. Najpierw wręczyła filiżankę bratu, potem pułkownikowi. Poruszała się z gracją gazeli. Miała cudowne, białe dłonie, niemal tak delikatne i przejrzyste jak porcelana, którą w nich trzymała.

- Z cukrem i śmietanką, kapitanie Graham?

Po raz pierwszy uśmiechnęła się tylko do niego. Ze zdumieniem odkrył, że jej ciemne oczy wcale nie były brązowe, a granatowe jak letnie niebo o zmierzchu. Zupełnie niepodobne od piwnych, chytrych oczu brata. Urodzili się jednak z innych matek, co tłumaczyło brak podobieństwa. Ross odczuł z tego powodu dziwne zadowolenie.

- Kapitanie Graham?

- Przepraszam, panno Elliott. Bez cukru. Dziękuję. Kiwnęła głową i przyniosła mu filiżankę.

- Mężczyźni rzadko pijają gorzką herbatę.

- Podczas wojny na Półwyspie dostarczano nam i herbatę, i cukier, ale nie zawsze równocześnie. Trzeba się było przystosować.

- Jestem zaskoczona, że oficerowie na wojnie w ogóle pijali herbatę - odparła Cassie z przekorą. W jej oczach tańczyły iskierki humoru. Miała naprawdę przepiękne oczy.

- Nie wszyscy jesteśmy nieodwołalnie straceni dla świata, pani. Kilku oficerom towarzyszyły żony, więc my, kawalerowie, nie staliśmy się kompletnymi barbarzyńcami.

Odpowiedział na jej uśmiech szczerym uśmiechem. W przeciwieństwie do brata intryganta, panna Elliott była prawdziwą damą. Jak to możliwe, że pędziła konno nad Solway w samej koszuli?

Ross postanowił rozwikłać tę tajemnicę. Było oczywiste, że potrzebowała ochrony przed bratem, ale dlaczego?

- Nagle zobaczyłam oczami duszy, jak siedzi pan przy obozowym ognisku z bronią w jednej i filiżanką herbaty w drugiej ręce!

Ross wybuchnął śmiechem i z radością stwierdził, że dziewczyna mu zawtórowała. Miała bardzo białe zęby i szerokie wargi stworzone do pocałunków.

Boże, skąd mu przyszła do głowy taka myśl? Przez chwilę był zaskoczony własną reakcją.

- Chyba powinnam zamknąć ten temat, kapitanie Graham, zanim zaczniesz pan sobie przypominać, co jeszcze robili samotni oficerowie. Proszę powiedzieć, co pana sprowadza na północ? Pański akcent wskazuje, że pochodzi pan ze Szkocji, ale dlaczego przyjechał pan do Dumfries, a nie do, dajmy na to, Edynburga? Czy pańska rodzina wywodzi się z tych stron?

- Nie jestem pewien.

Zaklął w duchu. Jak mogło mu się wyrwać takie stwierdzenie? Zdumienie panny Elliott było wyraźne i w pełni zrozumiałe. Wszyscy lekceważyli człowieka pozbawionego rodziny. Teraz powinien opowiedzieć o swych szkockich korzeniach, choć sam nie wiedział o nich zbyt wiele i spróbować uniknąć dalszych pytań.

Dziewczyna nie okazała jednak prostackiej ciekawości, jakiej się spodziewał.

- To... ee... niespotykane. Zamierza pan dłużej pozostać w naszych stronach?

Ross był coraz bardziej pod wrażeniem. Panna Elliott to niewątpliwie prawdziwa dama. Dostrzegła jego zakłopotanie i zgrabnie pomogła mu wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Gdzie się podziała tamta zuchwała dziewczyna?

- Muszę przyznać, że jestem oczarowany dziwnym pięknem tych stron - odparł uprzejmie. - A ponieważ nie wzywają mnie do Londynu żadne pilne sprawy, zapewne zabawię tu przez pewien czas. Czy w pobliżu znajdują się jakieś budowle warte obejrzenia?

- Owszem. Nawet sporo, a jeszcze więcej wspaniałych ogrodów. Klimat jest tu dość łagodny, szczególnie w zachodniej części. Niektórzy z okolicznych właścicieli ziemskich sprowadzają fascynujące, egzotyczne rośliny ze wszystkich stron świata. Ogromnie im zazdroszczę. - Uśmiechnęła się do Rossa. - Wiem, że zazdrość to grzech, ale nie potrafię się jej pozbyć. Ilekroć wchodzę do takiego ogrodu, marzę, by te cuda należały do mnie.

- Więc ma pani coś wspólnego z panią Anstruther. Nie grzechy, oczywiście - dodał pośpiesznie. - Ale miłość do roślin i ogrodów. O ile wiem, pułkownik wraz z żoną zakłada właśnie ogród przy ich wiejskim domu w Castle Douglas.

- Posiadłość pułkownika to coś więcej niż dom, sir - zawołała Cassie z błyskiem w oku. - To starożytny zamek wzniesiony jako twierdza w okresie inwazji Anglików. W okolicy znajdzie pan sporo takich bastionów, przeważnie

w ruinie. Rodzina pułkownika restaurowała swój zamek przez wiele lat, podczas gdy większość rodów wołała wznosić nowe siedziby. Zapewne nowoczesne domy są wygodniejsze, brakuje im jednak magii, jaką mają w sobie stare mury.

- Widzę, że mam do czynienia z miłośniczką gotyckich romansów?

Zarumieniała się. Uroczo.

- Błagam o wybaczenie - powiedział pośpiesznie. - To była impertynencja. Proszę mi poradzić, co powinienem zwiedzić podczas pobytu w Dumfries.

Cassandra wymieniła kilka nazw, kończąc na Sweetheart Abbey.

- Opactwo zostało wzniesione przez lady Devorguille na pamiątkę jej ukochanego męża. Jego serce jest tam pochowane. To dziwne, trochę przygnębiające miejsce, ale wyjątkowo piękne. Nietrudno tam dotrzeć, wystarczy jeden dzień. Podróżuje pan sam?

- W tej chwili tak, ale za kilka dni ma do mnie dołączyć mój służący, Fraser. - Ross zniżył głos, by lady Anstruther go nie usłyszała. - Będzie, naturalnie, wstrząśnięty tym, co się stało. Zacznie powtarzać do znudzenia, że gdybym pozwolił mu ze sobą jechać, na co nalegał, to nie zostałbym wtrącony do więzienia.

Dziewczyna wyprostowała się. Ross nie był pewien, czy chciała w ten sposób zdystansować się wobec własnego niestosownego zachowania, czy też wyrażała dezaprobatę dla jego zbyt bliskich kontaktów ze służącym.

- Powie mu pan, co się wydarzyło?

W jej głosie pojawiła się wyniosła nuta. Najwyraźniej jej zdaniem dżentelmen nie powinien zwierzać się lokajowi. Jak mało wiedziała! Fraser dzielił z nim wszelkie trudy wojny na Półwyspie i Ross ufał mu bezgranicznie. Bez wahania powierzyłby mu swoje życie.

- Nieważne, czy mu powiem, czy nie. - Ross z uśmiechem przypomniał sobie niezliczone sytuacje, gdy próbował coś przed ordynansem ukryć. - Fraser potrafi zdobywać informacje jak nikt. Byłby znakomitym szpiegiem.

Akurat to stwierdzenie nie do końca odpowiadało prawdzie, ponieważ Fraser był doskonałym szpiegiem. Armia brytyjska, choć nie w pełni zdawała sobie z tego sprawę, winna była Fraserowi bezgraniczną wdzięczność.

- To... bardzo interesujące.

Stracił ją. Wzięła od niego pustą filiżankę i wróciła do pani Anstruther. Jej brat wstał z krzesła i skłonił się gospodyni. Rodzeństwo najwyraźniej zbierało się do wyjścia.

- Było mi bardzo miło, panno Elliott - mówiła pani Anstruther. - Mam nadzieję, że wkrótce zobaczę państwa znowu i będziemy mogły dokończyć z panną Elliott rozmowę. Rzadko się zdarza u młodej dziewczyny taka pasja do roślin i ogrodów. Łączą nas wspólne zainteresowania.

Panna Elliott uśmiechnęła się ciepło.

- Nie mam pani wiedzy, ale to, co mówiła pani o swym nowym ogrodzie, było doprawdy fascynujące.

- Marzę, by znów tam pojechać, ale w mojej obecnej sytuacji... - wskazała swe bezużyteczne nogi - ...pewnie nieprędko będzie to możliwe. Jeśli jednak ma pani ochotę obejrzeć dom i ogród, proszę się nie krępować. Moi ogrodnicy będą uszczęśliwieni, że jest na świecie jeszcze jedna dama, dzielająca moją namiętność. - Kątem oka spojrzała na Rossa. - Może kapitan Graham zechciałby pani towarzyszyć? I brat, oczywiście.

James Elliott chrząknął i rzucił siostrze ostrzegawcze spojrzenie.

- Cassandra jest niezmiernie wdzięczna za zaproszenie, pani. Nie możemy jednak myśleć o takiej eskapadzie, dopóki całkowicie nie wydobrzeje.

Co za zakłamaną drań! - pomyślał Ross. Coś dziwnego działo się w rodzinie Elliottów. Coś bardzo, bardzo dziwnego.

Przy wymianie pożegnalnych uprzejmości James zachowywał się prawie jak dżentelmen. Dobre maniere jednak nikogo nie zmyliły. Ross obserwował go z rosnącą odrazą. Ten człowiek to diabeł wcielony!

Ross odprowadził pannę Elliott do powozu i pomógł jej wsiąść. Odwróciła się, z jedną stopą już na schodku karety i spojrzała na niego. Ich oczy nie mogły się od siebie oderwać.

- Dziękuję, kapitanie Graham - powiedziała cicho i lekko uściśnęła jego palce. - Jestem panu szczerze zobowiązana.

- Do usług - odparł, oddając uścisk dłoni. Przesłanie zostało wysłane i przyjęte bez słowa. Ross nie miał cienia wątpliwości, że panna Elliott zrozumiała jego intencje.

Już raz zaryzykował życie, by ją ratować. Gotów był zrobić to ponownie.

Rozdział piąty

Cassie wcisnęła się w kąt powozu, by James nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy. Musiała podczas drogi uporządkować myśli i podjąć decyzję, jak odpowiedzieć na jego żądania. Bo niewątpliwie zaraz po przyjeździe do domu wystąpi z żądaniami.

Jamie zawsze bez zwłoki przystępował do realizacji swoich pragnień. Teraz chciał ją bogato wydać za mąż, i to jak najszybciej. Zapewne wierzyciele coraz mocniej go naciskali. James spodziewał się prawdopodobnie, że będzie mógł przy każdej sposobności pożyczać pieniądze od przyszłego szwagra, ale w takim razie powinien poszukać człowieka nie tylko bogatego, ale i słabego. Pułkownik Anstruther bez wątpienia nie był słaby.

Podobnie jak kapitan Graham. On również był żołnierzem w każdym calu - silnym, zdecydowanym, zaradnym i rycerskim wobec dam. Szkoda, że go tak chłodno potraktowała, gdy wspomniał o więzieniu, ale była straszliwie zażenowana, że zamierzał opowiedzieć służącemu o jej niestosownym zachowaniu. Wystarczy, że jeden lokaj usłyszy o jej ucieczce, a dowie się o tym

całe Dumfries. Zniknie ta resztkę szacunku, jakim cieszyła się jeszcze w społeczeństwie. Nie będzie mogła nawet pojechać z wizytą do pani Anstruther.

Tym samym nie zobaczy więcej kapitana Grahama.

Na tę myśl zrobiło jej się słabo. Była mu wdzięczna, ale nie tylko. Od opuszczenia szkoły w Edynburgu rzadko spotykała dżentelmenów, a jeśli już to starych albo obleśnych albo i jedno, i drugie. Kapitan Graham nie był ani stary, ani obleśny. Był młody, energiczny i nawet przystojny, jeśli komuś nie przeszkadzały jego rude włosy. Miał całkiem ładne niebieskie oczy, w których błyszczały iskierki humoru. Był dobry dla zwariowanej dziewczyny nad brzegiem zatoki Solway. Ogólnie rzecz biorąc, każda kobieta chciałaby poznać takiego dżentelmena.

Ale czy był bogaty? Tego nie wiedziała. Zdobyła informację - zresztą całkiem zręcznie - że był kawalerem, ale nie miała pojęcia o jego sytuacji materialnej. Może gdyby nie potraktowała go tak chłodno, okazałby się bardziej wylewny? Ale nie. Nie chciał mówić o swojej rodzinie. Wymknęło mu się, że niewiele o niej wie. Wyraźnie czuł się zażenowany, że zdradził choć tyle. Nie zdołałaby wyciągnąć od niego więcej zwierzeń.

James nie przyjmie takiego tłumaczenia. Co mu powiedzieć? Może zmyślić coś na podstawie tego, co kapitan powiedział? Rusz głową, Cassie, myśl! Wiedziała, że służył w Pięćdziesiątym Drugim Pułku, i doszła do wniosku, że musiał kupić patent oficerski w tak znakomitym regimencie. To znaczyło, że posiadał pewien majątek. Na początek dobre i to. Jego rodzina wywodziła się ze Szkocji i wyjechała niezbyt dawno, sądząc po akcencie kapitana, a jednak Cassie zupełnie nic o niej nie wiedziała. Wychowywał się w Anglii. Utrzymanie domu w Anglii na poziomie godnym dżentelmena musiało sporo kosztować. Postanowiła powiedzieć Jamesowi, że kapitan jest człowiekiem zamożnym.

A gdyby brat chciał dowiedzieć się czegoś więcej o sytuacji materialnej Rossa Grahama, Cassie poprosi go, by pozwolił jej spotkać się z nim ponownie,

w bardziej sprzyjających okolicznościach. Tak! Zasugeruje bratu, by skorzystali z zaproszenia pani Anstruther i obejrzeni jej nowy ogród w towarzystwie kapitana Grahama. Podczas takiej wycieczki nadarzyłaby się niejedna okazja, by go dokładniej wypytać. Chyba nawet James dostrzeże sens tego planu?

- Jeszcze nigdy pańska garderoba nie znajdowała się w tak opłakanym stanie. Nawet w czasie wojny na Półwyspie.

Ross westchnął i podjął próbę ugłaskania rozdrażnionego Frasera.

- Służba pułkownika robiła, co w jej mocy, ale nie na wiele się to zdało, bo Elliott i jego ludzie obchodzili się z moimi rzeczami w sposób wyjątkowo nieogłędny.

- A buty? Czy służba pułkownika nie wie o istnieniu czernidła do butów?

- Żadne czernidło nie uratuje butów, które najpierw weszły w kontakt ze słonym mułem Solway, a potem przesiąkły wilgocią w cuchnącym lochu. To cud, że całkiem nie zgniły. Wątpię, czy nawet ty zdołasz je uratować, Fraser.

Ross uniósł brew i spojrzał pytająco na swego ordynansa i wieloletniego druha.

- No cóż, może jednak nie są bezpowrotnie stracone. Zobaczę, co da się z nimi zrobić.

Ross uśmiechnął się. Właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał.

- Ale to trochę potrwa, a pan nie może przecież chodzić boso. Przywiozłem ze sobą inną parę. I kilka koszul. Wyobrażam sobie, jak pan wyglądał w surducie pułkownika!

- Pewnie niezbyt elegancko, ale zapewniam cię, Fraser, że o niebo lepiej niż w chwili, gdy spotkałem pułkownika. Nie miałem rękawiczek i kapelusza, mój surdut i spodnie były przemoczone i poplamione, a w dodatku cuchnąłem więzienną stęchlizną. Aż dziw, że nieszczęsny pułkownik nie zasłonił sobie nosa chusteczką. - Roześmiał się cicho na to wspomnienie. - Muszę mu zapisać na plus, że tego nie zrobił, ale zauważyłem, iż zaczął się tak ustawiać, by wiatr wiał od niego do mnie, a nie odwrotnie.

Fraser nadaremnie starał się ukryć rozbawienie. Zebrał porzucaną odzież Rossa i ruszył do wyjścia.

- Jeśli nie będę już dziś panu potrzebny, sir, to sprawdzę, co z tego da się jeszcze uratować.

- Dziękuję, Fraser. - Zaczekał, aż ordynans znajdzie się w połowie drogi do drzwi, i dodał cicho: - A kiedy znajdziesz wolną chwilę, będę miał dla ciebie zadanie specjalne. Myślę, że ci się spodoba.

Fraser odwrócił się. Wystarczyło jedno spojrzenie na Rossa, by domyślił się, o czym pan mówi. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jak w dawnych, dobrych czasach, kapitanie. Czego mam się dla pana dowiedzieć?

Ross przywołał go z powrotem do siebie.

- Chcę, żebyś zdobył dla mnie informacje o pewnej młodej damie i jej rodzinie. Ona...

- Chodzi o tę damę, którą uratował pan nad brzegiem Solway?

Ross jęknął i uderzył się w czoło w udawaną rozpacz.

- Czy jest coś, o czym byś nie wiedział, Fraser? Nic nikomu nie mówimy z pułkownikiem na ten temat, żeby nie powstały plotki, a tymczasem ty, w pięć minut po przyjeździe, już wiesz o wszystkim? Pewnie nie ma sensu cię pytać, jak się o tym dowiedziałeś?

- Nie, sir - odparł Fraser lakonicznie.

Ross zdawał sobie sprawę, że nie zdoła niczego wyciągnąć z Frasera, choćby nie wiem jak mocno naciskał. Westchnął teatralnie i potrząsnął głową.

- Dobrze. Nie będę pytał. Na wypadek gdybyś jeszcze o tym nie wiedział, ta dama nazywa się Cassandra Elliott i mieszka z przyrodnim bratem Jamesem w Langrigg House, położonym pomiędzy Dumfries a Annan. Chcę wiedzieć, co James knuje i dlaczego jego siostra gotowa była podjąć ryzyko przeprawy przez Solway. Muszę.

- Musi pan dowiedzieć się wszystkiego o rodzinie Elliottów. Dobrze, sir. Proszę zostawić to mnie.

- Dziękuję, Fraser. Wiem, że mogę na tobie polegać - powiedział. - I zapomnij o tych zniszczonych butach. Skoncentruj się na Elliottach.

Fraser wyprężył się na baczność, ale i tak nie dorównywał wzrostem Rossowi.

- Wypełniam wszystkie swoje obowiązki, sir - oznajmił z godnością. - A należą do nich również buty.

- Zabierz najlepsze suknie. Kosztowały mnie majątek i pora, by ta inwestycja zaczęła się zwracać, Cassie. Masz choć w przybliżeniu wyglądać jak dama. Wbij sobie do głowy, że musisz zrobić na panach odpowiednie wrażenie.

- Dlaczego zmieniłeś zdanie, Jamesie? Podczas wizyty u Anstrutherów jasno dałeś do zrozumienia, że nie skorzystam z zaproszenia.

- To było, zanim pułkownik Anstruther postanowił wystąpić w roli gospodarza. Skoro wybiera się z nami, to będziesz miała okazję roztoczyć przed nim swe... kobiece wdzięki.

Cassie poczuła, że się rumieni. Znowu! Dlaczego brat musiał być tak obcesowy? I dlaczego ona nigdy nie potrafiła ukryć zakłopotania?

- Bądź gotowa, wyruszamy jutro rano. Powóz podjedzie o dziewiątej. Nie spóźnij się. Morag usiądzie z tobą w powozie, ja będę jechał konno obok. Powinniśmy dotrzeć na miejsce jeszcze przed południem.

- Ja też chcę pojechać konno! Nie cierpię siedzieć zamknięta w karecie. Jest lato.

- Nie życzę sobie, byś jechała wierzchem.

Cassie stłumiła cisnące jej się na usta gniewne „Dlaczego?” i powiedziała spokojnie:

- Szkoda. Pułkownik Anstruther to żołnierz. Z pewnością oczekuje, że jego żona będzie jeździła konno. Miałabym okazję udowodnić mu, że jestem dobrą amazonką.

Cassie pogratulowała sobie w duchu. To dobra taktyka, zmusi Jamesa do zastanowienia. Kapitan Graham byłby z niej dumny!

James zaczął coś mówić, ale Cassie nie usłyszała z jego przemowy ani słowa. Dlaczego, u licha, pomyślała o kapitanie Grahamie? Dlaczego zależało jej na jego opinii?

- Cassie! Słuchaj, co do ciebie mówię! Przestań bujać w obłokach, w końcu to twoje małżeństwo planujemy!

Cassie zachowała milczenie.

- Pamiętaj, że celem tej wizyty jest wywarcie wrażenia na obu dżentelmenach, ale głównym obiektem twojego zainteresowania ma być pułkownik Anstruther. Jest znacznie bardziej pożądanym celem. Kapitan Graham może nawet okazać się bezwartościowy. Na razie wiemy tylko, że jest oficerem i dżentelmenem. A jeśli wegetuje na skromnej pensyjce?

- Czyżby twoi szpiedzy nie zdołali zdobyć o nim żadnych informacji? - zapytała słodziutko Cassie.

- Nie. Ordynans kapitana to wyjątkowy milczek. Nawet po tym, jak wlał w siebie hektolitry piwa. Na mój koszt!

- O! Kogo na niego nasłałeś?

- Nie Tama ani Neda, jeśli o to ci chodzi. Kapitan mógł powiedzieć sługusowi, że to oni wrzucili go do lochu. Nie, posłałem Malcolma.

- Aha. - Cassie kiwnęła głową ze zrozumieniem. Malcolm był służącym, lokajem i powiernikiem Jamesa, bezgranicznie oddanym swemu panu. - Skoro Malcolmowi nie udało się niczego dowiedzieć, to znaczy, że istotnie nie da się z niego niczego wycisnąć.

- Nie, a więc pozostaje nam tylko jedna droga. Bezpośrednia. Ty, Cassie, musisz dowiedzieć się prawdy o kapitanie Grahamie. Od niego samego bądź od pułkownika Anstruthera. Masz na to całą wycieczkę.

- Czyli dwa dni i jedną noc! To za krótko, takie pytania wymagają pewnej zażyłości.

Na ustach Jamesa pojawił się chytry uśmieszek.

- Na pewno znajdziesz jakiś sposób, Cassie. Dla ułatwienia każe przywiązać twojego konia za powozem. Zabierz najładniejszy strój do konnej jazdy. Podczas wspólnej przejażdżki z panami nadarzy się niejedna okazja do konwersacji. Wykorzystaj to.

W piękny, słoneczny, letni dzień powóz Cassie zwolnił przed wjazdem w bramę zamku Anstruthera. Jadąc długą aleją wjazdową, dziewczyna przyglądała się z zachwytem ogromnej, wręcz monstrualnej budowli, której mury zostały wzniesione z solidnych głazów.

- Jak to dobrze, że zapakowałam ciepłe rzeczy - stwierdziła Morag. - Będziemy tu marznąć na śmierć.

- Pułkownik zadba o nasze wygody - odparła Cassie bez przekonania.

- Nie uwierzę, dopóki się nie przekonam. Lepiej by zrobił, gdyby postawił porządny, nowy dom. Ciepły i suchy. Tu na pewno będą przeciągi.

- Och, Morag, przestań marudzić. Przyjechaliśmy tu, żeby podziwiać ogród, a nie dom. Większość czasu będziemy spędzać na dworze, gdzie nie ma przeciągów. Pogoda jest piękna. Dlaczego miałybyśmy marznąć?

- Bo to Galloway, panienko Cassie, pogoda zmienia się dosłownie z godziny na godzinę. Pamiętasz, jak cię złapała tamta burza?

- Przestań, Morag - mruknęła zaczerwieniona Cassie, bardziej zagniewana na siebie niż na służącą. - Nie przypominaj mi już tego. Nigdy. Zrozumiałaś?

- Jasne.

- Zaraz po przyjeździe do domu przynieś mi gorącą wodę i naszykuj świeżą suknię. Nie mogę usiąść do lunchu w stroju podróżnym.

Ross przyjechał z pułkownikiem do wiejskiej rezydencji Anstrutherów poprzedniego dnia, więc spędził w Castle Douglas już całą dobę. Był zdumiony wygodą wewnątrz tej starej budowli. Otrzymał ogromną sypialnię, której okna wychodziły na ogród. Zadziwiająco ciepłą, jeśli wziąć pod uwagę grubość

starożytnych murów. W ogromnym palenisku cały czas buzował ogień, więc z pieca promieniowało przyjemne ciepło.

Fraser również wyglądał na zadowolonego, a jego było znacznie trudniej zadowolić. Doniósł, że pułkownik dba o służbę, zapewnia jej dobre wyżywienie i zakwaterowanie.

Co więcej, w kuchni ulokowanej w suterenie zainstalował najnowocześniejsze urządzenia, więc kucharki mogły zadowolić nawet jego wybredne podniebienie. W tej kwestii Ross w pełni się zgadzał ze swym ordynansem. Wczorajszy obiad, choć zasiedli do niego tylko we dwóch z pułkownikiem, został tak skomponowany, że nie powstydzilby się go dom żadnego angielskiego arystokraty.

- Panna Elliott właśnie przybyła, sir - zaanonsował Fraser, wchodząc do pokoju. - Przyjechała powozem wraz z pokojówką, ale z tyłu jest uwiązany potężny ogier. Może to ten, o którym pan opowiadał?

- Wygląda mi na Lucyfera. - Ross poczuł dziwnie ciepło w sercu na myśl o przejażdżkach z panną Elliott. Wyobrażał sobie, że w stroju do konnej jazdy dziewczyna prezentuje się znakomicie. Szczególnie na tak okazałym wierzchowcu.

- Pułkownik prosi pana na lunch. Spodziewa się, że panna Elliott i jej brat zaraz zejdą.

- Dziękuję, sir. Wszystko było wyśmienite - oświadczył Ross, mierząc wzrokiem pozostałe na półmiskach resztki zimnego mięsiwa i owoców. Panna Elliott, jak zauważył, odznaczała się zdrowym apetytem.

- Czy te wszystkie wspaniałości pochodzą z pana majątku, sir?

- W istocie, panno Elliott. Wkrótce po naszym ślubie żona kazała wydzielić w ogrodzie tereny pod uprawy. Brzoskwinie i winogrona jeszcze nie dojrzały, ale jesteśmy z nich bardzo dumni. Nawet tu, w Szkocji, przy odpowiednich staraniach można uprawiać owoce południowe.

- Tak mi przykro, że pani Anstruther nie czuła się na siłach, by być tu dziś z nami.

- Mnie również - odparł pułkownik z żalem. - Ale zależało jej na tym, by nie została pani pozbawiona przewodnika, więc, choć nie bardzo się na tym znam, postaram się jak najlepiej spełniać rolę gospodarza. Co chciałaby pani teraz robić? Proponuję przechadzkę po ogrodzie i oglądanie upraw albo, jeśli pani woli, przejażdżkę konną i zwiedzanie majątku. Widziałem, że przywiozła pani ze sobą wspaniałego konia. Choć nie przyszłoby mi do głowy, że to wierzchowiec dla damy. Cassie starała się powstrzymać uśmiech.

- Lucyfer bywa nieco niesforny, szczególnie gdy jest wypoczęty, ale zapewniam, panie pułkowniku, że nie ma w nim cienia złośliwości.

- Lucyfer? - Pułkownik aż sapnął z wrażenia.

- Tak... to imię wydawało mi się bardzo odpowiednie, kiedy do nas przybył. Był wówczas naprawdę trudny.

- Rozumiem. - Pułkownik i Ross wymienili spojrzenia, ale nie podjęli tej kwestii. - Więc jaka jest pani decyzja?

- Przy tak pięknej pogodzie wolałabym chyba przejażdżkę. Kto wie, jak będzie jutro, a ogród można podziwiać nawet w deszczu.

- To bardzo rozsądne.

- Po drodze będzie mi pan mógł opowiedzieć o swych planach, panie pułkowniku. Będę lepiej przygotowana do jutrzejszego zwiedzania.

- Zrobię, co w mojej mocy. Pojedzie pan z nami, Graham?

- Oczywiście, sir, z największą przyjemnością. Wczoraj miałem okazję obejrzeć tylko niewielką część posiadłości i jestem ogromnie ciekaw usprawnień, jakie pan zaprowadził w majątku. Jak rozumiem, sprawdza pan radykalne, nowe pomysły?

- Nie tak bardzo radykalne, ale myślę, że warto wypróbować tutaj rozwiązania, które Coke z powodzeniem wprowadził w Norfolk, by nieco ulżyć biedzie miejscowej ludności.

- Naprawdę tak tu źle? - zapytał Ross.

- Niestety tak. Zgadza się pan ze mną, Elliott?

James Elliott, który przez cały posiłek nie odezwał się ani słowem, odparł cierpko:

- Mogą mieć pretensje tylko do siebie. Gdyby porządnie zakasali rękawy, mieliby co do garnka włożyć.

Siostra zaczerwieniła się ze wstydu. Zapadło niezręczne milczenie. Przerwała je panna Elliott, wstając z wdziękiem od stołu.

- Panowie pozwolą, że pójdę się przebrać. Wrócę za dwadzieścia minut. Jamesie, bądź tak dobry i każ przygotować dla mnie Lucyfera.

Elliott, który wstał wraz ze wszystkimi, wymamrotał coś niewyraźnie pod nosem.

Ross otworzył drzwi przed Cassandrą.

- Dwadzieścia minut, panno Elliott? - zapytał, unosząc brwi z niedowierzaniem. - Chyba jest pani jeszcze bardziej niezwykłą kobietą, niż sądziłem.

Uśmiechnęła się.

- Proszę się przygotować na niespodzianki, kapitanie Graham.

I rzeczywiście zgotowała mu niespodziankę.

Dokładnie siedemnaście minut później po szerokich schodach zeszła do ogromnego holu zjawiskowo piękna dziewczyna w niebieskim stroju do konnej jazdy. Ross odniósł nagle dziwaczne wrażenie, że rozwieszona na ścianach broń saltuje na powitanie wielkiej damy.

Było to wrażenie jak najbardziej stosowne, gdyż amazonka panny Elliott miała surowy, niemal militarny krój, z czarnym szamerowaniem z przodu. Ross uznał, że ten strój bardziej podkreśla ponętą sylwetkę dziewczyny niż najgłębiej nawet wycięta suknia balowa. Głowę Cassandry zdobił twarzowy kapelusik w stylu wojskowego czako. Każdy mężczyzna spoglądałby na nią z przyjemnością.

Nagle coś go zaniepokoiło. Czyba się nie zadurzył w pannie Elliott? Nie, to niemożliwe! Przecież wyrzekł się wszelkich bliższych kontaktów z kobietami. Wystarczy, że Julie go oszukała, nie zamierzał ponownie narażać się na śmieszność. I to z powodu osóбки pokroju Cassandry Elliott. Wszystko wskazywało na to, że wywodziła się z rodu łajdaków i złodziei.

Niewykluczone zresztą, że jego własna rodzina nie była wiele lepsza. Przecież w tej części Szkocji roiło się od rozbójników i przemytników. Dopóki Ross nie dowie się, kim był jego ojciec, będzie miał wątpliwości, czy ma prawo uważać się za dżentelmena. Powinien...

- I co, kapitanie Graham? - triumfalny głos dziewczyny przywrócił go do rzeczywistości.

- Przyznaję, że jestem pod wrażeniem. Konie już czekają. Pozwoli pani, że pomogę jej wsiąść?

Rozdział szósty

Jak cudownie być znowu w siodle! Cassie nie dosiadała Lucyfera od tamtej pamiętnej nocy, gdy próbowała uciec na drugi brzeg Solway. Poklepała z czułością lśniąca, brązową szyję zwierzęcia.

- Dobry chłopiec, dobry - wyszeptała mu do ucha. - Udowodnisz wszystkim, że potrafisz się przykładowo zachowywać, prawda? Dobry chłopiec.

- Najwyraźniej łączy panią z tym koniem silna więź uczuciowa, panno Elliott - zauważył pułkownik, którego wierzchowiec zrównał się z Lucyferem.

- Moim zdaniem, Lucyfer postanowił udowodnić, że jest znakomitym wierzchowcem dla damy, choć może na to nie wygląda.

- Z prawdziwą przyjemnością przyznaję się do błędu, panno Elliott. Rzeczywiście wygląda na grzecznego i dobrze ułożonego.

Cassie nic nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko i jeszcze raz poklepała Lucyfera po szyi.

Przez kolejnych dwadzieścia minut Cassie wchłonęła sporo informacji o bydłe, owcach i wapnowaniu pól marglem z muszli. Spostrzegła również coś, o czym pułkownik nie wspomniał. Chaty wyrobników były czyste, schludne i zadbane. Jeżeli w Galloway panowała dotkliwa nędza, to niewątpliwie nie w posiadłościach pułkownika Anstruthera. Napotkani robotnicy pozdrawiali ich z uśmiechem. Tu nie było ponurego milczenia, jakim witano Jamesa Elliota, gdy przejeżdżał obok swych dzierżawców. Nie zdarzało się to często, bo James Elliott tylko sporadycznie fatygował się wizytowaniem swych dóbr, ale dawało się zauważyć.

Dotarli wreszcie na wzgórze, na którego zboczu leżały gromadki tłustych owiec. W dole, na dnie doliny, połyskiwało w słońcu jezioro.

- Jak tu pięknie! - zawołała Cassie. - Ma pan naprawdę zachwycające posiadłości, pułkowniku. Czy da się pan namówić na galop w dół tego wzgórza? Jestem pewna, że Lucyfer nie jest jedynym koniem, który marzy o rozprostowaniu nóg.

Dama nie powinna zapewne zdradzać upodobania do galopu, bo to niezbyt kobiece, ale nie było świadków jej występkę. James i kapitan Graham zostali daleko w tyle. Zerknęła na nich przez ramię. Jechali w kamiennym milczeniu.

Cassie uśmiechnęła się do pułkownika.

- Myślę, że pędzenie po polach w towarzystwie pięknej damy to raczej rozrywka dla młodego mężczyzny - odparł ze smutnym uśmiechem. Nie czekając na odpowiedź Cassie, odwrócił się w siodle i zawołał do kapitana Grahama, by do nich dołączył. - Kapitanie, panna Elliott wyraziła chęć pogalopowania w dół wzgórza, aż do jeziora. Może pan byłby tak dobry i dotrzymał jej towarzystwa?

Ojej! James wpadnie w furie! Uzna, że to pomysł Cassie, a nie pułkownika.

- Ja... miałam nadzieję... Pan nie pojedzie z nami, pułkowniku? - zapytała.

- Niestety nie, panno Elliott. Mojego starego konika od dawna stać już tylko na spokojnego stępa. - Poklepał swego wierzchowca po szyi. - Nie przewidziałem, że będzie miała pani ochotę na szybszą jazdę, bo wziąłbym młodszego, ale ten staruszek dobrze mi służył przez wiele lat i od czasu do czasu należy mu się miły spacer.

Cassie kiwnęła głową ze zrozumieniem i sympatią.

- Tak. Trudno zrezygnować z ulubionego wierzchowca, nawet kiedy się zestarzeje.

- Doskonale to pani wyraziła. Proszę się jednak nie kępować. Ja zostanę tutaj i pogawędzę z pani bratem, a pani zaprezentuje nam możliwości Lucyfera.

- Gotowa? - zapytał kapitan. - Chce pani po prostu pogalopować czy ścigamy się?

Propozycja była kusząca, ale Cassie obawiała się, że już i tak naraziła się bratu.

- Oczywiście, że pogalopować - odparła, starając się przybrać urażoną minę. - Chyba nie spodziewa się pan, że dama miałaby ochotę wziąć udział w czymś tak prostackim jak wyścig?

Stojący za nią pułkownik Anstruther z trudem powstrzymał się od śmiechu.

Kapitan jednak zachował kamienną twarz.

- Proszę więc jechać przodem, milady.

Cassie postanowiła wyrzucić z myśli Jamesa i po prostu cieszyć się chwilą. Zebrała wodze i musnęła obcasami boki Lucyfera. Po chwili gnała już w dół zbocza z wiatrem w zawody.

Lucyfer wysforował się o dwadzieścia jardów, zanim Ross dał Herze znak do biegu.

Nawet jeśli panna Elliott nie zamierzała się ścigać - w co zresztą wątpił - to niewątpliwie postanowiła wszystkim pokazać, do czego był zdolny jej koń. Ross musiał ruszać natychmiast, by nie stracić nieodwołalnie szansy dopędzenia ich. Hera również rwała się do biegu i z entuzjazmem rzuciła się w pościg za Lucyferem.

- Dobra dziewczynka. Pokażemy temu diabłu, na co stać prawdziwą boginię, prawda?

W trzech czwartych stoku Hera zaczęła dochodzić Lucyfera. Ross nie potrafił tego zrozumieć, bo Lucyfer był równie szybki jak ona, jeśli nie szybszy. Czyżby panna Elliott celowo wstrzymywała jego bieg, by Ross mógł ją dogonić?

Nagle zaniepokoił się. Chyba działo się coś złego. Panna Elliott, znakomita amazonka, zaczęła zsuwać się z siodła. Popręg musiał być źle zapięty! Zdołała znacznie zmniejszyć prędkość, nie na tyle jednak, by upadek przestał stanowić zagrożenie. Ross musiał koniecznie zatrzymać jej ogiera! Przynaglił Herę do szybszego biegu. Po chwili klacz zrównała się z Lucyferem. Ross puścił wodze, przechylił się i złapał pannę i Elliott w pasie, by ściągnąć ją z siodła.

- Proszę wysunąć nogę ze strzemienia! - zawołał.

Ale Cassie zdążyła już to zrobić. Musiała domyślić się, co zamierzał, zanim jeszcze jej dotknął. Posadził ją przed sobą i odetchnął z ulgą. Ocalił ją. Nagle spostrzegł, że uparta dziewczyna nadal trzyma w ręce wodze Lucyfera.

- Proszę go puścić! - krzyknął, ale Cassie nie posłuchała.

Hera nie była w stanie dotrzymać kroku ogierowi, szczególnie że dźwigała podwójny ciężar. Jeżeli panna Elliott nie wypuści wodzy, Lucyfer ściągnie ją z siodła.

- Oszalała pani? Proszę puścić wodze!

Tym razem usłuchała. Hera bardzo zwolniła, natomiast Lucyfer nadal pędził w dół stoku. Siodło zsuwało się coraz bardziej, aż wreszcie zawisło

całkiem z boku. To zatrzymało konia. Nic dziwnego. Musiał być całkiem skołowany nieznaną sobie sytuacją.

Ross wygodniej posadził pannę Elliott przed sobą, po czym dał Herze znak, by zeszła stępa nad brzeg jeziora, gdzie Lucyfer stał i spokojnie skubał trawę, jakby nie zaszło nic szczególnego.

- Droga panno Elliott - szepnął Ross wprost do ucha dziewczyny, muskając oddechem swawolny loczek, wijący się na jej szyi. - Chyba nie ma pani szczęścia do galopów na Lucyferze. Tak znakomita amazonka jak pani powinna bardziej zwracać uwagę na popręg.

Pobladła twarz Cassie stała się nagle szara jak popiół.

- Mój brat... - zaczęła, ale urwała i zagryzła wargę.

A więc to brat Cassandry był odpowiedzialny za złe osiodłanie konia! Chyba nie zrobił tego celowo? Przecież nietrudno było przewidzieć, czym to się skończy. Dziewczyna mogła złamać nogę albo skrzywić kark. Ross wzdrygnął się na samą myśl. Nie, to niemożliwe, to byłaby zbrodnia!

Wolał raczej napawać się bliskością panny Elliott. Jej subtelny zapach obudził zmysły Rossa. Czy to lawenda? Może z dodatkiem lekkiej nuty cytryny? Nieważne, pragnął trzymać ją w ramionach, choć w miarę możliwości w bardziej przytulnym miejscu niż otwarty stok.

Słowa Cassandry sprowadziły go na ziemię.

- Powinien pan zsadzić mnie z siodła, sir. To w najwyższym stopniu niestosowne.

Ross nie miał zamiaru jej puszczać, poprawił tylko opasujące ją ramię.

- Nie ma w tym nic niestosownego, panno Elliott. Pułkownik Anstruther i pani brat byli świadkami tego, co się wydarzyło. Wiedzą, że gdybym nie ściągnął pani z siodła, skończyłoby się to groźnym upadkiem. Pani również zdawała sobie z tego sprawę, bo przecież już wcześniej wyjęła pani but ze strzemienia, prawda?

- Nie ze względu na pana, sir. Nie chciałam, by w razie upadku Lucyfer włókł mnie za sobą po ziemi.

Ross wybuchnął głośnym śmiechem.

- Ale wodze ścisnęła pani w rękę, prawda?

- W końcu bym je puściła. Myślałam, że mój ciężar szybko go zatrzyma.

Podobnie jak poprzednio.

Ross uniósł brew.

- Gdyby jednak nie zatrzymał się, to puściłabym go.

- Miło mi to słyszeć, milady. - Ross milczał przez chwilę. W jej słowach było sporo racji. Gdyby znalazł się na jej miejscu, nie mógłby zrobić nic innego.

- Panno Elliott, mówiła pani, że brat sprawdzał popręg?

- Ja... - Zarumieniła się. - Ja przypuszczałam tylko, że to on, możliwe jednak, że zajął się tym Tam. Mój brat jest dobrym jeźdźcem i nie popełniłby takiego błędu.

Mówiąc to, nie patrzyła Rossowi w oczy. Był niemal pewien, że nie wierzyła we własne słowa. Czyżby sądziła, że tak łatwo go oszukać?

Cassie z prawdziwą ulgą znalazła się znowu na grzbiecie własnego konia. Była bezpieczna. Kapitan Graham poprawił siodło i porządnie zapiął popręg.

Przynajmniej nie czuła już dotyku jego ciała. Te kilkaset jardów, które przejechali razem, wprowadziło ją w potężne zmieszanie. Ciągle jeszcze czuła w nozdrzach zapach, który pobudził do życia wszystkie jej zmysły - zapach mydła, skóry i odrobiny wody kolońskiej. Takich dreszczy i mrowienia w całym ciele nie powinna odczuwać żadna dama, tego Cassie była pewna.

Gdy kapitan Graham zeskoczył z konia i wyciągnął ramiona, by pomóc jej zsiąść, dostrzegła w jego oczach bardzo wymowny błysk. Zsuwając się w jego objęcia, poczuła się tak, jakby... ją pieścił. Jeszcze przez dłuższą chwilę nie mogła złapać tchu.

- Czuje się pani na siłach wracać?

- Oczywiście, sir.

Ze zdumieniem usłyszała w swoim głosie leciutkie drżenie. Gdyby była sama, zakłębaby głośno, ale w tej sytuacji mogła tylko liczyć na to, że kapitan Graham złoży to drżenie na karb niedawnego wypadku. Woląla, by ją uważał za słabą kobietkę, niż domyślił się prawdy.

W tym momencie dotarł do nich galopem James Elliott. Pułkownik Anstruther zbliżał się znacznie wolniej na swym starym koniu.

- Cassie? Jesteś ranna? Co się stało? Wyglądało to, jakby...

- Popręg był zbyt luźno zapięty - wyjaśniła głosem bez wyrazu, starając się ukryć narastającą w niej wściekłość.

Już ona pogada sobie z Jamesem, kiedy zostaną sami!

- Obedrę Tama ze skóry! - warknął James. - Mógł cię zabić!

- Ale nie zabił. Dzięki refleksowi kapitana Grahama. - Uśmiechnęła się do swego wybawcy. - Jesteśmy panu z całego serca wdzięczni, kapitanie. - Potem odwróciła się do Jamesa i rzuciła mu wymowne spojrzenie. Postanowiła zmusić brata, by zapomniał o urazie i zachował się należycie. - Prawda, Jamesie?

- A, tak. Oczywiście. Dziękuję, sir, za uratowanie siostry. Gdyby nie pan, skończyłoby się to paskudnym upadkiem. Oboje jesteśmy panu wielce zobowiązani.

- Cieszę się, że mogłem pomóc, milady. Chyba powinniśmy już wracać?

Cassie zauważyła, że kapitan nie odpowiedział na podziękowanie Jamesa. Jego słowa były zwrócone wyłącznie do niej. Nie miała jednak czasu, by zastanowić się nad przyczyną tego afrontu, bo pułkownik dołączył do nich i musiała ponownie wyjaśnić swój niefortunny wypadek.

- Celowo poluzowałeś popręg?

- Oczywiście, że nie! Tam musiał...

- Oboje doskonale wiemy, że Tam nie zbliżał się nawet do Lucyfera. To ciebie widziałam przy koniu. Myślałam, że podciągasz popręg. Zdaję sobie sprawę, że mnie nie cierpisz, ale dlaczego próbowałeś mnie zabić?

- Wcale nie próbowałem cię zabić, ty kretynko. Ja tylko... Cassie starała się zapanować nad wściekłością. Podejrzewała brata, nie przypuszczała jednak, że James się przyzna.

Elliott przeczesał palcami włosy i zaczął spacerować po bibliotece pułkownika.

- Starannie to przemyślałem. Byłem pewien, że w porę zorientujesz się, iż siodło się zsuwa na bok, i zdążysz się uratować. Jesteś zbyt dobrym jeźdźcem, by mogło cię spotkać coś złego. Sądziłem, że skończy się na kilku siniakach lub skręconej nodze.

- Ale dlaczego?

- Wielkie nieba, Cassie, czy ty w ogóle nie myślisz? Żeby przedłużyć pobyt tutaj, oczywiście. Gdybyś została choćby najlżej ranna, pułkownik Anstruther byłby zmuszony zaofiarować ci gościnę do czasu całkowitego powrotu do zdrowia. Sam również musiałby z tobą zostać. Troszczyłby się o twoje obrażenia. To by was do siebie zbliżyło.

Cassie jęknęła. Zaczęła podejrzewać, że James nie jest całkiem zdrowy na umyśle.

Dawniej sądziła, że jego okrucieństwo w stosunku do niej wynika z nienawiści i palącej potrzeby zdobycia pieniędzy na zaspokojenie żądań wierzycieli, teraz jednak nie była już taka pewna. Wydawał się wręcz opętany pragnieniem wydania jej za pułkownika Anstruthera. Czy obsesja może doprowadzić do szaleństwa?

Pierwszy raz Cassie była naprawdę przerażona. Przedtem obawiała się, że brat zmusi ją do poślubienia któregoś ze swych obrzydliwych kompanów od kieliszka, jeśli znajdzie wśród nich człowieka wystarczająco bogatego. Próbowała uciec, ale miała świadomość, że nawet gdyby została siłą zawleczona przed ołtarz, to zapewne zdoła przekonać pastora, że jest wydawana za mąż wbrew własnej woli.

Ale przed obłędem nic jej nie ocali. Nic poza śmiercią.

Musiała uciekać! Jediną nadzieją było schronienie się u ojca chrzestnego na drugim brzegu Solway. Tym razem jednak powinna wszystko starannie zaplanować. Nie mogła ryzykować, że znowu zostanie schwytana.

Podczas obiadu Cassie raz po raz zadawała sobie pytanie, czy powinna zwierzyć się ze swych planów kapitanowi Grahamowi. Już raz ją ocalił. Właściwie dwa razy, jeśli dodać dzisiejszy incydent z popręgiem. Wiedział również, jak złym człowiekiem jest James. Gdyby jednak znowu jej pomógł, mógłby rzeczywiście zostać wyjęty spod prawa. Sytuacja była zatem wyjątkowo delikatna. Cassie potrzebowała pieniędzy, by ucieczka miała szansę zakończyć się powodzeniem. W Langrigg House nie miała ani grosza, więc musiała pożyczyć - od pułkownika Anstruthera lub od kapitana Grahama.

Cassie poczuła, że robi jej się słabo na samą myśl, że miałyby prosić kogoś z dżentelmenów o pieniądze, nawet gdyby to miała być tylko pożyczka. Jak umotywić prośbę? Co o niej pomyślą? Przecież dama nie może przyjąć niczego od dżentelmena, który nie jest z nią spokrewniony! Najwyżej bukiet kwiatów, ale nic więcej. Żadnej biżuterii, żadnych strojów, żadnych bibelotów i oczywiście żadnych pieniędzy.

- Jeszcze wina, panno Elliott?

- Troszeczkę. Dziękuję, pułkowniku.

Nakazała sobie surowo, by zwracać uwagę na to, co się wokół dzieje. Pograżanie się we własnych rozmyślaniach przy stole pułkownika, nawet na tak poważny temat, mogło ściągnąć na jej głowę gniew Jamesa. Brat musi być przekonany, że Cassie stara się oczarować gospodarza. Tylko to mogło choć na chwilę uśpić jego czujność.

Na stół wnoszono właśnie desery.

- Czy mogę poczęstować panią bitą śmietaną?

- Dziękuję, pułkowniku. Najwyżej jedną łyżkę, bo widzę na stole półmisek pańskich przepysznych truskawek i nie mogę się im oprzeć.

Pułkownik rozpromienił się.

James również.

Cassie zmuszała się do udziału w rozmowie. Będzie miała dość czasu do rozmyślań, kiedy panowie pójdą na szklaneczkę porto, a ona zostanie sama w salonie.

- Mam nadzieję, że otrząsnęła się już pani z szoku po dzisiejszym incydencie, panno Elliott - powiedział nagle kapitan Graham, gdy już miała wstać od stołu. Patrzył jej przy tym prosto w oczy, jakby chciał jej coś przekazać. - Zdrowy sen powinien panią pokrzepić. Może nie powinniśmy siedzieć dziś zbyt długo przy porto, pułkowniku?

- Naturalnie. Właśnie chciałem zaproponować to samo. Zresztą byłoby szczytem nietaktu zostawić pannę Elliott samą. Przecież zaprosiłem ją tutaj, by pokazać jej ogród. Jeśli nie jest pani zbyt zmęczona, moglibyśmy przejść się jeszcze trochę przed snem. Wieczór jest wyjątkowo łagodny.

- Cudownie, sir! Z pewnością o zmierzchu ogród będzie się prezentował wyjątkowo pięknie.

Kątem oka Cassie zobaczyła, że James dosłownie promienieje. Nie dość, że wykombinował sobie tak niecny plan, to jeszcze nie próbował się nawet maskować.

Cassie dopiła ostatni łyk wina - potrzebowała czegoś dla kurażu! - i wstała od stołu. Pułkownik pośpiesznie odsunął jej krzesło.

- Przejdę do salonu, by panowie mogli spokojnie wypić porto.

Kapitan Graham otworzył przed nią drzwi. Ciągłe patrzył na nią z tym szczególnym wyrazem twarzy. Co starał się jej powiedzieć?

- Wkrótce do pani dołączymy - powiedział tylko. - Nie mogę się doczekać spaceru po ogrodzie.

Ciekawe dlaczego? Czyżby zamierzał pozbawić gospodarza towarzystwa jedynej w tym gronie kobiety? Cassie poczuła rozkoszny dreszcz na myśl o rywalizacji obu dżentelmenów o jej względy. Potem jednak doszedł do głosu cechujący ją zwykle zdrowy rozsądek. Niemożliwe, musiała to sobie wyobrazić.

James Elliott zajął miejsce opuszczone przez siostrę i nalał sobie następny kieliszek porto. Każdy inny mężczyzna straciłby przytomność po tej ilości alkoholu, jaką w siebie wlał, ale on najwyraźniej był do tego przyzwyczajony. Mówił tylko nieco niewyraźnie, ale to wszystko.

Ross niby prowadził rozmowę z pułkownikiem, ale w rzeczywistości nie przestawał głowić się nad tajemnicą panny Elliott, jej brata i wszystkimi dziwnymi informacjami o tej rodzinie. Bo

Fraser, oczywiście, wywiązał się z obietnicy. Ross wiedział już, że Cassandra Elliott była córką ojca tyrana i matki wariatki.

Nie. To nie tak. Jej matka została zamknięta przez męża w przytułku dla obłąkanych i tam zmarła, ale Fraser nie zdołał ustalić, czy kobieta rzeczywiście była szalona. Bedlam niejednokrotnie pełniło rolę więzienia dla jednostek trudnych we współżyciu, aroganckich lub po prostu niewygodnych.

Ross prosił Frasera o ustalenie prawdy i wierzył, że ordynans wkrótce przedstawi mu pewne, sprawdzone informacje. To, czego dowiedział się o bracie Cassandry, w pełni potwierdziło własne obserwacje Rossa.

Ten zły do szpiku kości człowiek był pijakiem i hazardzistą, a także stałym bywalcem wszystkich okolicznych domów publicznych. Podobno maczał również palce w przemyśle. Biorąc pod uwagę wysokość jego długów - co do których Fraser również zdał mu dokładną relację - Elliott musiał być wyjątkowo nieudolnym szmuglerem.

Panna Elliott zdawała się przeciwieństwem brata. Nienaganne maniery zawdzięczała wieloletniej nauce w szykownym seminarium dla młodych panien w Edynburgu. Szkoła uchroniła ją również przed wpływem nikczemnego ojca i brata. Podobno była wykształcona i odcytana; od wielu lat prowadziła gospodarstwo w Langrigg. Według Frasera, wśród ziemiaństwa z Dumfries miała opinię odludka i samotnicy. Rzadko widywano ją w mieście, nikogo nie odwiedzała. Co więcej, damy, które przybywały do Langrigg House z wizytą, nie były mile widziane. Panna Elliott idealnie spełniała obowiązki gospodyni,

ale jej brat, zawsze obecny podczas rozmowy, przyprawiał damy o skrepowanie. Fraser twierdził, że nikt nie odwiedził tego domu ponownie.

Doprawdy, dziwna rodzina. Ciekawość Rossa wzrosła.

Zamierzał nakłonić pannę Elliott, by poszła z nim na spacer, i spróbować uzyskać odpowiedzi na przynajmniej niektóre ze swych pytań.

Zresztą nie tylko ciekawość popychała Rossa do tej rozmowy. Żał mu było dziewczyny. Pragnął w miarę możliwości jej pomóc. Każdy dżentelmen odczuwałby współczucie w stosunku do kobiety, której życie było nie do zniesienia.

To wszystko. Nic więcej. Tylko współczucie.

Cassie siedziała samotnie przy kominku i rozważała wszystkie za i przeciw. Pułkownik, kapitan. Pułkownik, kapitan. Nie mogła zdecydować, któremu z nich się zwierzyć.

Pułkownik był starszy, miał do niej ojcowski stosunek. Mogła zaapelować do jego opiekuńczości. Z drugiej jednak strony musiała się również liczyć z ojcowską obawą o jej bezpieczeństwo. Bo przecież porywała się na prawdziwe szaleństwo.

Kapitan był młodszy. Nagle Cassie uświadomiła sobie, że właściwie nie wie o nim nic więcej. Pułkownik ręczył za niego - to przemawiało na korzyść Rossa - ale przecież mógł być hazardzistą i pijakiem jak James.

Komu zaufać? Za i przeciw. Za i przeciw. Chyba najlepiej zostawić rozstrzygnięcie przypadkowi.

Jeśli nadarzy się sposobność porozmawiania z którymkolwiek z nich na osobności, powinna ją wykorzystać.

Już jutro będzie musiała wrócić do swego więzienia w Langrigg House.

Rozdział siódmy

- Ma pani ochotę na przechadzkę po ogrodzie, panno Elliott? Jeśli tak, to poślę służącą po pani szal.

Cassie wstała z uśmiechem.

- Jestem gotowa, sir. - I wskazała mu ręką śliczny szal z Norwich, przewieszony niedbale przez oparcie fotela przy kominku. - Podziwiałam ogród z okna swojej sypialni i zastanawiałam się, jak cudownie będzie wyglądał o zmierzchu.

Pułkownik rozpromienił się i starannie otulił szalem ramiona dziewczyny.

- Mogę do was dołączyć, sir?

- Oczywiście, Graham. I pan również, Elliott, jeśli ma pan ochotę.

James potrząsnął głową i mruknął coś o braku zainteresowania ogrodem. Gdy tylko niewielka grupka ruszyła w stronę drzwi prowadzących do ogrodu, wyciągnął się w fotelu i sięgnął po kieliszek.

Cassie żałowała, że pułkownik był tak szczodrym gospodarzem. Zanim wróca, brat będzie już kompletnie pijany. Postanowiła, że schroni się natychmiast w swoim pokoju. Jeśli James stanie się agresywny, jak zwykle po alkoholu, wołała nie być tego świadkiem. Aż za często stawała się obiektem jego ataków lub okrutnych żartów. Nie mogła znieść myśli, że zostałaby upokorzona w obecności pułkownika. Lub kapitana Grahama.

Ścieżki w ogrodzie były zbyt wąskie, by trzy osoby mogły iść obok siebie. Pułkownik Anstruther szedł przodem, prowadząc Cassie pod ramię. Kapitan Graham podążał za nimi o dwa kroki z tyłu, na tyle blisko, by móc brać udział w rozmowie.

Cassie z trudem opanowała rozczarowanie. Nie zanosilo się na to, by znalazła się z którymś z dżentelmenów na osobności.

Ross puszczał mimo uszu wyjaśnienia pułkownika o roślinach uprawianych w ogrodzie. Nazwy nic mu nie mówiły, ale musiał przyznać, że efekt ogólny był znakomity.

- Za kilka lat ta arkada będzie całkowicie zarośnięta jaśminem - powiedział pułkownik, wskazując pnącze o ciemnozielonych liściach i drobnych, białych kwiatach.

Panna Elliott pochyliła się, by je powąchać.

- Jaki odurzający zapach! Nie spodziewałabym się tego po tak młodej roślince, panie pułkowniku.

- Rozrasta się bardzo szybko. Żona twierdzi, że bywa nawet uważany za chwast, który pleni się bez opanowania.

Zły nastrój zaczął opuszczać Cassandrę. Pułkownik Anstruther nie był może znawcą tematu, ale liznął trochę wiedzy o roślinach od żony i mówił z ogromnym zaangażowaniem. Cassie była pewna, że nawet gdyby pani Anstruther tego nie dożyła, jej plany zostaną zrealizowane.

- Tam zamierzamy... - Pułkownik wskazał ręką niewielki pagórek. - Tak, Gordonie, o co chodzi?

Jeden ze służących wyrósł nagle jak spod ziemi.

- Przepraszam, panie pułkowniku, ale ja... to znaczy: pan Elliott...

Zamilkł, wyraźnie zmieszany. Zerknął z ukosa na Cassie, którą przeszył zimny dreszcz. Co, u licha, James zrobił tym razem?

- O co chodzi? Mów wreszcie, człowieku!

- Eee... pan Elliott jest... on raczej za dużo... - Chrząknął zakłopotany. - Jedna z pokojówek mówi, że..

- Tak, rozumiem - powiedział pułkownik, zanim nieszczęsny służący wydusił z siebie całe zdanie. - Już idę.

Cassie zawróciła, by mu towarzyszyć.

- Nie, nie, panno Elliott. Nie ma potrzeby, by wracała pani do domu.

- Ale to mój brat, sir. Jestem przyzwyczajona do jego... wyskoków.

Pułkownik potrząsnął głową ze współczuciem.

- Nie wątpię, ale tym razem chyba lepiej, żeby to mężczyzna spróbował uporać się z tym... problemem. Pani brat zapewne będzie bardziej skłonny liczyć się z opinią gospodarza niż siostry.

Boże, pułkownik wali prawdę prosto z mostu, pomyślała stropiona Cassie.

- Kapitanie Graham, niech pan będzie tak dobry i poda ramię pannie Elliott. Nie obejrzała jeszcze całego ogrodu, a nie wiadomo, kiedy znowu trafi się tak piękny wieczór jak dzisiaj.

Pułkownik nie pozostawił Cassie wyboru. Zresztą najprawdopodobniej miał rację. James nigdy nie przejmował się jej prośbami, więc nie wysłuchałby ich pewnie i tym razem. Natomiast uwag gospodarza nie będzie mógł zignorować. Kiwnęła głową.

- Dziękuję, pułkowniku. Proszę przyjąć przeprosiny za zachowanie mojego brata i...

- Nie ma o czym mówić. Zapewniam panią, że problem zostanie rozwiązany w mgnieniu oka. Proszę spokojnie zażywać spaceru i cieszyć się pięknem przyrody. - Pułkownik pospieszył do domu w ślad za służącym w liberii. Kapitan Graham podał jej ramię.

- Pójdziemy, panno Elliott?

Cassie nie śmiała podnieść oczu. Czowała, że jej twarz musi zdradzać zażenowanie. Jakaż kobieta nie czułaby się upokorzona takim zachowaniem brata? Wystarczyło pół dnia pod dachem pułkownika, a już upił się i zaczął molestować pokojówki. Co za skandal!

Kapitan wsunął sobie dłoń dziewczyny pod ramię.

- Proszę się tak nie przejmować, panno Elliott - powiedział z uśmiechem.
- Nie musi pani czuć się odpowiedzialna za brata. Jeśli on zachowuje się w sposób... niegodny dżentelmena, to nie pani problem. Gdyby brał przykład z pani, nikt nie miałby mu nic do zarzucenia.

Cassie przełknęła z trudem ślinę.

- Bardzo pan uprzejmy - wyszeptała, nadal nie śmiejąc na niego spojrzeć.

Musiał wyczuć jej zażenowanie, bo wolną ręką uścisnął spoczywającą na jego rękawie dłoń dziewczyny.

- Proszę się nie trapić, panno Elliott. Pułkownik Anstruther nie ma do pani najmniejszych pretensji ani nikt inny. - Znowu uścisnął jej dłoń. - Ani ja.

Rękę Cassie przeszył dreszcz, jakby dotknęła gorącego drutu. Co to mogło znaczyć? Dlaczego reagowała w taki sposób na dotyk mężczyzny, którego prawie wcale nie знаła?

Wewnętrzny głos przypomniiał Cassie, że ten obcy człowiek uratował jej życie, i to nie raz. Znała go od niedawna, to prawda, a jednak wydawało jej się, że rozumie go doskonale, niemal jak samą siebie.

Potrząsnęła głową, jakby chciała wyrzucić z niej takie głupie myśli. Powinna raczej zastanowić się, w jaki sposób poprosić kapitana o pomoc.

- Ciekawe, jak pułkownik zamierza zagospodarować ten pagórek o dziwnym kształcie? - odezwał się kapitan tonem towarzyskiej pogawędki. - Może podejmiemy, żeby przyjrzeć mu się z bliska? Proszę uważać. Tutaj grunt jest bardzo grząski.

- Dziękuję, sir.

Ostrożnie obeszła błotnistą kałużę. Ścieżka stała się tak wąska, że niemal ocierali się o siebie. Kapitan Graham przyciągnął ją do siebie. Wiedziała, oczywiście, że chciał ją po prostu chronić, a jednak czuła się... czuła się, jakby... Nie, nie potrafiła określić, jak się czuła. Przez wiele lat starała się unikać mężczyzn jak ognia, bo nie chodziło im bynajmniej o to, by jej bronić. Przy kapitanie Grahamie nie miała jednak wątpliwości, że jego zamiary są szlachetne.

Uśmiechnęła się do niego i pozwoliła mu kierować swymi krokami.

- Już pan zapomniał, sir, że kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, byłam wymazana błotem od stóp do głów? Nie przywykłam do tak dwornych manier.

Czy naprawdę znowu lekko uścisnął jej palce? Było to ledwie wyczuwalne, więc nie miała pewności.

- Jestem przekonany, że miała pani poważne powody, by zachować się tamtego wieczora tak, jak się pani zachowała. Zresztą już o tym zapomniałem. Zgodnie z pani prośbą.

Tym razem błysk w oczach kapitana nie miał nic wspólnego z rozbawieniem. W jego spojrzeniu pojawiła się jakaś intensywność, której Cassie nie ośmielała się nazwać.

Nadszedł odpowiedni moment. Lepsza sposobność już się nie nadarzy.

- Kapitanie Graham, czy mogłabym prosić pana o pewną grzeczność?

Spojrzał na nią ze zdumieniem, ale odpowiedział po prostu:

- Oczywiście, pani.

Cassie zarumieniła się. Zobaczymy, co powie, kiedy dowie się, o co go prosi!

- Kapitanie Graham, ja... ja... och, to zabrzmiało bardzo dziwnie i w najwyższym stopniu niestosownie. Sir... ja rozpaczliwie potrzebuję gotówki. Czy... czy mogłabym pana prosić o niewielką pożyczkę?

Oślupiał.

- Pożyczkę? Ale pani brat z pewnością...

- Nie, sir, mój brat... nie mogę się z tym zwrócić do brata. Przepraszam, ale proszę mnie nie pytać o powody.

- Nie mam prawa pytać! - zapewnił Ross pośpiesznie i uśmiechnął się do Cassandry.

Domyśliła się, że miał to być uspokajający uśmiech, ale, prawdę mówiąc, wyrażał głównie zaskoczenie. Czekwała.

- Panno Elliott, ja... nie wiem, w jaki sposób odpowiedzieć na tego typu prośbę.

Zrozumiała, że musi jednak podać mu jakieś wyjaśnienie. Postanowiła nie oddalać się zanadto od prawdy.

- Muszę odwiedzić ojca chrzestnego, który mieszka na angielskim brzegu Solway. To... sprawa niecierpiąca zwłoki. Mój ojciec chrzestny przed wielu laty

zerwał kontakty z naszą rodziną. Gdyby brat dowiedział się o moich planach, pokrzyżowałby je natychmiast.

- Panno Elliott, czy nie powinna pani raczej napisać do ojca chrzestnego?

Nie miała wyjścia. Musiała zdradzić mu przynajmniej część prawdy.

- Brat... eee... sprawdza całą korespondencję wychodzącą z Langrigg. Nie dopuściłby do wysłania tego listu.

- W tym bez wątpienia mógłbym pani pomóc. Jeśli da mi pani list, dopilnuję, by został wyekspediowany bez wiedzy pani brata.

Cassie skrzywia się lekko.

- Wątpię, sir. Mój brat ma wielu szpiegów w Dumfries. List zaadresowany do mojego ojca chrzestnego z całą pewnością trafi do rąk Jamesa.

- Na Boga, czy w tym kraju nie obowiązuje prawo?

- Nie, kiedy w grę wchodzi James Elliott. On zawsze wie, kogo i czym przekupić. Jego siostra nigdy nie miała w ręku złotej gwinei, ale on ma ich tyle, ile potrzebuje.

Cassie ugryzła się w język, ale było już za późno. Mówiła zbyt otwarcie. Twarz kapitana Grahama wyrażała jednak współczucie. Jeśli go poprosi, by zachował jej wyznanie w tajemnicy, z pewnością jej to obieca. Przecież jest oficerem i dżentelmenem.

- Sir, to, co przed chwilą powiedziałam... nie powinnam tego mówić... to wyjątkowo niestosowne...

- Już o tym zapomniałem!

W jasnoniebieskich oczach Rossa zapłonęły iskierki rozbawienia. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że temu człowiekowi można zaufać. Postanowiła wyznać mu całą prawdę. Choćby nie wiadomo jak przykrą i upokarzającą.

Otworzyła usta, ale kapitan ją ubiegł.

- Mam dla pani inną propozycję, panno Elliott. Proszę dać mi ten list, a ja osobiście doręcę go pani ojcu chrzestnemu. Nikt nie będzie mógł przejąć go i

dostarczyć pani bratu, bo nikt, poza nami dwojgiem, nie będzie wiedział o jego istnieniu. - Uśmiechnął się do niej serdecznie. - To chyba najlepsze rozwiązanie.

Wcale nie! Nie wiedział, jakie ryzyko podejmuje.

- Kapitanie Graham, ja... Czy moglibyśmy odejść nieco dalej od domu i od tych zarośli? Jeśli mamy mówić otwarcie, a obawiam się, że nie da się tego uniknąć, to wolałabym, aby nikt nie miał możliwości podsłuchiwania.

Nic nie odpowiedział, ale przez jego twarz przemknął wyraz niepokoju. Mocniej wsunął sobie jej dłoń pod ramię i wyprowadził ją na otwartą przestrzeń, gdzie nikt nie mógł się ukryć. W kotlinie, nad stawem z liliami zatrzymał się i odwrócił twarzą do niej. Nic nie powiedział. Patrzył tylko na nią pytająco.

Cassie odetchnęła głęboko i mocno splotła ręce przed sobą. Nie wolno jej poddawać się zakłopotaniu. To zbyt ważna sprawa. Skoro ufała kapitanowi - a intuicyjnie czuła, że można mu zaufać - to powinna powiedzieć mu wszystko i wierzyć że jej pomoże.

- Kapitanie Graham, jest pan bardzo dobry i doceniam pana wspaniałomyślną propozycję, ale nie śmiem jej przyjąć. Powiem otwarcie. Bardzo się boję brutalności brata. W stosunku do mnie i do innych. Gdyby dowiedział się, że wiezie pan mój list do ojca chrzestnego, zrobiłby wszystko, by pana powstrzymać. W tych sprawach nie ma żadnych skrupułów. Za pierwszym razem zadowolił się wtrąceniem pana do więzienia. Myślał, że wymiar sprawiedliwości załatwi za niego brudną robotę. Sam mi o tym powiedział. Obawiam się, że gdyby teraz pana złapał, nie polegałby już na prawie. Nad Solway zdarza się wiele przypadków utonięć. Jedno więcej, jedno mniej. Nikt nie byłby specjalnie zdumiony. Obyłoby się nawet bez śledztwa.

- Chyba pani przesadza, panno Elliott. Trudno mi uwierzyć, że jakikolwiek dżentelmen byłby do tego zdolny. Pani brat jest niewątpliwie człowiekiem brutalnym, ale morderstwo? Nie, to niemożliwe.

Przyglądał jej się dziwnym wzrokiem.

Nagle zrozumiała. Ten pytający wzrok go zdradził. Uznał ją za wariatkę! Pewnie pomyślał, że wymyśliła sobie to wszystko i należałoby ją zamknąć w Bedlam. Gdyby sytuacja nie była tak dramatyczna, pewnie wybuchnęła śmiechem. Co za ironia: najpierw James groził jej zamknięciem w zakładzie dla obłąkanych, a teraz kapitan skłonny jest przyznać mu rację.

Przedłużanie tej rozmowy nie miało sensu. Najwyraźniej nie był w stanie dać wiary jej ostrzeżeniom.

- Widzę, że trudno panu... że nie potrafi mi pan uwierzyć. - Pokręciła głową z irytacją i nic jej nie obchodziło, czy kapitan to zauważy, czy nie. - Porozmawiajmy więc o czym innym. O ile się nie mylę, mieszka pan w Londynie?

- Musiałem wyrazić się nieprecyzyjnie. - Zauważyła, że z ulgą przyjął zmianę tematu. - Nie mam domu w Londynie. Przed wyjazdem na północ odwiedziłem tam tylko... pewnego przyjaciela. Ma rezydencję w stolicy i zawsze chętnie mnie u siebie gości. Mój dom znajduje się w Wiltshire.

Więc rzeczywiście miał własną posiadłość! James zawyłby z zachwytu. Jednak gdy mówił o pobycie w Londynie, wyczuła w jego słowach coś dziwnego. Nietypowe dla niego wahanie. Mogłaby przysiąc, że próbował coś ukryć. Ciekawe, co?

- Wiltshire. Jak tam jest? Czy to równinny teren?

- W porównaniu z tą okolicą bardzo monotony, ale na swój sposób piękny. Wiele tam naprawdę okazałych, starych posiadłości.

- Pańska też zapewne od dawna znajduje się w rodzinie?

- Nie. Kupiłem ją od agenta ze względu na dogodne położenie. Prawdę mówiąc, spędziłem tam niezbyt wiele czasu. Długie lata służyłem w armii.

- Oczywiście. Zapomniałam. - Ruszyła w stronę głównej dróżki, ale po kilku krokach stanęła i odwróciła się z niewinnym uśmiechem na ustach. - Wspomniał pan kiedyś, że pańska rodzina pochodzi stąd, ze Szkocji?

- Jeśli mam być szczerzy, to nie mam pojęcia, skąd pochodzi moja rodzina.

Tym razem to on poczuł się dotknięty do żywego. Ton jego głosu był zaskakująco ostry. Po chwili jednak opanował się i podjął już normalnym głosem.

- Proszę o wybaczenie. Byłem niegrzeczny. Zadała pani najnormalniejsze w świecie pytanie, na które powinienem normalnie odpowiedzieć. Mam pewne powody do podejrzeń, iż moja rodzina pochodzi z okolic Dumfries, ale jak dotąd nie znalazłem na to żadnych dowodów. Moi rodzice nie żyją, nie mam również żadnych krewnych, których mógłbym o to zapytać.

- Graham to niezbyt popularne nazwisko w Dumfries, sir. Znam tylko Graham Arms w Longtown. Chyba nie będzie trudno odnaleźć pańskich przodków.

- Też tak sądziłem. Od chwili przybycia do Szkocji próbowałem cokolwiek znaleźć. Nie odkryłem jednak żadnych nici wiążących mnie z mieszkańcami tych terenów. Może byłem w błędzie. Opierałem się na niejasnym wspomnieniu z wczesnego dzieciństwa. Dziecięca pamięć potrafi jednak płatać figle.

Cassie kiwnęła głową. Jej własne wspomnienia, szczególnie wspomnienia o matce, zbladły tak bardzo, że właściwie prawie nic nie zostało. Tej resztki także nie była pewna. Może tylko pragnęła, by jej matka była piękną kobietą, która ją kochała.

Poczuła dławienie w gardle. Nie czas teraz na rozmyślanie o tak smutnych sprawach.

- Nie przypominam sobie Graham Arms - mruknął w zamyśleniu. - Ale ominąłem Longtown w drodze na północ. To w pobliżu Carlisle, prawda?

- Tak mi się wydaje. Nigdy tam nie byłem. Bardzo mało podróżowałam, jeśli nie liczyć wyjazdu do Edynburga do szkoły.

Uśmiechnął się.

- Może dowiem się czegoś w Longtown? Przecież nazwy zajadów pochodzą z reguły od nazwisk miejscowych właścicieli ziemskich. Może zdobędę tam jakieś informacje.

Kiwnęła głową.

- Niewykluczone.

Nagle serce na chwilę przestało jej bić. Do tej pory nie przeszło jej nawet przez myśl, że kapitan Graham mógłby wyjechać z Dumfries. Przecież nic go tu nie trzymało, jego dom był gdzieś daleko, w południowej Anglii. To oczywiste, że wyjedzie!

Z niezrozumiałych względów ubzduriała sobie, że przybył w te strony, by jej pomóc, by ją ocalić i że zawsze będzie przy niej, gotów wesprzeć ją silnym ramieniem. Oszukiwała samą siebie, ależ z niej idiotka! Czyżby jeszcze nie nauczyła się, że na mężczyznach nie można polegać? Jeśli chciała uniknąć losu, jaki przeznaczył jej James, mogła liczyć wyłącznie na siebie.

Rozdział ósmy

Ross wziął od pułkownika szklaneczkę brandy i opadł na fotel przy kominku. Biblioteka była cudownym miejscem. W przeciwieństwie do reszty domu, umeblowanego nowoczesnymi, kosztownymi sprzętami, ten pokój zastał zaprojektowany z myślą o wygodzie i wypoczynku. Staroświeckie meble miały gdzieś lekko przetarte obicia, ale można się było wtulić w ich miękkie poduchy i nie przejmować się, że odrobina popiołu z cygara spadnie na fotel.

Pułkownik zauważył oczywiście badawcze spojrzenie Rossa. - Niezbyt pasuje do reszty, co, Graham? - zapytał z filuternym uśmiechem. - Żona wybierała rzeczy do całego domu, ale nie do tego pokoju. Stwierdziła, że nie będzie wyrzucać pieniędzy na wprowadzanie zmian w pokoju, w którym czuję

się tak szczęśliwy, bo mogę przypalać meble i dywany. - Wskazał turecki kobierzec leżący przed kominkiem.

Ross dopiero teraz zauważył, że czarne punkty, które brał za fragment wzoru, były w rzeczywistości wypalone cygarem. Wymienili konspiracyjne uśmiechy.

Pułkownik Anstruther wyjął z wewnętrznej kieszeni na piersi pudełeczko cygar.

- Ma pan ochotę zapalić, kapitanie? Zapewne, podobnie jak ja, wpadł pan w nałóg w Hiszpanii.

Ross przyjął od pułkownika długie, wąskie cygaro. Powoli wciągnął dym w płuca i odchylił się na oparcie fotela. Gospodarz zrobił to samo. Nie potrzebowali słów. Brandy, cygaro, ogień na kominku i wygodny fotel - czego chcieć więcej?

Co za dziwny dzień. Dotychczas nie przyszło mu do głowy, by uznać pannę Elliott za histeryczkę. Nawet na brzegu Solway wydawała się doskonale wiedzieć, co robi. Z pewnością jednak myliła się co do brata. James Elliott był bez wątpienia łajdakiem - pijakiem, kobieciarzem i hazardzistą, ale morderstwo? Morderstwo to zupełnie co innego.

Co więcej, Cassandra Elliott zdawała się obawiać o własne bezpieczeństwo. Przecież byli tej samej krwi! Nawet najgorszy nikczemnik nie mógłby skrzywdzić własnej krewnej. Więc jak mogła podejrzewać, że przyrodni brat byłby gotów ją zabić?

Ale... może coś jednak jest na rzeczy? Alkohol czasami dziwnie działa na ludzi. Podobnie jak kobiety. Nagle pewna myśl ugodziła Rossa jak grom z jasnego nieba.

A jeśli Elliott miał syfilis? Ta choroba często prowadziła do obłądu i śmierci. Ross potrząsnął głową. Tak! To całkiem możliwe! Czemu nie pomyślał o tym wcześniej? Człowiek obłąkany, który znajdzie się na skraju bankructwa, może być zdolny do wszystkiego.

Pułkownik wyrwał Rossa z zamyślenia. Wstał z fotela i powiedział:

- Chyba przejdę się po ogrodzie przed snem. Bardzo żałowałem, że muszę przerwać poobiedni spacer z powodu tego niefortunnego... incydentu z Elliottem. Przeklęty łajdak! Żeby dobierać się do niewinnej pokojówki! Gdyby nie siostra, pokazałbym mu drzwi. - Zatrzymał się w drodze do wyjścia, widząc, że Ross zamierza mu towarzyszyć. - Niech się pan nie trudzi, Graham. Obszedł pan już dzisiaj prawie cały ogród. Proszę zostać i delektować się cygarem.

Pułkownik był uprzejmy, ale jednoznacznie dał do zrozumienia, że pragnie zostać sam.

Ross ponownie opadł na fotel i wrócił do rozmyślań o Jamesie Elliotcie.

Czy ten człowiek zasługiwał na miano dżentelmena? Urodził się jako spadkobierca majątku ziemskiego, ale nawet w najlepszych rodzinach zdarzają się odmieńcy. Przecież ten człowiek już pierwszego dnia pobytu w domu pułkownika upił się i próbował zgwałcić pokojówkę. Skoro był do tego zdolny, to może był również zdolny do morderstwa? Do przemocy wobec własnej siostry? Poprawka: wobec przyrodniej siostry. To mogło stanowić różnicę.

Opróżnił szklaneczkę, ostatni raz wciągnął dym z cygara i wrzucił niedopałek do kominka. To bardzo dziwna sprawa, pomyślał i pokręcił głową. Pytanie tylko, co miał z tym fantem zrobić? Panna Elliott poprosiła go o pomoc. Musiało ją to drogo kosztować, a on potraktował ją lekceważąco. Dał jej do zrozumienia, że pozwoliła się ponieść wyobraźni. Dobry Boże, równie dobrze mógł jej powiedzieć, że zwariowała! Była na niego zła i nic dziwnego. Trudno o większą obelgę wobec damy, której matka zmarła w przytułku dla obłąkanych.

A jeśli jej obawy były uzasadnione?

- A, tu jesteś, Graham. Chciałem zamienić z tobą słówko.

Elliott stał w drzwiach, chwiejąc się nieco na nogach. Ewidentnie był jeszcze bardzo pijany.

Ross wstał z fotela i odstawił szklaneczkę na niski stoliczek. Przyjął pozycję obronną, nie wiedząc, czego się po tamtym spodziewać. Przynajmniej

tym razem spotkaliby się jeden na jednego, więc mało prawdopodobne, by Ross znowu przegrał.

- Coś mi się widzi, że bardzo ci się podobała schadzka z moją siostrą, co? Nie było sensu dyskutować z pijanym.

- Odbyliśmy z panną Elliott miły spacer po ogrodzie. W towarzystwie pułkownika.

- Jasne. Przez chwilę. Bo potem przyleciał do domu, żeby mi nawymyślać.

Ross nic na to nie odpowiedział. Wysączył ostatnie krople brandy ze swej szklaneczki i ponownie odstawił ją na stół. Nie zapominał, że powinien mieć wolne ręce.

Elliott wszedł w głąb pokoju dość niepewnym krokiem.

- Zostało jeszcze trochę brandy? - Złapał pustą szklaneczkę pułkownika i napełnił ją złocistym płynem z karafki. Pochłonął wszystko jednym haustem, po czym natychmiast nalał znowu.

Tak, James Elliott z całą pewnością nie był dżentelmenem. Ross starał się ukryć niesmak.

- Chciał pan zamienić ze mną słowo? - zapytał obojętnym tonem.

Elliott padł na fotel pułkownika z kieliszkiem w jednej, a karafką w drugiej dłoni.

- Jasne. O mojej siostrze. Już dwa razy ją pan złapałeś, to pomyślałem, że może chciałbyś z niej zrobić uczciwą kobietę.

- Sir, posuwa się pan za daleko! Reputacja panny Elliott jest...

- Spokojnie, człeku! Nic do ciebie nie mam! Kulturalny akcent opuszczał Jamesa Elliotta w miarę picia.

Teraz mówił już jak parobek.

- Miło mi to słyszeć. Dla damy jej reputacja jest bezcenna i...

- Dość tych bzdur, Graham. Rzecz w tym, że mojej siostrze potrzeba męża, i pomyślałem, że może byś się nadal. Jesteś pan dżentelmen, z niezłym dochodem i własnym majątkiem ziemskim. Czego więcej można chcieć?

- Pańska siostra i ja ledwo się znamy.

- Mogę ci powiedzieć wszystko, co powinieneś wiedzieć. Niezła z niej gospodyni. Zarządza Langrigg od lat. Przyznasz, że jest ładniutka.

Wyraźnie czekał na odpowiedź, więc Ross kiwnął głową. - I nietknięta! Mogę za to ręczyć. Krew napłynęła Rossowi do policzków. Elliott zachwalał dziewczynę jak konia na targu!

- Pytanie tylko ile?

- Ile? - powtórzył Ross, któremu niemal mowę odjęło.

- Tak. Ile mi dasz, człowieku, za dziewczynę.

- Czyżby to oznaczało, panie Elliott, że jest pan gotów sprzedać mi swoją siostrę? - Ross bardzo starannie wymawiał słowa, jakby rozmawiał z małym dzieckiem.

Elliott opróżnił kieliszek i z rechotem rozwalił się w fotelu.

- A co innego miałbym z nią zrobić? Przecież sam nie mogę się z nią ożenić, prawda? Jak się jej pozbędę, to wezmę sobie jakąś żonę do prowadzenia domu i taniej mi wyjdzie. - Ponownie napełnił kieliszek. - Tak, wyjdzie taniej niż Cassie.

Ross czuł, jak wzbiera w nim gniew, ale opanował się z najwyższym trudem.

- A jaką sumę ma pan na myśli?

Słowa te zostały wycedzone przez zaciśnięte zęby, ale Elliott był zbyt pijany, by to zauważyć.

- Dwadzieścia tysięcy.

Prawdziwa fortuna! Ross musiałby sprzedać niemal wszystko co posiadał, by zebrać tyle pieniędzy.

- To... wygórowana cena. Co otrzymałbym w zamian?

- No... pannę Cassandrę Elliott z Langrigg. A co innego?

- Miałem na myśli posag pańskiej siostry - odparł spokojnie Ross.

Elliott dosłownie zbaraniał.

- Ona nie ma żadnego posagu.

- Nie odziedziczyła nic po matce? Pan mnie zdumiewa.

Ross zdawał sobie sprawę, że jego spokojny ton działa na Elliotta jak płachta na byka. To dobrze. Chciał jak najlepiej poznać intencje tego człowieka.

- Nic. Wszystko poszło na opłacenie... Nieważne. Było, minęło. Dostanie tylko to, co ma na sobie. No i tego piekielnego konia, bo ja nie mogę na nim jeździć.

- Muszę przyznać, panie Elliott, że wyjątkowo nieudolnie zabiera się pan do sprzedaży siostry.

Elliott podźwignął się z fotela i wlepił oczy w twarz Rossa.

- Dość tej głupiej gadaniny. Chcesz ją pan czy nie? Ross spokojnie podeszedł do drzwi.

- Obawiam się, że nie stać mnie na pańską siostrę. Będzie pan musiał rozejrzeć się za bogatszym kontrahentem.

Ross uderzył się pięścią w otwartą dłoń, ależ z niego idiota! Wszystko, co mówiła panna Elliott, wszystko, co sugerowała, było prawdą. Prawdopodobnie zresztą ukryła niejedno. Stryczek to zbyt łagodna kara dla takiego typu jak James Elliott. Zasługiwał na powolną i bardziej bolesną śmierć.

Panna Elliott rzeczywiście znajdowała się w niebezpieczeństwie. Poprosiła go o pomoc, łamiąc zasady obowiązujące damę. Zdobyła się na to, a on jej odmówił! Odmówił w imię swych własnych zasad, chociaż doskonale wiedział, że ta dziewczyna to nie histeryczka, która bez powodu wpada w panikę.

Nie tylko Elliott zasługiwał na kulę w łeb! Ross również. Jak mógł być tak głupi, tak uprzedzony!

Dość tego! Wyrzuty sumienia trzeba odłożyć na później. Teraz należało zastanowić się nad działaniami. Za niespełna dwanaście godzin wizyta u pułkownika dobiegnie końca i panna Elliott odjedzie wraz ze swym odrażającym bratem do Langrigg, gdzie czyha na nią niebezpieczeństwo. Być może Ross nie będzie już miał okazji porozmawiać z nią na osobności. Dała mu szansę, tam, w ogrodzie, a on ją zmarnował.

- Chce się pan już położyć, sir? - zapytał Fraser, wyłaniając się cicho z garderoby.

- Nie. - Ross postawił świecę na niewielkim biurczku przy oknie i sięgnął po papier i atrament. Skreślił szybko kilka słów, złożył kartkę i zapieczętował ją lakiem, który znalazł w szufladzie. - Fraser, zanieś ten list do panny Elliott.

- Rozkaz, sir.

Fraser nawet nie drgnął. Jego twarz była nieprzeniknioną maską.

- Natychmiast, Fraser.

- Rozumiem, sir. Zakładam, że jej brat nie powinien o tym wiedzieć? - Mówił takim tonem, jakby dostarczanie niezamężnym damom liścików w środku nocy było czymś najzwyczajniejszym w świecie.

- Zgadza się. Zanieś go od razu i dopilnuj, aby nikt poza panną Elliott się o nim nie dowiedział.

- Czy mam zaczekać na odpowiedź, sir?

Ross nie zdołał powstrzymać uśmiechu rozbawienia na widok niewzruszonego spokoju swego służącego.

- Nie, Fraser. Nie będzie odpowiedzi. Postaraj się zrobić to jak najszybciej. Potem wróć tutaj. Mogę cię potrzebować.

Ordynans kiwnął głową i zniknął równie cicho, jak się pojawił.

Ross zaczął spacerować po pokoju, starając się skonstruować naprędce jakiś plan. Pieniądze nie stanowiły problemu. Mógł dać - nie, pożyczyć pannie Elliott każdą sumę, ale czy powinien zdradzić jej zamiary brata? I czy miał

podzielić się z nią swymi podejrzeniami co do zdrowia psychicznego Jamesa? Z pewnością nie. Nie mógł powiedzieć o obłądnie, nie wspominając o paskudnej chorobie, która mogła do tego obłądnie prowadzić. Panna Elliott była kobietą z charakterem, ale nawet ona wolałaby zapewne nie dyskutować o syfilisie swego brata.

Zanim Ross zdążył podjąć decyzję, wrócił Fraser.

- Zrobione, sir - zapewnił, widząc uniesioną pytająco brew Rossa. - Oddałem jej list do rąk własnych. Służąca widziała mnie, oczywiście, ale jej nie musi się pan obawiać. Morag nie zdradzi swej panienki.

Ross kiwnął głową, uspokojony. To, co zamierzał zrobić, mogło narazić tę dziewczynę na niebezpieczeństwo. Musiał podjąć wszelkie możliwe środki ostrożności, by ją chronić.

- Poprosiłem pannę Elliott, by spotkała się ze mną w ogrodzie, Fraser. Tak szybko, jak to tylko możliwe. Postaram się, by nikt nas nie zauważył, oczywiście, ale proszę, byś również czuwał. Jako tylna straż.

- Rozkaz, sir. - Fraser rozpromienił się. - Będę potrzebował broni?

- Nie. Pilnuj Elliotta. Chyba jest w swoim pokoju. Gdyby chciał wyjść, postaraj się wybić mu to z głowy. Rób przy tym jak najwięcej hałasu, żeby mnie ostrzec, iż powinienem odprowadzić pannę Elliott do domu, zanim zostaniemy przyłapani.

- Dopilnuje pan, by boczne drzwi zostały otwarte, zanim wyjdzie pan na dwór?

Ross uśmiechnął się w odpowiedzi. Fraser wiedział doskonale, że jego pan zabezpieczy sobie przynajmniej dwie drogi odwrotu, zanim wejdzie w strefę zagrożenia. Obaj niejednokrotnie przekonali się, jak bardzo jest to niezbędne.

- Proponuję płaszcz, sir. Lepiej zakryć tę białą koszulę. Księżyc świeci bardzo jasno.

Fraser miał rację. Nie było czasu na przebieranie się, a należało wtopić się w mrok. Po chwili Ross przemknął cicho korytarzem i zszedł po schodach do drzwi prowadzących do ogrodu.

- Szybciej, Morag.

- Nie mogę szybciej, kręcisz się jak fryga, panienko.

Cassie znieruchomiała i Morag wreszcie uporała się z ostatnimi haftkami sukni. Niecierpliwie podbiegła do okna i odrobinę uchyliła okiennicę. Ogród był zalany księżycowym blaskiem. W głębi, pod rozłożystym, starym dębem, dostrzegła wysoką postać.

To musiał być kapitan Graham. Kto inny opierałby się w środku nocy o drzewo w ogrodzie pułkownika? Na pewno nie James, bo jego sylwetkę rozpoznalaby natychmiast.

- Czeka. Muszę już iść.

- Jesteś pewna, dziecinko? - zapytała Morag z niepokojem, podając swej panience szary płaszcz.

- Tak, jestem pewna. Nie martw się, Morag. Możesz przeczytać ten list. Napisał, że chce mi pomoc. - Wskazała leżącą na stoliku kartkę.

Morag przebiegła wzrokiem wiadomość, kiwnęła głową i wrzuciła papier w ogień.

- Lepiej, żeby jaśnie pan go nie znalazł - stwierdziła spokojnie w odpowiedzi na oburzone spojrzenie dziewczyny.

Pokojówka miała rację. Cassie zatrzymała się w drodze do wyjścia.

- Morag, zamknij za mną drzwi. Gdyby James chciał wejść, nie wolno ci go wpuścić. Powiedz... powiedz, że źle się czułam i wzięłam laudanum, by zasnąć, i że nie możesz mnie dobudzić.

- Ale ty nigdy nie bierzesz laudanum, panienko Cassie. On doskonale o tym wie.

- Bardzo wątpię. Zupełnie nie zwraca na mnie uwagi. Pewnie nie zauważyłby nawet, gdyby z dnia na dzień zmienił mi się kolor oczu.

Morag zachichotała nerwowo. Cassie położyła jej rękę na ramieniu.

- Nie martw się. Najprawdopodobniej jest już pijany do nieprzytomności. Kapitan bez wątplenia podjął środki ostrożności, by James nie przeszkodził nam w rozmowie.

- Jasne. Już pan Fraser tego dopilnuje - odparła Morag z głębokim przekonaniem.

- Pan...? A, tak. Ordynans kapitana. - Uchyliła drzwi i wyjrzała ostrożnie na korytarz. - Wychodzę. Zamknij za mną.

Cassie zatrzymała się na parę sekund, by jej oczy oswoiły się z ciemnością. Nie śmiała zabrać ze sobą świecy. Za plecami usłyszała zgrzyt klucza przekreścanego w zamku. Szybko przemknęła w miękkich pantofelkach do schodów, trzymając się blisko ściany, by zmniejszyć ryzyko, że podłoga zatrzęszczy. Po chwili stała już w ogrodzie. Pokój Jamesa wychodził na przeciwną stronę domu, więc brat nie mógł jej dostrzec z okna. Kapitan Graham dobrze wybrał miejsce spotkania. Mogła się tego spodziewać po żołnierzu.

Po raz pierwszy Cassie zadała sobie pytanie, czy nie podjęła przypadkiem nadmiernego ryzyka. Szła na spotkanie z mężczyzną, z zahartowanym w boju żołnierzem, sama, w środku nocy. Jeśli zostaną przyłapani, jej reputacja legnie w gruzach. Gdyby kapitan postanowił ją wykorzystać, nie miała nic na swoją obronę. Nie mogła nawet krzyknąć, bo tylko przyspieszyłaby swą hańbę. Jej dobre imię i ona sama znajdą się na łasce i niełasce kapitana Grahama. Czy odważy się mu zaufać?

Oczywiście, że się odważy!

Odetchnęła głęboko i wyprostowała się. Wiedziała, że można mu ufać. Już dwukrotnie uratował jej życie i zawsze zachowywał się jak dżentelmen. Teraz znowu zaoferował jej pomoc. Coś musiało się wydarzyć w ciągu ostatnich kilku godzin, bo przedtem odmówił. Ciekawe, co takiego zobaczył lub usłyszał, że zmienił zdanie?

Ross z aprobatą spojrział na ciemny płaszcz dziewczyny.

- Przyszła pani, panno Elliott.

Wziął ją za rękę i poprowadził na drugą stronę pnia, aby nawet najbardziej czujny obserwator nie mógł ich dostrzec.

- Kapitanie Graham, czy pan... czy zmienił pan zdanie w sprawie pieniędzy?

Na Jowisza, ta dziewczyna nie owijała niczego w bawełnę! I dobrze. Nie było czasu na długie wstępy. Musieli uzgodnić plan i rozstać się jak najprędzej.

- Pomogę pani z największą przyjemnością, panno Elliott. Przede wszystkim pieniądze. - Wyjął z kieszeni przygotowany wcześniej plik banknotów i wsunął jej do ręki.

- Och, ale...

- To pożyczka, o która pani prosiła. Może mi ją pani zwrócić w dowolnym momencie. Proszę schować pieniądze.

- Dziękuję. - Z promiennym uśmiechem wsunęła banknoty do wewnętrznej kieszeni płaszcza i odwróciła się, by udać się do domu.

- Panno Elliott, jeszcze chwilę.

- Sir?

Ross wyczuł w jej głosie lekkie drżenie.

- Proszę się nie obawiać. Pragnę tylko dodać, że... ja... gdyby potrzebowała pani innego rodzaju pomocy, wystarczy słowo. Chętnie zapewnię pani eskortę do domu ojca chrzestnego.

Nawet w cieniu wielkiego dębu zdołał dostrzec, że oczy dziewczyny otworzyły się szeroko ze zdumienia, ale szybko opanowała się, zacisnęła usta i zmarszczyła czoło. Najwyraźniej nagła zmiana jego zachowania wzbudziła jej nieufność.

- Może mi pani zaufać. Proszę powiedzieć, w jaki sposób mógłbym pani pomóc. Daję słowo, że gotów jestem spełnić każdą pani prośbę. Słowo dżentelmena.

Wypogodziła się, zmarszczka zniknęła z czoła. Nadal jednak oddychała szybko, nadal była spięta. Uśmiechnęła się, jakby chciała zapewnić Rossa, że pragnie mu zaufać.

Poczuł nagle dumę i chęć chronienia jej. Była dziewczyną z charakterem, ale bez męskiego wsparcia nie miała szans w walce z występny bratem.

- Kapitanie Graham - wyszeptała - nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo jestem panu wdzięczna. Muszę jednak zapytać, dlaczego zmienił pan zdanie?

Do licha! A miał nadzieję, że o to nie zapyta! Powinien był przewidzieć, że taką kobietę jak Cassie Elliott zadowoli jedynie prawda.

I uznał, że zasłużyła na to, by wiedzieć.

- Miałem... spotkanie z pani bratem. Zrozumiałem, że rzeczywiście powinna pani od niego uciec. Ojciec chrzestny niewątpliwie da pani schronienie.

Stała sztywno wyprostowana.

- Proszę mi powiedzieć, sir, co James zrobił?

Ross odniósł wrażenie, że była jak krucha szklana statuetka, która może rozprysnąć się przy lada dotknięciu.

- Przykro mi sprawiać pani ból, ale jeśli naprawdę chce pani usłyszeć prawdę... - Sztywno kiwnęła głową. - Panno Elliott, pani brat był kompletnie pijany, ale...

Machnęła ręką, niewątpliwie już niejednokrotnie widziała brata w tym stanie.

- Zaproponował mi panią. Za żonę.

Nie drgnęła. Nie mrugnęła nawet okiem.

- Ile zażądał? - zapytała ledwie dosłyszalnym głosem. Dobry Boże, wiedziała! Może Ross nie był pierwszym mężczyzną, któremu ten łajdak próbował ją sprzedać?

- Dwadzieścia tysięcy funtów - odparł, nie spuszczać wzroku z jej pełnej napięcia twarzy.

Rozdział dziewiąty

Cassie chciała rzucić się przed siebie, na oślep, ale wrosła w ziemię jak korzenie tego starego dębu, pod którym stała.

- Panno Elliott?

Jego niski głos był pełen zrozumienia, ale Cassie i tak nie odważyła się spojrzeć mu w twarz. Gdyby tylko usunął się z drogi, uciekłaby pędem, by ukryć się w głębi ogrodu, ale on nawet nie drgnął.

- Panno Elliott - powtórzył już bardziej stanowczo. - Nie powinna pani czuć się z tego powodu zakłopotana. Powiedziałem pani o tym dlatego, że ma pani prawo poznać cały bezmiar podłości brata, zrozumieć, dlaczego jestem całkowicie do pani dyspozycji. Teraz wreszcie pojmuję, dlaczego musi pani od niego uciec.

Odważyła się ukradkiem zerknąć na kapitana. Jego twarz była pełna współczucia.

- A ponieważ najwyraźniej nikt inny nie jest skłonny pani pomóc... zrobię to ja. Proszę mi zaufać. Pomogę pani uciec. Szkoda, że nie ma nikogo innego.

Ostatnie słowa brzęczały jej natrętnie w uszach. Szkoda, że nie ma nikogo innego. Szkoda, że nie ma nikogo innego. Szkoda, że nie ma nikogo innego.

To prawda. Miała tylko tę jedną, jedyłą szansę.

- Panno Elliott? Nie ufa mi pani?

Coś w jego głosie sprawiło, że miała ochotę krzyczeć albo płakać, albo przeklinać brata. Kapitan Graham dostrzegł zapewne, co się w niej działo, bo łagodnie objął rękami jej zaciśnięte pięści. Jego dotyk był ciepły, delikatny i kojący.

- Proszę się nie obawiać - powiedział. - Ucieknie pani. Zapewniam.

Jego niebieskie, zwykle wesołe oczy stały się teraz ciemne i niezwykle przenikliwe.

- Panno Elliott? Cassie...

- Wierzę panu, sir. I ufam.

- Dzięki Bogu - wyszeptał z ulgą. - Musimy zatem omówić plan działania
- podjął, przeczesując palcami włosy.

Cassie natychmiast wyczuła w nim zmianę. Jeszcze przed chwilą był niepewny, czekał na jej zgodę. Teraz stał się żołnierzem, który przygotowuje plan batalii i zastanawia się nad wyprowadzeniem nieprzyjaciela w pole.

- Gdzie możemy się spotkać z dala od pani brata? Może pani wychodzić bez niego z domu? Składać komuś wizytę?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Widział pan, jak było u pani Anstruther. Brat zawsze mi towarzyszy. Nigdzie nie wychodzę sama. - Urwała nagle i zamyśliła się. - Chyba że...

- Chyba że?

Cassie wzdrygnęła się. Będzie musiała zdradzić mu mroczne sekrety, które miała nadzieję zatrzymać w tajemnicy.

- Tylko w jednym wypadku James mógłby pozwolić mi wyjść samej z domu. Gdybym miała spotkać się z pułkownikiem Anstrutherem.

- Chyba z panią Anstruther?

Cassie żałośnie pokręciła głową.

- Nie. Z pułkownikiem. I to bez jego żony.

- Ale...

- Kapitanie Graham, proszę zrozumieć. Mój brat tonie w długach. Pewnie domyślił się pan tego, skoro próbował wyciągnąć od pana tak ogromną sumę. Jest zdesperowany. Myślę, że wierzyciele mocno go naciskają, bo jego prawdziwym celem nigdy nie był pan, a pułkownik Anstruther.

- Anstruther? Ależ on jest...

- Tak. Pułkownik Anstruther. Jeden z najbogatszych ludzi w Szkocji. Mój brat chce, bym została następną panią Anstruther. - Cassie słyszała, jak kapitan

Graham głośno wciągnął powietrze. Był wstrząśnięty. Podjęła opowieść, by jak najszybciej zakończyć tę upokarzającą historię, odzierając ją z resztek godności. - Obawiam się, że James wystąpił ze swą ofertą wobec pana tylko dlatego, że wierzyciele dobijają się już do drzwi, a pan, w przeciwieństwie do pułkownika, jest kawalerem, dostępnym od zaraz. Gotów był więc zgodzić się na pana, choć po pułkowniku spodziewał się znacznie, znacznie więcej.

Ku jej zaskoczeniu Ross roześmiał się i pokręcił głową.

- Panno Elliott, tak dzielna dziewczyna jak pani warta jest po stokroć dwudziestu tysięcy. Nie zostanie pani siłą zmuszona do małżeństwa z pułkownikiem Anstrutherem ani z nikim innym. Ma pani na to moje słowo.

Pomimo przerażenia Cassie uśmiechnęła się do niego. W jego głosie była pewność, która zaczęła się jej udzielać.

- Sir, złożył pan tę obietnicę nieopatrzenie, ale trzymam pana za słowo.

- Dobrze - odparł lakonicznie. - A więc gdzie i kiedy? Oczywiście przekonam pułkownika, żeby pokazał nam jeszcze jakieś miejsce, które absolutnie nie zainteresuje pani brata. Wspominała pani o jakimś kościele... nie, to było chyba opactwo. Wątpię, by pani brat miał ochotę zwiedzać świątynię.

- Ma pan chyba na myśli Sweetheart Abbey - przypomniała sobie Cassie.

- Opactwo wybudowane przez lady Devorguillę na cześć jej zmarłego małżonka. Została tam zresztą pochowana, razem z sercem męża.

- To daleko?

- Nie. Zaledwie dziesięć mil od Dumfries. Jeśli namówi pan pułkownika, by wybrał się tam z panem, brat prawie na pewno pozwoli mi się przyłączyć. Będzie liczył na to, że w czasie wycieczki pułkownik bardziej się mną zainteresuje. Oczywiście będę musiała zabrać ze sobą przyzwoitkę.

- Morag? Kiwnęła głową.

- Dobrze. W takim razie przy śniadaniu porozmawiam o tym z pułkownikiem. Pani brat będzie przy tym obecny i zapewne połknie haczyk.

Cassie miała jednak wątpliwości, czy po dzisiejszym pijaństwie James zejdzie rano na śniadanie. W takich wypadkach wstawał zazwyczaj dopiero w południe.

- Jutro będzie musiał wstać wcześniej. W południe opuszczamy już dom pułkownika. Dopilnuję, by służba obudziła pani brata na czas. Musi mieć okazję, by posłuchać naszej rozmowy. Pani również. Proszę wtrącić niewinną uwagę, jak bardzo marzy pani o zwiedzeniu Sweetheart Abbey. Zakładam, że jeszcze nigdy tam pani nie była?

- Nie.

- Znakomicie. Zatem postanowione. Wybierając się z Morag do opactwa, proszę zabrać ze sobą tylko najniezbędniejsze...

- Och, nie! Ależ ze mnie idiotka! Nic z tego. Musimy wymyślić jakieś inne miejsce.

- Dlaczego? Moim zdaniem to znakomity pomysł.

- Nie! Gdzie ja miałam głowę? Sweetheart Abbey leży na południe od Dumfries, po niewłaściwej stronie rzeki. Żeby się przedostać na angielski brzeg Solway, musielibyśmy najpierw przeprowić się przez Nith, a jedyny most znajduje się w samym Dumfries! Nie możemy tam wracać, bo mój brat ma tam wielu szpiegów. Zdążyłby nas dopaść. Musimy znaleźć jakieś miejsce do zwiedzania w pobliżu przeprawy w Annan.

Ross jęknął.

- Ma pani rację. Niestety, nie znam tych okolic. Nie nasuwa się pani żaden pomysł?

Cassie potrząsnęła głową z rozpaczą.

- Proszę pomyśleć. - W jego głosie zabrzmiało lekkie zniecierpliwienie i desperacja.

- Ja... - Nagle przyszła jej do głowy właściwa odpowiedź. - Czy jest pan gotów wykazać gwałtowne zainteresowanie ruinami zamku, kapitanie Graham?

- Jestem gotów zainteresować się wszystkim, czym nie zainteresuje się pani brat.

- W takim razie chyba znalazłam rozwiązanie - oświadczyła Cassie z uśmiechem.

Cassie wcisnęła się w róg powozu i uśmiechnęła się z pewnym przymusem do siedzącej naprzeciw Morag. Uznała, że bezpieczniej będzie nie informować jej przed czasem o tym, co zaplanowała. Tak jak nie zdradziła jej, o czym konferowali z kapitanem Grahamem pod starym dębem.

Ufała Morag, obawiała się jednak, że wierna służąca mogłaby mimowolnie zdradzić się z czymś, szczególnie gdyby James zrobił jej awanturę, jak to ostatnio miał w zwyczaju.

Zresztą brat jechał teraz konno obok powozu, zamiast daleko z przodu, jak zwykle. Po wczorajszym pijaństwie niewątpliwie bolała go głowa, ale słuch miał nienadwyreżony.

- Pan Fraser mówił mi, że kapitan i pułkownik zamierzają zwiedzać coś w okolicy - powiedziała Morag.

- Owszem, rozmawiano o tym przy śniadaniu.

- Panienska też chce się z nimi wybrać?

Kto mógł jej o tym powiedzieć? Pewnie znów ordynans kapitana. Morag tak często powoływała się na jego opinię, że chyba zaczęła się nim interesować.

Cassie starała się przybrać obojętną minę.

- Pułkownik opowiadał o wielu ciekawych miejscach w okolicy, na przykład o Sweetheart Abbey. Ja tylko wspomniałam, że jeszcze nie miałam okazji ich odwiedzić.

Morag spochmurniała.

- Rzeczywiście, panienko, żyjesz tu jak w więzieniu. Nie wyściubiasz nosa z Langrigg.

- Cii, Morag. - Cassie położyła palec na ustach i wskazała głową jadącego obok powozu brata.

- Przepraszam - wyjąkała Morag i zaczerwieniła się ze wstydu. Po czym dodała, zniżając głos: - Czy stałoby się coś złego, jakbyś pojechała z tymi dżentelmenami? Dlaczego nie wykorzystałaś okazji, żeby o tym powiedzieć? Jaśnie pan na pewno nie nakrzyczałby na ciebie przy stole pułkownika.

- Pułkownik rzeczywiście mnie zaprosił. Powiedziałam jednak, że opactwo jest chyba zbyt odległe jak na jednodniową wycieczkę. Przynajmniej dla mnie byłaby to zbyt męcząca wyprawa, ale może dostanę następne zaproszenia.

Cassie dotąd pamiętała wściekłą furię na twarzy brata, gdy pułkownik wystąpił z propozycją wyprawy do opactwa. James najwyraźniej nie życzył sobie, by którekolwiek z nich zmarnowało cały dzień na oglądanie zrujnowanego kościoła. Pułkownik zapewne również dostrzegł jego minę. Naturalnie, nie zamierzał się z nim spierać, dodał więc tylko uprzejmie, że gdyby wybierali się z kapitanem do jakiegoś miejsca znajdującego się bliżej domu panny Elliott, nie omieszka zaprosić jej do towarzystwa. Nawet James nie mógł przeciwko temu zaprotestować.

Cassie nie zdradziła się z wiedzą, że następne zaproszenie na pewno się pojawi, i to wkrótce. Wtedy ona poruszy niebo i ziemię, by James pozwolił jej je przyjąć. Najpierw należało przygotować grunt. Czyli przypominać Jamesowi przy każdej okazji, że istniał tylko jeden sposób, by zachęcić pułkownika Anstruthera do małżeństwa z nią: jak najczęstsze spotkania. Brat musiał wyrazić na nie zgodę, jeśli chciał zdobyć bogatego szwagra.

Wyjrzała, żeby sprawdzić, gdzie znajduje się brat. Doskonale, nadal był w zasięgu głosu.

- Pułkownik Anstruther to wyjątkowo uprzejmy dżentelmen - oświadczyła donośnie. - I wspaniały gospodarz. Naprawdę lubię jego towarzystwo. Szkoda, że tak rzadko wymieniamy wizyty.

Dała znak, by Morag podjęła temat.

- Rzeczywiście, ja też zauważyłam, że wasza przyjaźń bardzo szybko się zacieśnia, panienko Cassie. Rozmawialiście o ogrodzie, jakbyście się znali od lat. Chyba cię polubił. Pewnie dlatego, że interesujesz się roślinami i ogrodem. Macie wspólną pasję. Szkoda, że jego żona nie może wychodzić z domu i być razem z wami.

Cassie zdecydowanie pokręciła głową, dając służącej znak, że tego wątku nie należy poruszać. Lepiej nie przypominać Jamesowi o istnieniu pani Anstruther.

- Może jeszcze będziemy mieli okazję do zacieśnienia znajomości - zawołała. - Na pewno chciałabym bliżej poznać pułkownika. To dżentelmen w każdym calu. I tyle wie! Wyobraź sobie, Morag, że dziś przy śniadaniu zrobił nam prawdziwy wykład o Sweetheart Abbey! Jego wiedza znacznie przekracza moją, chociaż sporo czytałam o tym opactwie.

- Ale przecież nigdy tam nie byłaś.

- Rzeczywiście. To zbyt daleko. Jamesowi szkoda czasu, żeby mnie tam zabrać. Może jeśli pułkownik zaplanuje wycieczkę do jakiegoś mniej odległego miejsca, zdołam namówić Jamiego, żeby się z nami wybrał? A może zgodzi się, żebym pojechała z pułkownikiem bez jego eskorty? Pan Anstruther to prawdziwy dżentelmen i na pewno zachowa się honorowo. Zresztą, ty pojechałabyś przecież z nami jako przyzwoitka.

Kątem oka sprawdziła, czy brat słyszał jej słowa. Była niemal pewna, że tak.

- Miejmy nadzieję, że pułkownik nie poczuł się urażony dzisiejszą odmową, panienko Cassie. Bo wtedy nie mogłabyś liczyć na następne zaproszenia.

- Żałowałabym bardzo. Nie chcę stracić jego przyjaźni. Drugiego takiego dżentelmena w okolicy nie znajdę.

- To prawda. Postaraj się więc nie odrzucać następnego zaproszenia.

Cassie kiwnęła głową.

- Masz rację, Morag. Chyba... chyba wspomnę o tym bratu. Wiem, że James wysoko ceni pułkownika. Na pewno nie chciałby zerwać tak miło zapowiadającej się znajomości.

Morag zapytała wzrokiem, czy kontynuować temat. W tym momencie jednak powóz skręcił z publicznej drogi na tereny należące do Langrigg i James ruszył galopem w stronę domu.

- Poświęcisz mi chwilę, Cassie?

Cassie zatrzymała się w połowie schodów, zaskoczona uprzejmą prośbą brata.

- Oczywiście, Jamesie. Pozwól tylko, że się przebiorę...

- Teraz, Cassie - warknął, wracając do swego zwykłego tonu.

Zrobił tylko jeden krok w jej stronę, ale to wystarczyło, by poczuła się zagrożona.

- Dobrze, przyjdę od razu, skoro sobie życzysz. Spokojnie zeszła po schodach do niewielkiego saloniku.

- Chodzi o pułkownika Anstruthera - zaczął, spacerując po pokoju.

Cassie usiadła przy pustym kominku i wygładziła spódnice.

- Zachowałeś się wobec niego skandalicznie. Był urażony twoją dzisiejszą odmową.

Cassie znowu wygładziła spódnice i z satysfakcją stwierdziła, że jej dłonie nie drżą jak dawniej, podczas tego typu rozmów.

- Tak sądzisz? Ależ ze mnie idiotka! Nie miałam takich intencji. Zauważyłam, że byłeś przeciwny tej wyprawie, i doszłam do wniosku, że lepiej, by odmowa wyszła ode mnie. Pomyślałam, że pułkownik nie będzie mógł zakwestionować wymówki przedstawionej przez damę.

- Rzeczywiście, nie mógł. Mógł natomiast uznać cię za jędzę bez wychowania. Dobrze przynajmniej, że zdajesz sobie z tego sprawę! Przez twoją głupotę pułkownik może zakończyć naszą znajomość. Gdzie się wtedy znajdziesz, pamiętasz?

Cassie zignorowała ostatnie pytanie.

- Wybacz, bracie. Czyżbym cię źle zrozumiała? Byłam pewna, że nie odpowiada ci pomysł spędzenia całego dnia w opactwie. Gdybym...

- Oczywiście, że nie podobał mi się ten pomysł! Znam miliony lepszych sposobów spędzenia czasu niż ganiecie za smarkatą siostrą i jakimś wojakiem po stertach gruzów.

- Więc...

- Ale powinnaś wiedzieć, że nie wolno ci obrażać pułkownika odmową tylko dlatego, że wydaje ci się, iż ja nie wyrażę zgody.

- Ojej, czy to znaczy...

- To znaczy, że domagam się stanowczo, byś korzystała z każdej okazji do zacieśnienia stosunków z pułkownikiem Anstrutherem. Dobry Boże, nawet tak głupia dziewczyna jak ty powinna wiedzieć, że żaden mężczyzna nie poprosi o rękę kobiety, której wcale nie widuje! Rozumiesz? Czy jesteś kompletną idiotką?

Cassie pochyliła głowę.

- Przykro mi, że tak głupio się zachowałam. W dodatku uraziłam pułkownika Anstruthera, ale nie do końca rozumiem... Co powinnam była powiedzieć?

James przestał krążyć po pokoju, stanął przed nią na szeroko rozstawionych nogach i oparł ręce na biodrach.

- Gdybyś nie odmówiła tak kategorycznie i wykazała choć odrobinę zainteresowania propozycją, mógłbym wykazać dobrą wolę i wyrazić zgodę na twój udział w wycieczce, oczywiście w towarzystwie przyzwoitki. Pokazałbym w ten sposób, że ufam honorowi pułkownika i wierzę, że jako dżentelmen należycie zaopiekuje się tobą pod moją nieobecność. Bo ja, pomimo najszerszych chęci, nie mógłbym wybrać się z wami. - James coraz bardziej płonął gniewem. - Pułkownik byłby mile polechtany moim zaufaniem. A ty,

idiotko, wszystko zepsułaś! Na Jowisza, sam nie rozumiem, skąd mam do ciebie cierpliwość. Niszczysz wszystkie moje plany!

- Przepraszam, Jamesie - wyszeptała potulnie Cassie. -

Chciałam dobrze. Naprawdę. Może pułkownik wystosuje kolejne zaproszenie?

James popatrzył na nią zwięzonymi oczami i wymamrotał coś niewyraźnie.

- Czy mam rozumieć, że jeżeli pułkownik znowu przyśle zaproszenie, to powinnam je przyjąć?

- Dobry Boże, to chyba oczywiste! Masz je przyjąć, ty głupia dziewczyno. Masz wykorzystać wszelkie sposoby, żeby zwrócić na siebie uwagę pułkownika, i to szybko. Pojedziesz z nim, wszystko jedno dokąd i niezależnie od pogody. Rozumiesz?

- Tak.

- Cieszę się, że wreszcie pojęłaś. Zajęło ci to sporo czasu, Cassie, ale zawsze byłaś półgłówkiem.

Spojrzała na niego z nieprzeniknioną miną.

- Czy mam przyjąć zaproszenie również w twoim imieniu?

Brat gniewnie potrząsnął głową i podjął marsz po pokoju.

- Oczywiście, że nie! Nie zamierzam skakać wokół Anstruthera, dopóki batalia nie zostanie wygrana. Zresztą on za mną nie przepada. Szczególnie po... Lepiej, żeby mnie tam nie było. Pojedziesz naszym powozem, z Tamem na koźle i Morag w charakterze przyzwoitki. To wystarczy.

Cassie kiwnęła tylko głową. Nie odważyła się spojrzeć na Jamesa, by brat nie dostrzegł triumfu w jej oczach.

- I módl się, żeby kolejne zaproszenie nadeszło, moja panno. Bo inaczej zamienię twoje życie w piekło.

Cassie nie odpowiedziała. Wstała i potulnie, ze spuszczonego wzrokiem, ruszyła do drzwi, ale jej serce tańczyło z radości. Zwycięstwo okazało się

znacznie łatwiejsze, niż przypuszczała. Jej plan zadziałał. Kapitan Graham niewątpliwie dotrzyma swoich zobowiązań. Mogła na nim polegać.

Ross z przyjemnością spacerował wśród ruin Sweetheart Abbey. Cieszył się, że przyjechał tutaj samotnie. Pułkownik dostarczyłby mu z pewnością wielu interesujących informacji, ale Ross miał ochotę zostać sam ze swymi myślami.

Spojrzał na nawę i prezbiterium, gdzie jedynie delikatny maswerk świadczył o tym, że dawniej znajdowało się tu wspaniałe, gotyckie okno. Niegdyś panował tu zapewne półmrok, teraz jednak pozbawiona dachu budowla była dosłownie zalana słońcem. Zachwycające ruiny. Opactwo cystersów wzniesione - jeśli wierzyć pułkownikowi - przez Devorguillę, lady Galoway dla upamiętnienia ukochanego męża, Johna Balliola.

Ross powoli kroczył nawą. Gdzieś tutaj była pochowana lady Devorguilla wraz z urną zawierającą serce jej męża. Ross zatrzymał się na progu prezbiterium. Grób kochającej żony musiał znajdować się w tym miejscu, niegdyś wznosił się tu ołtarz. Ross nie chciał na nim stanąć, nie chciał zakłócać jej spokoju. Wrócił nawą do wyjścia i znalazł się w dawnym ogrodzie klasztornym.

Dlaczego tu przyjechał? Właściwie nie był pewien. Być może jego zainteresowanie obudziły opowieści pułkownika, a może raczej słowa panny Elliott. Historia kobiety, której miłość była tak potężna jak mury opactwa wzniesionego ku czci zmarłego męża.

Czy w dzisiejszych czasach taka miłość jest możliwa? Po przejściach z Julie Ross był przekonany, że nie. Nie spodziewał się już znaleźć miłości. Zresztą - czy po takiej zdradzie mógłby jeszcze zaufać jakiejś kobiecie?

Ze zdumieniem stwierdził, że obraz Julie zaczyna blaknąć w jego pamięci.

Od początku go oszukiwała. Wykorzystała go, by dotrzeć do Anglii i odzyskać ukochanego mężczyznę oraz pozycję towarzyską. Ross był tak olśniony jej urodą i odwagą, że pozwolił zrobić z siebie głupca. W swoich

marzeniach ustawił Julie na piedestale, jak marmurowy posąg bogini i uparcie nie dostrzegał na nim żadnych pęknięć.

Cassie Elliott, w odróżnieniu od Julie, nie dałoby się ustawić na piedestale. Była zbyt żywa, zbyt realna. Piękna - owszem, równie urodziwa jak tamta - ale równocześnie gwałtowna i porywcza. Przede wszystkim jednak uczciwa, od początku do końca. Nigdy nie wykorzystaby Rossa ani nikogo innego.

Mężczyzna, który zdobędzie miłość Cassie, będzie prawdziwym szczęściarzem!

Po raz pierwszy w życiu Ross poczuł ukłucie żalu, że jako człowiek pozbawiony fortuny i rodziny nie może być uznany za dobrą partię. Czy gdyby dysponował sumą, jakiej James Elliott zażądał za siostrę, kupiłby ją? Wzdrygnął się. Nie! Nigdy! To byłoby bezprawie i podłość. Zresztą Ross wcale nie szukał żony. Gdyby nawet, to Cassie Elliott nie spełniała jego wymagań. Który dżentelmen zechciałby poślubić dziewczynę tak samowolną, bez posagu i w dodatku obarczoną bratem pijanicą? Pomimo swych licznych zalet, Cassandra była prawdopodobnie skazana na staropanieństwo.

Ta myśl sprawiła Rossowi dziwną przykrość. Nieszczęsna Cassie nie zasłużyła na taki los. Jej postępowanie nie było właściwe, ale przecież Ross niemal siłą narzucił jej swoje towarzystwo w ucieczce, ona prosiła jedynie o niewielką pożyczkę.

Zakiełkowało w nim ziarenko wątpliwości. Jeśli Cassie oczekiwała, że Ross wystąpi z ofertą pomocy? Jeśli wykorzystywała go tak samo jak Julie?

Nie, to niemożliwe. Cassie nie była taka jak Julie! Na pewno!

Na pewno?

Doszedł do wniosku, że jako żołnierz powinien dotrzymać słowa i odwieźć ją do ojca chrzestnego, ale na tym koniec. Miłość była mu niepotrzebna. Musiał uporządkować własne życie.

Przede wszystkim poznać prawdę o ojcu. Jego przyjaciel Max nienawidził swego ojca, ale przynajmniej wiedział, kogo nienawidzi. Ross nie miał ojca, którego mógłby znienawidzić albo pokochać. Po przedwczesnej śmierci matki został sam. Pozostały mu tylko mętne, niewyraźne wspomnienia. Pamiętał, jak jakiś starszy mężczyzna krzyczał na niego, a kuląca się ze strachu matka próbowała go bronić. Pamiętał długą podróż w rozklekotanym, zbutwiałym powozie, w którym siedzieli z matką tylko we dwoje. Płakała nad nim tamtej nocy i pamiętał swój dziecięcy szok na widok jej łez. Potem zasnął w jej ramionach.

Coś musiało im się przydarzyć w Szkocji. Jako trzylatek niewiele rozumiał, obecnie jednak domyślał się, że matka zabrała go i uciekła od męża. Dlaczego? Co jej zrobił? I jakim cudem udało jej się ukrywać przed nim aż do śmierci? Być może wcale ich nie szukał?

Ross potrząsnął głową. Zbyt wiele pytań i całkowity brak odpowiedzi. Nie rozwikła tej tajemnicy, dopóki nie dowie się, skąd pochodzi.

Najpierw jednak musiał dotrzymać słowa danego pannie Elliott.

Rozdział dziesiąty

Ross wziął filiżankę herbaty z rąk pani Anstruther i wrócił na swoje miejsce naprzeciw niej.

- Obiad był znakomity, jak zawsze. Nie potrafię wyrazić wdzięczności za państwa gościnność.

Pani Anstruther uśmiechnęła się szeroko.

- Miło nam pana gościć, kapitanie. Dawniej mój mąż prawie nie wychodził z domu, najwyżej w interesach. Zawsze znajdował jakąś wymówkę, by mnie nie zostawić. Teraz robi z panem wspaniałe wycieczki. Jestem za to niewymownie wdzięczna, sir.

Ross odwzajemnił jej uśmiech.

- Jutro znowu będzie pani pozbawiona naszego towarzystwa, bo pani mąż zaofiarował się zawieźć mnie do Caerlaverock.

- Zgadza się - potwierdził pułkownik. - To wspaniały zamek. Zapewniam, że będzie pan pod wrażeniem, Graham. Mam nadzieję, że tym razem panna Elliott wybierze się z nami. Brat nie powinien zgłaszać żadnych obiekcji, bo to bardzo blisko ich domu, a zaproszenie zostało wystosowane przez osobę o nieposzlakowanej opinii.

Uśmiechnął się do żony. - Wybacz, zapomniałam ci powiedzieć, kochanie! - zawołała pani Anstruther. - Panna Elliott dziś rano przysłała list z przeprosinami. Napisała, że wybrałaby się z największą przyjemnością, ale wiążą ją jakieś wcześniejsze zobowiązania.

- Mam wątpliwości co do tych zobowiązań - rzucił gniewnie pułkownik. - Wszyscy wiedzą, że panna Elliott nigdy nie wychodzi z domu. Czuję w tym rękę jej brata. Zgadzasz się ze mną, Graham?

Ross unikał wzroku pułkownika.

- Może zatrzymują ją jakieś obowiązki domowe?

- Będą jeszcze inne okazje - zapewniła pogodnie pani Anstruther. - Będę ją zapraszać raz za razem, aż wreszcie jej brat ustąpi. Pan Elliott przekona się, że nie tak łatwo mnie zniechęcić!

Pułkownik wybuchnął śmiechem.

Ross starał się włączyć do ich wesołej rozmowy, choć kłamstwo nigdy nie przychodziło mu z łatwością, a wobec tak serdecznych i życzliwych ludzi czuł się szczególnie niezręcznie. Wkrótce nadeszło wybawienie.

- Pani wybaczy. - Kamerdyner pułkownika stanął w progu i skłonił się z szacunkiem. - Przyniesiono właśnie pilny list do kapitana Grahama.

- O Boże!

Pani Anstruther wyraźnie pobladła. Zapewne, jak większość ludzi, uważała, że pilny list musi oznaczać złe wiadomości. Ross pośpiesznie podszedł do drzwi i wziął z tacy list.

- Dziękuję, Gordonie.

Służący rozpromienił się, najwyraźniej mile polechtany tym, że kapitan Graham zapamiętał jego imię. Uśmiech zniknął jednak z jego twarzy, gdy pułkownik chrząknął znacząco. Wyrężył się na baczność i zapytał Rossa:

- Będzie odpowiedź, sir?

- Chwileczkę. - Ross złamał pieczęć i szybko przebiegł wzrokiem pismo. - Nie. Nie będzie odpowiedzi.

Kamerdyner skłonił się i zniknął bez słowa.

- Mam nadzieję, że to nie są złe wiadomości, kapitanie Graham?

- Może nie tyle złe, co... kłopotliwe. Obawiam się, że nie będę mógł dłużej korzystać z państwa gościnności. Interesy zmuszają mnie do powrotu do Londynu.

- Bardzo mi przykro. Kiedy pan wyjeżdża?

- Jutro skoro świt.

- Czym chce pan podróżować? Dylizansem?

- Pojadę konno do Carlisle i dopiero tam złapię dylizans do Londynu.

- Dobry pomysł - przyznał pułkownik.
- Pani wybaczy, milady, ale muszę wydać polecenia służącemu.
- Zobaczę pana jeszcze przed wyjazdem?

Pułkownik stanął za fotelem żony i leciutko pokręcił głową.

Ross zdawał sobie sprawę, że wstanie z łóżka sprawiało pani Anstruther wiele trudności, więc pojawiała się na dole dopiero przy śniadaniu. Niewątpliwie byłaby gotowa podjąć trud zerwania się bardzo wcześnie, gdyby ją do tego w jakikolwiek sposób zachęcił, ale Ross nie chciał nadwerężyć jej sił. Nie potrzebował niemej prośby pułkownika, by się tego domyślić.

- Wyjadę o brzasku, pani. Nawet służba będzie jeszcze spała.
- Ależ musi pan przecież przed podróżą zjeść śniadanie i...
- Proszę się tym nie kłopotać. Zjem coś, kiedy zatrzymamy się, by dać wytchnąć koniom.

- Kapitan wie, co robi, kochanie. Musimy go pożegnać i życzyć mu pomyślnego załatwienia interesów.

- Masz rację, oczywiście. - Pani Anstruther wyciągnęła rękę. - Miło nam było pana gościć, drogi kapitanie Graham. Liczę, że jeszcze nas pan odwiedzi. Zapewniam, że zawsze będzie pan u nas mile widzianym gościem.

- Jest pani zbyt uprzejma. - Ross skłonił się nad jej szczupłą dłoń. - Przykro mi, że muszę tak nagle wyjechać. Pod pani wpływem nauczyłem się nawet kochać rośliny.

Pani Anstruther roześmiała się.

- Sir, wydaje mi się, że to była, jak mówią młodzi ludzie, błaga.

Pułkownik parsknął śmiechem.

- Wolę nie wiedzieć, skąd znasz to określenie, a jeśli chodzi o meritum, to chyba się mylisz. W zamku Douglas kapitan Graham zadawał mi wiele ogromnie dociekliwych pytań.

- Pewnie pod wpływem panny Elliott. Ta młoda dama jest prawdziwą entuzjastką ogrodów. Chciałabym ją bliżej poznać.

- Może znajdziemy jakiś sposób - westchnął pułkownik. - Teraz się cieszę, że odrzuciła zaproszenie do Caerlaverock. Wyobrażasz sobie jej rozczarowanie, gdyby brat pozwolił jej jechać, a ja odwołałbym wycieczkę? A przecież musiałbym ją odwołać, skoro kapitan Graham nie jedzie. Nie możemy wybrać się do zamku sami.

Pani Anstruther skłoniła głowę na znak zgody.

- Żałuję, że nie zobaczę tych ruin, sir - rzekł Ross. - Może wybierze się pan jutro sam?

- Nie. Widziałem już zamek wielokrotnie. Obejrzymy go razem, kiedy przyjedzie pan znowu do Dumfries.

Ross kiwnął głową.

- Zgoda. - Skłonił się ponownie. - Pragnę jeszcze raz z całego serca podziękować państwu za uprzejmość. Za wszystko, co państwo dla mnie zrobili.

- Znacząco spojrzał na pułkownika. Wydawało mu się, że znowu poczuł w nozdrzach zatechły smród lochów Dumfries. - Dobranoc. Jeszcze raz dziękuję.

Cassie wysiadła z powozu i spojrzała na otoczone fosą majestatyczne ruiny Caerlaverock. Czy będzie wkrótce bezpieczna? Z Rossem?

Zbliżał się ku niej szybkim krokiem.

- Witam, kapitanie Graham - powiedziała i dygnęła. - Zapowiada się piękny dzień. Przynajmniej ja tak sądzę, bo Tam, ten typ, który siedzi na koźle, zawsze widzi wszystko w ciemnych barwach i już zaczyna krakać, że wkrótce zacznie padać.

Czy kapitan pojmie, co chciała mu przekazać? Najwyraźniej zrozumiał. Skłonił się przed nią, po czym lekko skinął głową stangretowi. Zorientował się, że ostrzegła go przed nim.

- Czy pułkownik wszedł już do zamku? - zapytała lekko.

- Niestety, pułkownik nie przyjechał. Już mieliśmy wychodzić, kiedy został niespodziewanie wezwany do jakiegoś wypadku na farmie. Nie było

czasu, by panią uprzedzić. Pułkownik przesyła przeprosiny i wyraża nadzieję, że mimo wszystko spędzi pani przyjemnie ten dzień.

- Ja...

- Panno Cassie, jaśnie pan życzyłby sobie, aby wróciła pani do Langrigg - Tam zaczął gramolić się na dół ze swego miejsca na koźle. Jego twarz wyraźnie poczerwieniała. - Panna nie powinna...

Kapitan Graham parsknął śmiechem.

- No, no, mój człowieku, nie tobie decydować, co ma robić twoja pani. Jestem pewien, że panna Elliott zechce obejrzeć ruiny, skoro już tu przyjechała.

- Ale jaśnie pan...

- Panna Elliott ma przyzwoitkę. - Niecierpliwie skinął na Morag, by do nich dołączyła. - Służę ramieniem, panno Elliott.

Chyba zauważył, jak mocno drżała jej ręka, bo kiedy tylko odwrócili się od Tama, uśmiechnął się do niej, by dodać odwagi i lekko uścisnął jej palce.

- Sir...

- Czy to nie imponujące? A proszę poczekać, aż zobaczy pani apartamenty. Muszę przyznać, że rzuciłem na nie okiem, zanim pani przyjechała. Wszystko wygląda tak, jak opisywał pułkownik.

Przez bramę wjazdową wprowadził ją na trójkątny dziedziniec wewnętrzny.

- Jest wspaniały - stwierdził.

- Czy nie lepiej wyruszyć od razu? - zapytała nerwowo Cassie.

Im szybciej przekroczą granicę, tym większa szansa uniknięcia pościgu.

- Jeszcze nie - odparł cicho. - Musimy dać Fraserowi czas na unieszkodliwienie sługusa pani brata.

- Tak, oczywiście, ale nie zrobi Tamowi krzywdy, prawda?

- Nie - odparł Ross ponuro. - Choć przyznaję, że kusi mnie, by potraktować go tak, jak on mnie nad brzegiem Solway.

Scena stanęła przed oczami Cassie jak żywa. Tam pomagał wówczas Jamesowi związać i zakneblować kapitana Grahama jak pospolitego rzezimieszka. Potem zawlekli go w strugach deszczu do Dumfries i wtrącili do lochu. Tam powinien być wdzięczny losowi, jeśli uniknie odwetu kapitana Grahama.

- Proszę pozachwycać się teraz głośno pięknem budowli, panno Elliott. Będę pani pokazywał godne uwagi fragmenty, a pani musi wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu. - Ross wskazał ręką wieżę w przeciwległym narożniku zrujnowanego zamku.

Cassie posłusznie kiwnęła głową.

- Wzięła pani wszystko, co będzie potrzebne w drodze?

- Tak. Spakowałam rzeczy do koszyków piknikowych.

- Do koszyków piknikowych? - Starał się powstrzymać od śmiechu.

- Tak. Powiedziałam bratu, że zabieram wino i jedzenie, by urządzić piknik pod murami zamku. Kiedy wszyscy poszli spać, Morag zastąpiła smakołyki ubraniami.

- Mam nadzieję, że dobrze ukryłaś żywność z koszów, Morag? - zapytał Ross przez ramię.

- W końcu ją znajdą. Po zapachu - odparła Morag z mściwą satysfakcją. - Ale wtedy panna Cassie będzie już bezpieczna, w Anglii.

- Obyś miała rację - szepnęła dziewczyna.

- Może być zimno i mokro, mam nadzieję, że zabrała pani ciepłe ubrania?

Cassie uniosła nieco rąbek podróżnego stroju i pokazała ciepłe, solidne buty.

- Nie tylko ubrania, ale i obuwie.

- Bardzo rozsądnie.

- Pewnie uzna mnie pan za idiotkę, ale nie przestaję się martwić o Lucyfera.

- Lucyfera? Tego konia?

- Musiał zostać w Langrigg. James go nienawidzi. Lucyfer już nie raz go zrzucił, więc James nie ma odwagi na nim jeździć. Obawiam się... obawiam się, że jak odkryje, że uciekłam, to przez zemstę zastrzeli konia. Nigdy bym sobie nie darowała, gdyby to zrobił.

Ross poprowadził ją ku nowszej części zamku, gdzie w starych murach urządzono wspaniałe apartamenty.

- Tego może się pani nie obawiać.

- Skąd pan wie?

- Pani brat nie jest głupcem. Nawet taki łajdak jak James Elliott zdaje sobie sprawę z wartości Lucyfera. Może go sprzedać, panno Elliott, ale nie zastrzeli.

Cassie poczuła taką ulgę, że miała ochotę uściskać kapitana Grahama. Dlaczego sama na to nie wpadła? James nie zniszczy czegoś, co da się zamienić na gotówkę. To oczywiste!

- Sir? - Fraser z szerokim uśmiechem wszedł na dziedziniec. - Zrobione. Leży związany jak prosiak.

- Panna Elliott martwi się, czy nie zrobiłeś mu krzywdy.

Fraser zwrócił się do Cassie. Szeroki uśmiech nie schodził z jego ust.

- Zrobiłem tylko to, co konieczne, pani. Będzie zdrow jak ryba... kiedy ktoś go znajdzie i rozwiąże. - Zerknął w niebo, które wyglądało coraz bardziej złowieszczo. - Oczywiście do tego czasu może porządnie przemoknąć.

Cassie zachichotała nerwowo. Nic nie mogła na to poradzić, choć powtarzała sobie, że dama nie powinna się śmiać z cudzego nieszczęścia. Nawet jeśli tym kimś był Tam.

- Wnieś go do zamku, Fraser - powiedział kapitan Graham stanowczo. - Podzielam twoją pokusę, by pozostawić go na deszczu, zasłużył na to, by zmoknąć jak ja, ale chyba lepiej umieścić go w jednej z wież. Jeśli zostawimy go na widoku, może zbyt szybko zostać odnaleziony.

- Rozkaz, sir. - Fraser wyciągnął zza pazuchy pistolet. - Zaraz go sprowadzę.

- Zaprowadź go tam. - Ross wskazał jedną z wież przy bramie wjazdowej.
- I nie zapomnij skrepować mu nóg, kiedy już tam wejdzie. Nie chcę, żeby sobie spacerował bez ograniczeń.

Ordynans uśmiechnął się tylko w odpowiedzi i bez słowa zniknął w bramie.

- Zaraz ruszamy. Gdzie jest teraz pani brat. W Langrigg?

- Nie. Wczoraj, kiedy wysłałam list do pani Anstruther -(na szczęście nie przyszło mu do głowy sprawdzić, co napisałam) - zrobił mi długi wykład, jak mam się zachowywać wobec pułkownika Anstruthera, i wyjechał. Pewnie do domu publicznego, jak zwykle.

- Panno Cassie!

- Daj spokój, Morag. Przecież to prawda. Kapitan Graham ma prawo wiedzieć, jakie ryzyko podejmuje.

- Jest pani...eee... zachwycająco bezpośrednio. Jeśli pani brat wybrał się... hm... tam, to kiedy jest spodziewany w Langrigg?

- Późnym popołudniem.

- Wygląda na to, że wyprzedzimy pościg o parę godzin. To powinno wystarczyć.

- Którą trasę pan wybrał, sir?

- Bezpieczniej będzie pojechać okrężną drogą przez Annan, Gretna i Carlisle.

- Nie chce pan spróbować drogi przez Solway? Jest krótsza.

- Ale bylibyśmy uzależnieni od odpływu. Nie chciałbym się znowu skąpać w wodzie.

- Rozumiem, ale... Jeśli brat wróci wcześniej, to ruszy za nami. Nie będę bezpieczna, dopóki nie stanę na angielskim brzegu. - Głos Cassie drżał wyraźnie, nie była w stanie tego ukryć.

- Proszę, kapitanie Graham... - Zamilkła, żeby trochę się uspokoić. - Nie musimy podejmować decyzji już teraz, ale jedźmy drogą nadbrzeżną. Będziemy bliżej morza na wypadek... na wypadek gdybyśmy musieli wybrać najkrótszą trasę.

- Dobrze, panno Elliott. Proszę nie obawiać się pościgu. Fraser będzie jechał ćwierć mili za powozem i gdyby ktoś nas ścigał, zostaniemy w porę ostrzeżeni.

Cassie uspokoiła się trochę, ale nie na długo. Wiedziała, że w razie potrzeby jej brat mógł szybko zebrać spory oddziałek łajdaków. Co poradzi jeden Fraser przeciwko gromadzie zbójów? Nie chciała jednak zdradzać swych obaw. Morag i bez tego była przerażona, a Cassie musiała polegać na swej pokojówce. Należało ją więc uspokoić.

- Skoro Fraser pojedzie w tylnej straży, to kto będzie powoził? - zawołała lekko.

Na ustach kapitana pojawił się psotny uśmiech sztubaka, który wyrwał się na wagary.

- Ma pani przed sobą nowego stangreta - oznajmił z lekkim ukłonem.

Poprowadził ją przez bramę i most nad fosą do czekającego powozu. Po drodze minęli Frasera, który prowadził pod lufą pistoletu zakneblowanego Tama ze związanymi rękami. Sługus Jamesa obrzucił Cassie spojrzeniem tak pełnym nienawiści, że zadrżała. Oby już nigdy więcej nie dostała się w ręce Tama ani Jamiego.

Rozdział jedenasty

Morag złapała się kurczowo skórzanego rzemienia, żeby nie spaść na podłogę.

- Boże, miej nas w swojej opiece - jęknęła. - On zaraz wywróci powóz.

Cassie uśmiechnęła się, by dodać jej otuchy.

- Nie sędzę, Morag. Kapitan powozi doskonale. Przyznaję, że jedzie dość szybko, ale... ach! - Nie zdołała powstrzymać okrzyku, kiedy powóz podskoczył na potężnym wyboju i dosłownie wyrzuciło ją z siedzenia. Opadła ciężko na brzeg ławki i złapała się mocniej rzemienia. - Tak, rzeczywiście szybko, ale wolę to, niż wpaść w ręce brata. Chyba że wołałabyś wrócić do Langrigg?

Morag, która całą energię poświęciła na trzymanie się rzemienia, odpowiedziała dopiero po chwili.

- Nie mogę wrócić. - Wyraz jej szarej jak płótno twarzy zdradzał śmiertelny lęk.

- Wkrótce wjedziemy na lepszą drogę - pocieszyła ją Cassie. Morag jęknęła rozpaczliwie.

- Jak droga będzie lepsza, to on pojedzie jeszcze szybciej. Boże, chyba zwymiotuję. - Zzieleniała na twarzy.

- Błagam, nie, Morag!

Wolną ręką Cassie sięgnęła do kieszeni po sole trzeźwiące. Gdzie je schowała, u licha? Chyba ich nie zapomniała?

Powóz nieco zwolnił przed ostrym skrętem w drogę do Annan. Potem zaraz przyspieszył, ale nawierzchnia rzeczywiście była lepsza i już tak nie rzucało.

Cassie namacała wreszcie sole trzeźwiące i podsunęła je służącej.

- Powąchaj, Morag. Zaraz poczujesz się lepiej.

Kobieta spojrzała na swą panią niepewnie, ale wciągnęła głęboko powietrze. Zaczęła kaszleć, z oczu popłynęły jej łzy, ale przynajmniej straciła zieloną barwę. Cassie położyła jej uspokajająco dłoń na ramieniu.

- Bez ciebie nie dałabym sobie rady, Morag. Przykro mi, że źle się czujesz, ale bardzo cię teraz potrzebuję. Naprawdę. Nigdy nie zdołam ci się odwdzińczyć za twoją lojalność.

- Już w porządku, dziecinko. - Morag przełknęła z trudem ślinę i kiwnęła głową. - Nigdy cię nie opuszczę. Choćby nie wiem co. - Zdobyła się na słaby uśmiech.

- Dziękuję, Morag.

- Co się dzieje? - krzyknęła po chwili służąca. - Dlaczego zwalniamy?

Powóz rzeczywiście wyraźnie zwalniał. Cassie opuściła szybę w oknie i wyjrzała. W samą porę, by dostrzec zbliżającego się galopem Frasera. To mogło oznaczać tylko jedno. James ich ścigał. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Proszę, Panie, nie pozwól mu nas złapać. Błagam!

Fraser uśmiechnął się do Cassie i zawołał do siedzącego na koźle Rossa:

- Trzech jeźdźców za nami, sir. Przez kłęby kurzu nie widzę, kim są, ale wyraźnie bardzo się śpieszą.

- Ile mamy czasu? - zapytał kapitan, nie zatrzymując powozu, który nadal jechał w dość szybkim tempie.

Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć turkot kół, ale był spokojny i pewny. To dodało Cassie nieco otuchy. Jeśli ktokolwiek mógł ją uratować, to właśnie kapitan Graham.

- Są jeszcze daleko i na razie nie skracają dystansu, ale nasze konie zaczynają odczuwać zmęczenie. Mamy jeszcze dwadzieścia, najwyżej trzydzieści minut. Może pan i milady pojechaliby wierzchem? Byłoby szybciej.

- Ale w końcu i tak by nas dopadli. Mam lepszy plan. Musimy przejechać przez Annan. Potem ci powiem co dalej - rzucił i zaciął konie batem.

Cassie poczuła, jak jakaś siła wciska ją w poduszki powozu. Tajemniczy plan kapitana Grahama był *jej* jedyną nadzieją na wolność.

Cassie spodziewała się, że Morag wpadnie w histerię, ale okazało się, iż nie doceniła charakteru służącej i siły jej strachu przed panem. Przez dwie minuty Morag przeklinała Jamesa Elliotta, potem już tylko dopingowała kapitana Grahama do szybszej jazdy. Nie pozostało śladu po jej poprzednich dolegliwościach. W obliczu realnego zagrożenia zmobilizowała wszystkie siły.

Powóz przemknął przez Annan, cudem unikając kilku kolizji drogowych. Cassie zarumieniała się, słysząc wyzwiska, rzucane im przez potencjalne ofiary wypadku, ale Morag wcale się nimi nie przejęła.

- Spokojnie, panienko. Kapitan Graham nie pozwoli, by stała się panience krzywda.

Jak na kobietę, która jeszcze niedawno niemal mdlała ze strachu, Morag przeszła w ciągu dziesięciu minut całkowitą transformację. Gdyby nie znajdowały się w tak rozpaczliwej sytuacji, Cassie wybuchnęłaby śmiechem. Pewnie kpiliaby z pokojówki niemiłosiernie, ale to nie był czas na żarty. Zbliżała się pora realizacji planu kapitana Grahama.

Pomysł okazał się dziecinnie prosty i bardziej niebezpieczny, niż sobie wyobrażała.

- Przywiąż swojego konia z tyłu powozu, Fraser, obok Hery. Weź moje pistolety i gnaj co koń wyskoczy do Gretna, w stronę granicy.

- Jasne, kapitanie. Mam do nich strzelać, gdyby próbowali mnie zatrzymać?

Cassie głośno wciągnęła powietrze.

- Nie, Fraser. Nie chcę, żebyś został powieszony za morderstwo. Strzelaj im nad głowami, jeśli to ci pomoże uciec, ale tylko w ostateczności. Masz za zadanie przekonać ich, że panna Elliott nadal znajduje się w powozie. Nie pozwól im zbliżyć się do okien. A ty, Morag, staraj się nie dopuścić, by zajrzeli

do środka. Ułóż kosze w taki sposób, by wyglądały jak wciśnięty w kąt powozu człowiek. Im dłużej zdołacie ich zwodzić, tym większą będziemy mieli szansę.

- Co pan zamierza?

- Jest odpływ. Spróbujemy przedostać się na drugą stronę Solway.

- Na piechotę? Chyba lepiej wziąć konie? Możemy...

- Nie, panno Elliott.

Cassie widziała, że cierpliwość kapitana jest na wyczerpaniu, ale jej również. To szaleństwo wybierać wolniejszy sposób ucieczki, mając do dyspozycji szybszy! Czy on tego nie widzi?!

- Pani brat musiał zauważyć konia przywiązanego z tyłu powozu i drugiego, który biegł za kareta - wyjaśnił szorstko. - Jeżeli wierzchowce znikną, zorientuje się natychmiast, że w powozie już pani nie ma. Nie będzie musiał zastanawiać się zbyt długo, dokąd pani zmierza. Dlatego musimy przejść przez Solway na piechotę.

Miał rację! Cassie pojęła to w jednej chwili. Kiwnęła głową, sięgnęła do kosza po długi, szary płaszcz i wyskoczyła z powozu.

- Opiekuj się nią, Fraser. Przywieź mi ją bezpiecznie do Anglii.

- Może pani na mnie liczyć, milady. - Fraser przywiązał swego wierzchowca za kareta i wskoczył na kozioł.

- Morag...

- Panno Elliott, idziemy! Muszą ruszać natychmiast, by pani brat nie zorientował się, że powóz stanął choć na chwilę.

Cassie odsunęła się i podniosła rękę na pożegnanie. Ani Morag, ani Fraser nie mieli czasu na odpowiedź. Zmęczone konie ruszyły z największą prędkością, na jaką było je stać, ku drodze wiodącej do Gretna.

Musieli korzystać z wszelkich naturalnych osłon terenu, więc droga do chatki starej Shony zajęła im więcej czasu, niż Ross zakładał. Gotów już był przebyć przesmyk bez przewodnika, ale Cassie pozostała nieugięta. Shona mogła wskazać im najkrótszą drogę i przeprowadzić przez ruchome piaski.

Posępna staruszka nie spieszyła się. Powoli wyszła przed dom i, mrużąc oczy, uważnie lustrowała poziom odpływu i piaski. Potem potrząsnęła głową, wyjęła z ust glinianą fajeczkę i wskazała nią przesmyk.

- Nie da rady, panienko Cassie. Za późno. Nie zdążycie na drugą stronę przed przyplywem.

- Shono, proszę! Jeśli zostanę tu znaleziona...

- Deszcz - powiedziała, Shona wpatrując się w niebo. - Tak. Zaraz lunie.

Kiwnęła głową, jakby na potwierdzenie własnych słów i zniknęła wewnątrz domu.

Ross zaklął pod nosem, po czym złapał Cassie za łokieć i pociągnął ją w stronę przesmyku.

- Ruszajmy sami.

- Nie tędy! - Shona wyłoniła się z chaty, niosąc trzy kije do pieszych wędrówek. Podała im po kiju, po czym wskazała kierunek własnym. - Chodźcie. Trzymajcie się za mną.

Nagle zniedołężniała staruszka zmieniła się w silną, twardą kobietę, kroczącą pewnie i tylko od czasu do czasu zatrzymującą się, by coś sprawdzić. Panna Elliott szła tuż za nią, starając się nie nadepnąć na ślady stóp przewodniczki, bo każdy krok groził zapadnięciem się w ruchome piaski. Kapitan zamykał pochód, przyglądając się uważnie piaskowi, by zauważyć bardziej niebezpieczne miejsca. Od czasu do czasu przenosił wzrok na niebo i angielski brzeg po drugiej stronie zatoki. Wydawał się taki bliski!

Niestety po piętnastu minutach marszu, kiedy Ross zaczynał już odczuwać zmęczenie mozolnym wydobywaniem stóp z wciągającego je w głąb zdradzieckiego piasku, upragniony brzeg nie wydawał się ani odrobinę bliższy.

Shona parła naprzód, nie oglądając się za siebie, by sprawdzić, czy nadążają za nią. Kiedy woda stawała się głębsza, dostosowywała krok do zmieniających się warunków, ale nie zwalniała. Ciągle spoglądała w niebo,

które stawało się coraz ciemniejsze, i w stronę morza, skąd w każdej chwili mógł nadejść przypyływ.

Panna Elliott bez słowa podążała za Shoną, starając się naśladować sposób chodzenia przewodniczki. Płaszcz zarzuciła sobie na ramiona, ale jej spódnica była już przemoczona do kolan.

Ross nie mógł jej w żaden sposób pomóc. Gdyby wziął ją na rękę, zostaliby wciągnięci w ruchome piaski. Zresztą wyśmiałaby go. W jej oczach płonęła odwaga. Była wyjątkową kobietą. Prawdziwą perłą. Jak mógł choć przez moment podejrzewać, że go wykorzystywała? Doświadczenie z Julie nie powinno wpływać na jego opinię o Cassie. Nie było między nimi żadnego podobieństwa. Nawet najmniejszego.

- Shona miała rację. Zaczyna padać, ale tym razem przynajmniej nie ma burzy. - Cassie uśmiechnęła się do Rossa przez ramię. Próbowała mu dodać odwagi!

Odpowiedział jej uśmiechem. Zaimponowała mu swą siłą ducha. Zaczął podejrzewać, że jeszcze nie wie, do czego jest zdolna panna Elliott.

Shona zatrzymała się nagle, ale bez przerwy zmieniała pozycję stóp, jakby szukała bardziej stabilnego gruntu.

- Nie mogę poprowadzić was dalej, bo nie zdążyłabym wrócić.

Końcem laski wskazała im ogromną skałę i niewielki pagórek za nią. Wyjaśniła, że mają iść gęsiego, dopóki skała nie zasłoni całkowicie wzgórza. Wtedy muszą skręcić i kierować się na białą skałkę po prawej stronie. Kiedy do niej dotrą, będą bezpieczni. Na angielskim terytorium.

- Dziękuję, Shono - powiedziała Cassie, ciężko dysząc z wysiłku.

- Bóg z tobą, dziecko. Macie mało czasu, przypyływ już blisko. Pamiętaj, że pędzi szybciej niż koń w galopie.

Ross nie tracił czasu. Wcisnął garść gwinei w dłoń starej kobiety, wymamrotał krótkie podziękowanie i ruszył. Z satysfakcją stwierdził, że Cassie już szła naprzód.

Jak wszyscy tubylcy zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Podążył tuż za nią i zauważył, że ślady jej stóp układają się w jedną linię, i że uważnie stawia każdy krok. Najwyraźniej lepiej przejrzała technikę marszu Shony niż on.

- Czy może pani trochę przyspieszyć? Jeśli deszcz się nasili, stracimy z oczu punkty orientacyjne. Poza tym niedługo zapadnie zmrok.

Bez słowa kiwnęła głową i przyspieszyła kroku. Była już przemoczona do pasa. Podobnie jak Ross. Byli zupełnie sami na zdradzieckim Solway.

Cassie nadal widziała skałę i wzgórze. Jeszcze sto jardów i trzeba będzie skrócić. Deszcz przybierał na sile, a kałuże stawały się coraz głębsze. Nie tylko szybko się ściemniało, ale pojawiła się również mgła. Zmusiła obolałe mięśnie do szybszego marszu.

- Co to było?

- Nic nie słysz... - Ale w tym momencie usłyszała. To były głosy. Z drugiej strony zatoki. Męskie głosy!

- Jeśli to pani brat, to ma konie. Jeszcze nie mógł nas dostrzec, ale jest szybszy od nas. Musimy biec.

- Spóźnił się. Przyplływ... - urwała.

Pomimo mgły słyszała wyraźnie, że głosy się zbliżają.

- Biegnij, Cassie. Już niedaleko. Uda nam się, jeśli pobiegiesz.

Dziewczyna podniosła do góry przemoczone spódnice i puściła się pędem do miejsca, w którym należało skrócić. Raz potknęła się i upadła jak długa, ale zerwała się na równe nogi, zanim kapitan zdążył do niej podbiec. Strach gnał ją naprzód, szybciej i szybciej.

Zatrzymała się tylko na sekundę w punkcie, w którym należało skrócić, by wyznaczyć kierunek. Dyszała ciężko, ale nie odważyła się przystanąć dla złapania oddechu. James deptał jej po piętach.

To niedaleko. Niedaleko. Uda się nam. Uda się.

Biała skała rosła z każdym ich krokiem. Jeszcze tylko ostatnia kałuża do pokonania. Wyglądała na głęboką. Cassie desperacko rzuciła się do przodu. Nie

ma czasu na obchodzenie jej dokoła! Jej nogi ugrzęzły w czymś gęstym, nie chciały jej słuchać. Wydawało jej się, że próbuje brodzić w zawieszistej owsiance!

Silne ramię objęło ją w pasie i na wpół uniosło, a na wpół wciągnęło na brzeg.

- Dotarliśmy - wysapał ochryple Ross, z trudem łapiąc oddech.

Oparł Cassie o białą skałę, by odzyskała równowagę, ale nogi ugięły się pod nią. Opadła bezwładnie na piasek. Z jękiem osunął się obok niej.

- Odpocznijmy minutkę, nie więcej. Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni. Musimy znaleźć kryjówkę.

Głosy mężczyzn i koni rozlegały się niepokojąco blisko. Cassie z wysiłkiem wstała.

- Którędy, sir?

Ross uśmiechnął się do niej i podniósł na nogi. Jego twarz tonęła w mroku. Błyszczały w niej tylko intensywnie niebieskie oczy i białe zęby. Wziął ją za rękę.

- W głąb lądu. Chodźmy.

- Sprawdźmy tę kępę krzaków.

Ross popychał ją przed sobą przez niski zagajnik, oglądając się przez ramię. Deszcz i mgła ograniczały widoczność niemal do zera, ale słyszał, że głosy zbliżają się coraz bardziej. A przecież oddalili się już znacznie od brzegu.

Cassie zrobiła kilka kroków i zniknęła.

- Co...

Jej głowa pojawiła się natychmiast na poziomie gruntu. Uśmiechała się od ucha do ucha.

- Szybko. Wskakuj. Pospiesz się, to znakomita kryjówka. Ross zsunął się do zagłębienia obok niej. Krzewy maskowały głęboką dziurę w ziemi, w której oboje z powodzeniem mogli się ukryć. Z góry stawali się tym sposobem całkiem niewidoczni. Elliott nie zdoła ich znaleźć, chyba że sam tu wpadnie.

- Pani aniołowi stróżowi należą się podziękowania - szepnął ledwie dosłyszalnie i otulił ją szczerze płaszczem. Czepek już dawno zgubiła. Wkrótce zacznie dygotać z zimna.

- Mój anioł stróż miałby znacznie mniej roboty, gdyby mój brat choć trochę przypominał człowieka - zawołała z gniewem. - On jest zakałą rodu ludzkiego. Jest...

Ross próbował ją uciszyć, bo wydawało mu się, że pochwycił jakiś dźwięk. Bliżej niż poprzednio.

- James Elliott powinien paść trupem i zostać potępiony na wieki - burzyła się. - Zasłużył na ogień piekielny. To diabeł w ludzkiej skórze...

- Ciii, panno Elliott. Chyba słyszę konie! Zignorowała go.

- A kiedy będzie smażył się w smole... Miał do wyboru: albo uciszyć ją siłą, albo... Zamknął jej usta pocałunkiem.

Cassie jeszcze nigdy nie płonęła taką wściekłością. Była zmarznięta i przemoczona. Dzwoniła zębami. Obawiała się o życie. Wszystko przez brata! Chciała go przeklinać do końca swoich dni. Miała do tego prawo. Kapitan Graham jej nie powstrzyma.

A jednak powstrzymał. Pocałunkiem.

Początkowo dotyk jego ust był twardy i miał na celu jedynie uciszenie jej. Zesztywniała, kompletnie zaszokowana. Potem jednak wargi mężczyzny zmiękły, stały się delikatne i pieszczotliwe. Nagle poczuła się tak, jakby jej zmarznięte ciało zanurzyło się w cudownie gorącej kąpieli. Każdy nerw, każdy mięsień, każdy cal skóry płonął. Czyhające na nich niebezpieczeństwo wyparowało i zniknęło jak mgła nad Solway w promieniach słońca.

Cassie nigdy dotąd nie była całowana przez mężczyznę. Nawet nie sądziła, że pocałunek może być tak wspaniały. Że może sprawić, by kobieta zapomniała o całym świecie. O śmiertelnym niebezpieczeństwie i o przyzwoitości. By oddała pocałunek z całą żarliwością, na jaką ją stać.

- Cassie! - Z ust Rossa wydobył się dźwięk, będący połączeniem szeptu i jęku.

Przez przemoczone ubranie czuła gorący dotyk jego palców. Przytulił ją mocniej, a ona przylgnęła do niego bez oporu. Pachniał wilgotną wełną i siłą, męską, zapewniającą opiekę siłą. To był odpowiedni moment, by...

- Posłuchaj, Cassie. - Tym razem jego głos był niewiele głośniejszy od tchnienia.

Głosy. Konie. Z której strony? Trudno powiedzieć. Deszcz i mgła zniekształcały dźwięk.

- Nie ruszaj się. Tutaj jesteśmy bezpieczni.

Przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej i okrył własnym płaszczem. Oparła policzek o wilgotny materiał jego ubrania. Słyszała mocne, spokojne uderzenia jego serca, podczas gdy jej własne waliło w szalonym tempie.

- Musimy się zbierać.

Cassie drgnęła. Tak blisko! To był głos Neda, jednego z pachołków Jamesa.

Ross delikatnie pogładził jej włosy. Chyba nie zauważył, że były wilgotne i potargane. Ten dotyk ukoił jej lęk. Jak mało brakowało, by zostali odkryci!

- Masz stracha, co? - rozległ się głos Jamesa. Tuż obok. Cassie starała się wtopić w ziemię, stać się niewidzialną.

Ross przycisnął ją do siebie i podtrzymał, bo nie mogła ustać na drżących nogach. Znów ją pocałował. Tym razem nie po to, by ją uciszyć. Ten pocałunek był leciutki jak dmuchawiec na wietrze, a jednak, dopóki trwał, nie pamiętała o strachu.

- Jedź, jeśli musisz. - To znowu James. - Ja bez niej nie wracam. Wiem, że gdzieś tu jest. Musi być.

- Ale nie zdążymy przejechać przez Solway, jaśnie panie.

- Mam czas. Przejadę bez trudu. A wy dwaj, jak macie zajęte serca, możecie wracać.

- Nie możemy zostawić pana samego.

- Nie jestem sam, Ned. Mam dwa pistolety do towarzystwa. Nie wrócę, dopóki nie będę musiał. Na razie mam dość czasu, by ją znaleźć.

- W takim razie zmykamy, jaśnie panie. Zaczekamy po drugiej stronie, w Annan.

- Przestań głądzić, człowieku. Jedź!

Ludzie Jamesa odjechali bez słowa, Cassie słyszała stukot kopyt ich koni. James został sam. Szukał ich. Miał w ręku pistolety z kulkami przeznaczonymi dla nich obojga.

Rozdział dwunasty

Ross zaklął w duchu i osłonił Cassie własnym ciałem. James miał broń, a on oddał oba pistolety Fraserowi! Jako żołnierz powinien wiedzieć, że nie wolno pozbywać się całej broni. Wtedy wydawało mu się to słuszne, bo ordynans miał ściągnąć pościg na siebie. Teraz jednak pościg był tutaj...

Nie ma sensu tracić czasu na rozważania, co by było gdyby. Niebezpieczeństwo było tu i teraz. Miał obowiązek chronić Cassie. W razie potrzeby nawet za cenę życia. Skuliła się w jego ramionach jak przemoknięty, wystraszony kociak, szukała u niego ciepła i pocieszenia. Ufała mu. Poczł nagły przypływ dumy, ale i lęku.

Mimowolnie zaczął głądzić potargane włosy dziewczyny, by ją uspokoić i uciszyć. Właściwie nie obawiał się, że mogłaby zdradzić ich obecność. Miała na to zbyt dużo odwagi. Uświadomił sobie, że tulił ją do siebie i pieścił, ponieważ... miał na to ochotę. Ponieważ o tym marzył. Ponieważ jej pragnął.

Parsknięcie konia przywołało go do rzeczywistości. Powinien skoncentrować się na niebezpieczeństwie, a nie bujać myślami w obłokach. Starł się pochwycić najśłabszy nawet dźwięk. Czy tylko wyobraził sobie

cichutkie podzwanianie uprząży? W takiej mgle trudno o pewność. Pewne było tylko to wtulone w niego, drżące ciało.

Cassie poruszyła się lekko, chciała unieść głowę. Zamierzała coś powiedzieć? Ryzyko było zbyt wielkie. Ross natychmiast zaczął ją całować. Próbował przekonać samego siebie, że robi to tylko po to, by ją uciszyć, ale to nie była prawda. Doskonale o tym wiedział. To szaleństwo, całować ją w mokrej norze, w krzakach patrolowanych przez zwyrodnialca z pistoletem!

Gdyby James Elliott ich jednak znalazł i zastrzelił, to chciał, by jego ostatnim wspomnieniem był namiętny pocałunek z Cassie Elliott. Sądząc po jej reakcji, pragnęła tego samego.

Bliskość śmierci dziwnie wpływa na ludzi, pomyślał. Bez przykrości.

Nagle do jego świadomości przedarł się jakiś dźwięk: tak, to głośny oddech zmordowanego konia. Po chwili dźwięk oddalił się albo tylko tak mu się wydawało. Nie miał pewności. Elliott mógł nadal znajdować się w pobliżu. W odległości kilku jardów. Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać.

Już dawno zapadła ciemność. Nie było księżyca. W okrytej liśćmi kryjówce nie było kompletnie nic widać.

Cassie nie bała się. W ramionach Rossa nie czuła lęku. Wiedziała, że on ją uratuje. Nie potrafiła sobie przypomnieć, w którym momencie zniknęły ostatnie wątpliwości. Może wtedy, gdy oderwał wreszcie usta od jej warg i wyszeptał jej imię. Ledwo słyszała jego cichy głos, ale zdawał się on wibrować w całym jej ciele. Jak obietnica, która na pewno zostanie spełniona.

Już od wielu godzin tulił ją do siebie, wspierał i ogrzewał własnym ciałem. Wydawało się, że miał siłę dziesięciu ludzi, a przecież powinien być równie wyczerpany jak ona.

Odsunął jej włosy i zbliżył usta do jej ucha.

- Cassie, wydaje mi się, że musiał już odjechać. - Jego głos był cichy jak tchnienie. - Od kilku godzin nie słyszałem najłżejszego dźwięku.

Cassie nie była taka pewna. Pochyliła głowę Rossa ku sobie, by odpowiedzieć mu również do ucha.

- A jeśli postanowił poczekać do następnego odpływu? Może nadal czai się gdzieś w pobliżu i czeka na nasz ruch?

Drgnął. Wyczuwała jego frustrację i lęk o nią. Nie chciał zrobić nic, co by ją naraziło na niebezpieczeństwo. Gdyby mieli podjąć jakiekolwiek ryzyko - a zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później będą musieli je podjąć, bo inaczej zamarzną w tej norze na śmierć - to inicjatywa musiała wyjść od niej.

- Sir, chyba powinniśmy poszukać lepszej kryjówki. Tutaj zostaniemy odkryci, gdy tylko się rozwidni. Na pewno zostawiliśmy za sobą jakieś ślady, prawda?

Kiwnął głową. Wyczuła, że się uśmiechnął. Ciekawe dlaczego?

- Jeśli teraz się stąd ruszymy, to nikt nas nie zobaczy. Jest zbyt ciemno.

- Jesteś odważną dziewczyną, Cassie Elliott - wyszeptał. - Ale jeśli mgła nie ustąpi, możemy kręcić się w kółko. Pomyślałaś o tym?

- Za to w ruchu przynajmniej się rozgrzejemy. Wydawało jej się, że starał się stłumić śmiech.

- Zostań tutaj - mruknął. - Zaraz wracam. - I zniknął. Cassie mocno owinęła się płaszczem, próbując zrekompensować sobie brak jego ciepła i ochrony.

Wrócił szybciej, niż się spodziewała. Zsunął się cicho i wziął ją w ramiona. Jakby tam właśnie było jej miejsce. Znowu zbliżył usta do jej ucha, ale tym razem nic nie powiedział. Najpierw pocałował leciutko płatek jej ucha, potem policzek.

- Nie bój się, Cassie. Obronię cię, obiecuję. Kiwnęła głową. Była tego pewna.

- Nie ma księżycy, ale niebo jest czyste i poprowadzą nas gwiazdy. Wydaje mi się, że jesteśmy sami.

Ugryzła się w język, by nie zapytać, czy jest tego pewien. Nie chciała, by sądził, że w niego wątpi. Zawahała się przez chwilę, po czym położyła dłoń na jego policzku.

- Idziemy? - zapytał tak lekkim tonem, jakby zapraszał ją do tańca.

- Tak.

Cassie stłumiła jęk. Jej mocne, skórzane buty przemokły na wylot przy przekraczaniu Solway. Jeszcze nie zdążyły wyschnąć, a już stwardniały i zaczynały pękać pod wpływem soli. Maszerowanie w takim obuwiu będzie bolesne. Odepchnęła od siebie tę myśl. Buty Rossa musiały przecież znajdować się w tym samym stanie, a nie narzekał. Jeśli on mógł iść, to ona także. Nawet na bosaka, jeśli to będzie konieczne.

Pomógł jej wyjść z dziury.

- Weź mnie za rękę, Cassie. Jeśli zgubimy się w tych ciemnościach, możemy się już nie odnaleźć.

Dotyk jego ręki był ciepły i krzepiący. Podobnie jak ona, zgubił po drodze rękawiczki, więc czuła stwardniałe odciski we wnętrzu dłoni. W niezrozumiały sposób dodało jej to siły.

Miał rację co do gwiazd. Ich słabe światło pozwalało odróżniać zarys krzaków, drzew i zwierząt. Na polu, pod nawisem skalnym, dostrzegła stadko pasących się spokojnie owiec. Jedna z nich odwróciła głowę, kiedy przechodzili, ale żadne ze zwierząt nie pofatygowało się, by sprawdzić, co to za ciemne sylwetki przemykają wzdłuż skalnej ściany.

Po przejściu mili Ross zatrzymał się nagle.

- Posłuchaj!

Cassie nasłuchiwała uważnie, ale słyszała jedynie szmer potoku.

- Nie jesteś spragniona? - W niskim głosie Rossa zabrzmiało lekkie rozbawienie.

- Ja... tak, bardzo. - Do tej chwili nie uświadamiała sobie nawet, jak bardzo zaschło jej w ustach.

- Chodź. Tylko uważaj. Brzeg może być śliski. - Mocno wziął ją za rękę i poprowadził, kierując się słuchem. - Jesteśmy. Usiądź na kamieniu. Jest trochę mniej mokry niż trawa.

Puścił jej rękę, a po chwili przysunął jej do ust stulone dłonie, w które zaczerpnął wody. Piła łapczywie. Nic nigdy nie smakowało jej tak wspaniale.

Gdy z kolei Ross zaspokajał pragnienie, Cassie zdjęła buty i zaczęła masować obolałe stopy. Stwardniałe trzewiki porwały jej pończochy na strzępy, a na palcach i piętach utworzyły się pęcherze. Ściągnęła pończochę z jednej nogi i właśnie zabierała się do drugiej, gdy podszedł do niej Ross. Chyba w tych ciemnościach nie widział jej łydek?

Raczej wyczuła, niż zobaczyła, że podniósł podartą pończochę.

- Nie powinniśmy zostawiać za sobą śladów. - Schował pończochę do kieszeni. - Drugą również chcesz zdjąć?

- Ja... nie mogę. Bo pan patrzy.

Nie odezwał się, ale odwrócił się na chwilę plecami. Szybko uporowała się z drugą pończochą i opuściła spódnicę.

- Tę też schowam. Pomóc pani włożyć buty?

- N...nie - wyjąkała, rumieniąc się w ciemności. - Gdyby tylko był pan tak dobry i znowu się odwrócił...

Cassie zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak głupia pensjonarka, bo to nie był czas na wstydlivość.

Zaledwie odwrócił się do niej plecami, zaczęła wpychać poranione stopy do trzewików, zagryzając usta z bólu. Na nic. Nie powinna była zdejmować ich z nóg! Teraz opuchnięte, obolałe stopy za nic nie mieściły się do zeszywniałego obuwia. Musiała dalej iść na bosaka.

Wstała i opuściła spódnicę. Wzięła oba buty do lewej ręki i ukryła je w fałdach spódnicy.

- Przepraszam za zwłokę, sir. Jestem gotowa do drogi. - Podała mu prawą rękę. - Proszę prowadzić.

Maszerowali równym krokiem przez jakieś pół godziny, kiedy znów zaczęło padać. Początkowo było to niewiele więcej niż wilgotna mgła, ale z czasem deszcz przybrał na sile. Wkrótce przemokli do suchej nitki i zmarzli. Musieli znaleźć schronienie.

Ross zdawał sobie sprawę, że gdyby nadal poruszali się w deszczu i mgle, mogli całkowicie zgubić kierunek. Był niemal pewien, że dotychczas szli na południowy zachód, w stronę domu sir Angusa, położonego w odległości kilku mil na zachód od Bowness.

Nagle Cassie jęknęła z bólu. Zabrzmiało to niepokojąco głośno.

- Co się stało?

- Nic, nic - zapewniła szybko, ale Ross jej nie uwierzył.

Cassie Elliott nigdy by się nie przyznała, że coś ją boli. Cofnął się i objął ją w pasie. Wsunął rękę pod płaszcz i przytulił ją do siebie, by rozgrzać ją własnym ciepłem.

- Powiedz prawdę, Cassie - poprosił łagodnie, ale stanowczo. - Dlaczego krzyknęłaś?

- Ja... skaleczyłam się w stopę. Musiałam nadepnąć na ostry kamień. Jest ciemno, ale już lepiej, chodźmy.

Zignorował jej prośbę. Ukląkł i zapytał:

- Która to stopa, Cassie? - Cisza. Uparta dziewczyna! - Która to stopa? Nie ruszymy się stąd, dopóki nie sprawdzę, co się stało.

Wydała przeciągłe westchnienie.

- Lewa - wyznała i odsunęła fałdę spódnicy, pokazując mu zniszczone buty.

- Dobry Boże! - Każdy, kto znajdowałaby się w odległości ćwierć mili od nich, mógł usłyszeć ten pełen grozy okrzyk. - Co ty wyczyniasz, dziewczyno? - jęknął, już znacznie ciszej. - Od dawna maszerujesz na bosaka? Mów, Cassie.

- Od strumienia - wyszeptała. Rossowi zabrakło słów.

- Musimy znaleźć jakieś schronienie - odparł, gdy odzyskał głos.

- Nie! Mogę iść dalej. Ja...

- Ale ja nie mogę. Bez gwiazd nie jestem w stanie określić kierunku. Musimy zaszyć się w jakiejś kryjówce, dopóki się nie wypogodzi.

Nie protestowała.

- Zostań tu, Cassie. - Wyciągnął z kieszeni kawałek sznurka i zawiązał go wokół nadgarstka dziewczyny. - Rozejrzę się w okolicy za jakimś schronieniem.

- Ale...

- Ciii. Trzymam drugi koniec sznurka. Ma kilka jardów długości. Przysięgam, że bardziej się nie oddalę. Jeśli nie znajdę schronienia, to wrócę, przeniosę cię kawałek i znów pójdę się rozejrzeć.

- Ale... - Znów zaczęła protestować, więc uciekł się do najprostszego i sprawdzonego sposobu uciszenia jej. - Pocałował ją.

Cassie jęknęła.

Ross odsunął się natychmiast.

- Boże, zraniłem cię? Bardzo przepraszam...

Roześmiała się. Dziewczyna, której stopy były obtarte do krwi, która trzęsła się z zimna - wybuchnęła śmiechem!

- Ross. - Po raz pierwszy wymówiła jego imię i poczuł dziwne sensacje w brzuchu. - Jest pan z pewnością wspaniałym żołnierzem, ale niewątpliwie brakuje panu... ee... pewnego wyczucia.

- No tak. - Inna odpowiedź nie przyszła mu jakoś do głowy.

- Skoro pan prosi, to będę cierpliwie czekała na końcu sznurka, ale najpierw proszę dokończyć ten pocałunek. - Pochyliła jego głowę ku sobie i zanim ich wargi spotkały się, wyszeptwała: - I nie pozwolę się nosić na rękach.

Dopiero po kilku próbach z wykorzystaniem sprytnego pomysłu ze sznurkiem Rossowi udało się znaleźć schronienie. Za każdym razem Cassie uparcie kuśtykała z tyłu, nie pozwalając się wziąć na ręce. Z praktycznych względów, jak twierdziła. Niosąc ją na rękach, nie mógł wyczuwać drogi i oboje mogli zabłądzić. Nie chciała być wniesiona na rękach prosto do jeziora, nawet

przez bohaterskiego wojaka, który pragnie oszczędzać jej stopy. Ross roześmiał się, westchnął i ustąpił, ale najpierw znów ją pocałował.

- Twój anioł stróż nadal czuwa. - Ross wymacał jakiś mur. Może dom? Nie, raczej obora czy jakaś szopa dla zwierząt.

Nawet gdyby okazała się tylko ścianą, to i tak dawała pewną osłonę przed wilgocią. Gdyby miała jeszcze dach, gotów był uznać to za prawdziwy pałac.

Wracając do niej po sznurku, podjął decyzję. Bez słowa wziął ją na rękę.

- Nie, Ross! Nie zgadzam się!

- Nie masz wyboru, Cassie - odparł z uśmiechem, który musiała wyczuć w jego głosie.

- Władujesz nas do rowu!

- Nie. Wiem, gdzie jesteśmy. Wyciągnij rękę. Krzyknęła ze zdumienia, kiedy jej palce natrafiły na ścianę.

- Będę cię niósł, a ty macaj mur. Powiedz mi, kiedy się skończy. To niedaleko.

Cassie tak się skupiła na wykonywaniu polecenia, że zapomniała o proteście przeciwko noszeniu jej na rękach. Dotarli do końca ściany, okrążyli jeden narożnik, potem drugi. Stali przy zrujnowanej szopie. Część frontowej ściany zawaliła się, niemniej było to jakieś schronienie.

Ross wniósł Cassie do środka, posuwając się wzdłuż muru. W przeciwległym kącie wyczuł pod stopami suchy grunt. Najwyraźniej ta część dachu pozostała nienaruszona. Postawił Cassie na ziemi w chwili, gdy znów zaczęła protestować.

- Puść mnie... O, dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie, milady. - Uśmiechnął się, choć wiedział, że nie może zobaczyć jego twarzy. - Przynajmniej w tym kącie jest sucho. To prawdziwa ulga. - Przykucnął i pomacał ziemię. - Mamy prawdziwe szczęście: siano. To musi być skład karmy dla zwierząt.

- Wspaniale! Przyznaję, że mam ochotę usiąść. To był... dość męczący dzień.

Ross nie zdołał powstrzymać śmiechu.

- Cassie Elliott, jesteś naprawdę niesamowita. Zdarzało mi się spotykać frontowych żołnierzy, którzy nie mieli twojej odwagi i znacznie bardziej narzekali.

- Naprawdę? - zająknęła się lekko. - Dziękuję. Zrobiła ruch, jakby chciała usiąść.

- Zaczekaj, najpierw rozłożę tu trochę siana. Nie ma go zbyt wiele, ale chyba starczy na wygodne siedzenie dla nas obojga. Czuję się tak, jakbym znów znalazł się w Hiszpanii. Tylko że tam deszcz bywał cieplejszy. - Zakończył rozkładanie siana i zdjął płaszcz, by je nakryć, ale się zawahał. Płaszcz był zbyt mokry. Lepiej podrapać się ostrymi źdźbłami, niż narazić się na przeziębienie. - Jeśli jest pani gotowa, pani szeszlonek czeka. Wziął ją za rękę i pociągnął na siedzenie obok siebie.

- Nie zaakceptuję niczego poza najlepszym aksamitem.

- Proszę o wybaczenie, nie wiedziałem. Obawiam się, że to zwyczajny adamaszek. Czy mam zmienić pokrycie?

- Natychmiast - odparła, tuląc się do jego boku.

Udawała dzielną, ale wyczuwał, że trzęsła się z zimna. Nic dziwnego.

- Zdejmij płaszcz, Cassie. Jest całkiem przemoczony. - Pomógł jej uporać się z mokrymi troczkami i zdjął z niej okrycie.

- Jeśli znajdę jakiś haczyk, powieszę go na ścianie. Może trochę przeschnie. Będę potrzebował sznurka. - Delikatnie rozwiązał sznurek otaczający nadgarstek Cassie. - I noża. Mam nadzieję, że go nie zgubiłem. Był w płaszczu.

Zaczął przeszukiwać kieszenie i nagle zaklął tak szpetnie, że Cassie zachłysnęła się powietrzem.

- Przepraszam. Nie chciałem cię zaszokować, ale jestem idiotą. Spójrz, co znalazłem.

- Chwilowo mam z oczu niewielki pożytek. Co to?

- Piersiówka brandy! - Odkorkował buteleczkę i przytknął jej do ust. - To cię rozgrzeje, Cassie.

Odsunęła ją z okrzykiem protestu.

- Fu! Nie piję alkoholu. Chcesz mnie spoić.

- Cassie, jesteś uparta jak hiszpański muł. Siedzisz tu przemoczona, zmarznięta, nie jadłaś nic przez cały dzień, ale odmawiasz przyjęcia jedynej rzeczy, która mogłaby ci pomóc?

Ross był autentycznie rozgniewany. Czy nie rozumiała niebezpieczeństwa, w jakim się znalazła? Miał ochotę nią mocno potrząsnąć i przemocą wlać jej brandy do gardła.

Wyjęła mu z dłoni otwartą flaszeczkę i bez słowa pociągnęła spory łyk.

- Cassie, nie można...

Za późno! Już krztusiła się alkoholem, który palił jej gardło.

- Ja... - wyskrzeczwała ledwie dosłyszalnie.

Ross natychmiast odstawił butelkę, objął Cassie i pocałował ją w czubek głowy. Cały gniew wyparował z niego w jednej chwili. Miał nadzieję, że dziewczyna nie zauważy, iż śmiał się z jej nieszczęścia.

Zauważyła.

- Ty draniu! - wychrypiała, gdy tylko zdołała odzyskać głos. - Wyśmiewasz się ze mnie!

- Przypominasz żabę.

- Owszem, przyznaję, że jestem zimna i mokra jak żaba, ale pozwolę sobie zauważyć z pewną satysfakcją, iż nie jestem zielona.

Znowu parsknął śmiechem, ale tym razem śmiali się razem.

- Jeśli pozostaniesz taka mokra, to możesz nawet zzielenieć. Naprawdę musisz się rozgrzać. Nie mam odwagi rozpalić ognia. Musimy więc

wykorzystać to, co mamy. Połóż się obok mnie. Przykryjemy się razem moim płaszczem. Jest grubszy od twojego i nie tak mokry od wewnętrznej strony.

Bez protestów wykonała polecenie. Większość dam wpadłaby w histerię, słysząc taką propozycję, ale większość dam nie znalazłaby się sam na sam z mężczyzną w opuszczonej szopie.

Przyciągnął Cassie do siebie, próbując rozgrzać ją własnym ciałem.

Otulił ich oboje płaszczem. Jego nogi wystawały spod przekrycia, ale jej biedne, poranione stopy były, na szczęście, schowane.

- Trochę cieplej?

- Tak. Znacznie cieplej - wyszeptała. - Czuję działanie brandy.

- Dobrze. - Przytulił ją jeszcze mocniej. - Postaraj się zasnąć.

Wilgotne, potargane loki rozsypały się po ramionach dziewczyny jak podczas ich pierwszego spotkania. Przemoczona suknia i gęstwina skołtunionych włosów - wszystko to już było.

Jęknęła cicho.

- Cassie?

- To nic. Naprawdę.

Zdradziło ją własne ciało. Nie była w stanie powstrzymać dreszczy ani szczykania zębami.

- Niedobrze. Musisz zrzucić z siebie te mokre ciuchy. Nie ma innego wyjścia.

Wbrew jej protestom odrzucił przykrycie i posadził ją, by rozsznurować jej suknię.

- Sir, nie może pan... - wyjąkała, szczykając zębami.

- Nie czas na skromność, Cassie. Jeśli nie zdołamy cię wysuszyć, nie wyjdiesz z tego. - Przesuwał palcami po jej plecach. - Do licha, gdzie jest zapięcie tej przeklętej sukni?

- Sama sobie poradzę - mruknęła.

Rozdział trzynasty

Cassie zdołała drżącymi palcami rozpiąć suknię i halkę, ale Ross musiał jej pomóc zdjąć jedną i drugą.

Starła się nie myśleć o tym, co robi. Wiedziała, że jeżeli nie wysuszy się i nie rozgrzeje, to rozchoruje się poważnie. Wówczas nie zdoła dotrzeć do ojca chrzestnego. Czym była lekka nieprzyzwoitość w porównaniu z takim zagrożeniem?

- Teraz reszta, Cassie.

Wstrząsana dreszczami dziewczyna z trudem przełknęła ślinę.

- Będę potrzebowała... twojej pomocy. Sznurówka. Z tyłu.

Czuła, jak męczył się z mokrą sznurówką. Nie udało mu się rozwiązać supłów.

- Mogę zostać w... gorsecie.

- Nie. Jest też kompletnie przemoczony.

Znowu poczuła dotyk jego palców na plecach i nagle została uwolniona z gorsetu. Wielkie nieba! Przeciął sznurówkę nożem!

- Trudno, pojawisz się u sir Angusa bez gorsetu. Lepiej tak, niż nie dotrzeć tam wcale. - Wstał. - Zostań tutaj. Spróbuję rozwiesić twoje ubrania, żeby wyschły albo przynajmniej je rozłożę.

Cassie owinęła się szczelnie płaszczem Rossa.

Po chwili wrócił.

- Teraz bielizna, Cassie.

- Co? Nie! Nie mogę. Wyciągnął rękę i dotknął materiału.

- Jest cieniutka. Jeśli ją rozłożę, szybko wyschnie. Na ciele zachowa wilgoć i zmarzniesz na kość.

Przez chwilę Cassie obawiała się, że Ross siłą zedrze z niej resztę odzienia, ale on nawet nie drgnął. Czekał.

- Bądź rozsądna. To dla twojego dobra.

Nie musiał stosować przemocy. Doskonale wiedział, jak ją skłonić do kapitulacji. Zsunęła z siebie ostatni przydziewek, pocieszając się myślą, że w tych ciemnościach nie mógł dostrzec jej nagiego ciała.

- Dziękuję. - Wziął od niej bieliznę i odszedł rozłożyć ją do wysuszenia. - Połóż się na sianie, spróbujemy cię rozgrzać.

Cassie spodziewała się, że okryje ją płaszczem, ale nie zrobił tego. Położył się przy niej, przyciągnął ją do siebie i okrył ich oboje. Zachłysnęła się powietrzem.

- Sir, pan...

- Moje ubrania były równie mokre jak twoje, Cassie. Musiałem je również zdjąć.

- Ale...

- Śpij. Mamy przed sobą jeszcze kawał drogi. Ruszamy o świcie.

Jego głos brzmiał bardzo rzeczowo, niemal obojętnie, co brzmiało bardzo dziwnie w ustach mężczyzny nagiego do pasa.

Ross bardzo długo leżał bez ruchu, przytulając do siebie Cassie, wreszcie dreszcze ustały. W końcu się nieco rozgrzała. Gdy zapadła w sen, nie śmiał nawet odetchnąć.

Niełatwo było zmusić własne ciało, by nie reagowało na nagą dziewczynę, wtuloną w jego ramiona. Cassie Elliott, nawet mokra i wstrząsana dreszczami, stanowiła potężną pokusę. Wmawiał sobie, że nie zrzucił przemoczonych spodni wyłącznie dlatego, że bał się zdjąć buty. W pewnym stopniu było to prawdą, ale tylko częściowo. Przyznawał teraz, że nie miał odwagi przytulić Cassie do swego nagiego ciała.

Próbował myśleć o czym innym. Starał się nakreślić plan działania na następny dzień. Przede wszystkim trzeba ochronić jakoś stopy Cassie. Może obwiązane sznurkiem pasy z bielizny? Nie, to absurd, ale mógł oderwać poły

surduta. Materiał był dość gruby. Na pewien czas wystarczy. Gdyby tylko wiedział, ile jeszcze mieli do przejścia, i czy mogą szukać pomocy.

Cassie jęknęła cicho, ale się nie obudziła.

To pomogło mu podjąć decyzję. Byłoby nieludzkie kazać jej iść dalej na piechotę. Musiał podjąć ryzyko i poszukać pomocy. Miał jeszcze pieniądze - sakiewkę gwinei i zwitek wilgotnych banknotów. Gdyby udało mu się spotkać kogoś na tym odludziu, gotów był zaoferować królewską zapłatę za konia czy wóz.

- Ross? - rozległ się zaspany, bardzo zmysłowy głos.

- Jesteś bezpieczna, Cassie. Śpij. Jeszcze ciemno. Wtuliła się w niego, ocierając się policzkiem o nagą skórę. Zagryzł wargi, żeby nie jęknąć, ale mimo wysiłku nie zdołał powstrzymać reakcji swego ciała.

- Och, jak ciepło, jak bezpiecznie. - Przekręciła się w jego ramionach i nagle usiadła z lekkim okrzykiem.

- Co się stało Cassie?

- Chyba mnie coś ugryzło.

Ross przesunął dłonią po ich prowizorycznym posłaniu i wyciągnął ostry kawałek siana. Dotknął nim dłoni dziewczyny.

- Nic cię nie ugryzło. To tylko słoma, ale zczekaj chwilę, przyniosę twoją bieliznę. Pewnie już wyschła, powinna trochę osłonić skórę.

Cassie siedziała, obejmując ramionami kolana. Krótki sen ją pokrzepił, czuła się znacznie lepiej. Tylko stopy bolały, ale postanowiła nie zwracać na to uwagi. Woląla skoncentrować się na wyjątkowym, rozkosznym doznaniu, jakim było spoczywanie nago w ramionach mężczyzny, którego kochała.

Głośno wciągnęła powietrze.

- Co jest, Cassie?

- N...nic. - Przełknęła z trudem ślinę. Naprawdę go pokochała? Jak do tego doszło? Prawie go nie znała.

Myśli ciągle kłębiły jej się w głowie, gdy Ross wrócił do niej i pomógł jej wciągnąć pantaloney.

- Poczujesz się lepiej, mając coś na sobie - powiedział z uśmiechem w głosie.

- Dziękuję - mruknęła odruchowo, ale coś w niej krzyczało: Nie! Chcę, by wszystko zostało, jak było. Piers przy piersi, skóra przy skórze. Dobry Boże, ależ z niej wyuzdana kobieta! Zadrżała na samą myśl o tym.

- Znowu zmarzłaś, Cassie. Włóż pod płaszcz. Spróbuję cię rozgrzać.

Jak mogła dopuścić, by znów ją obejmował, teraz, kiedy już wiedziała? Mimo to wtuliła się w jego ramiona. Głupio byłoby zrobić co innego w tak chłodną noc.

Czuła na skroni lekkie drapanie męskiego zarostu. Celowo przysunęła się, by poczuć to mocniej. By mieć pewność, że naprawdę tu był, realny, prawdziwy. Na nic więcej nie mogła liczyć, bo gdyby James ich nakrył, zabiłby ich oboje. Cassie zaczęła się wiercić, by wtulić się w Rossa jeszcze mocniej. Jęknął.

- Cassie, proszę! - Jego głos wydawał się głębszy, bardziej ochryply niż normalnie - Postaraj się leżeć spokojnie.

- Och, przepraszam. Przeszkadzam ci zasnąć? Znowu jęknął.

- Cassie, mężczyźnie niełatwo jest... zasnąć, trzymając w ramionach taką kobietę jak ty.

- Nie rozumiem. Niewygodnie ci?

- Och, Cassie. - Roześmiał się cicho. - Zapomniałem, że pomimo isticie żołnierskiej odwagi, jesteś niewinną dziewczyną. Kochanie, kiedy mężczyzna trzyma w ramionach piękną kobietę, to... trudno mu kontrolować własne ciało. Wybacz - dodał szybko. - Nie chcę wprawiać cię w zakłopotanie.

W pełnym świetle Cassie zapewne czułaby się zakłopotana, ale w tu, w ciemności, przytulona do niego całym ciałem, czuła się jak w zaklętym zamku, którego wysokie mury odgradzały ją od wszelkich zagrożeń świata.

Jamie był gdzieś tam na zewnątrz, czaił się z pistoletami, ale dopóki chroniła ich ciemność, nie mógł ich dopaść. Pocałowała leciutko szyję Rossa.

Miała nadzieję, że świt nie nadejdzie nigdy.

- Cassie, proszę... Już i tak nie jest mi łatwo. Jeśli będziesz to robić, nie rękę za siebie.

Uśmiechnęła się z ustami tuż przy jego skórze i znów go pocałowała. Dotykanie go również miało w sobie coś z magii.

- Cassie, nie wiesz, co robisz. Przestań.

Odrzucił przykrycie i próbował wstać, ale go zatrzymała.

- Nie odchodź, Ross. Proszę. Zostań ze mną.

- Nie mogę. - Jego ochryply głos był dziwnie napięty. - Jeśli nadal będziemy razem leżeli, w końcu zaczniemy się kochać. Nie wolno mi cię zhańbić. Mam obowiązek odstawić cię bezpiecznie do ojca chrzestnego. Zostań tu, pod przykryciem. Ja ubiorę się i pospaceruję po okolicy. Dzięki temu obojgu nam będzie ciepło i unikniemy pokusy.

Cassie wahała się tylko przez chwilę. Nie mogła pozwolić, by Ross opuścił jej zaczarowany zamek. Jeśli stąd wyjdzie, Jamie będzie mógł go zastrzelić. Mieli tylko tę jedną noc. Kochała go i pragnęła. Była wychowana na wsi i doskonale wiedziała, co się dzieje między kobietą i mężczyzną. Wiedziała również, że Ross Graham to jedyny mężczyzna, którego będzie kochała. Nic jej nie obchodziły te brednie o obowiązku i hańbie.

Usiadła za nim, objęła go w pasie ramionami i przycisnęła piersi do jego pleców. Przeklęła w duchu cienkie płótno bielizny. Wolałaby, żeby nie było między nimi żadnych barier.

- Cassie! Przestań! Nie wiesz, co robisz, jakie ryzyko podejmujesz!

Przytuliła policzek do jego pleców. Czowała napięcie mięśni Rossa.

- Wiem - szepnęła cicho, ale zdecydowanie. - Doskonale wiem. Wiem, że jutro brat może zastrzelić mnie albo nas oboje. Wiem również, że tej nocy pragnę być w ramionach mężczyzny, którego kocham.

Usłyszała, jak gwałtownie wciągnął powietrze. Zesztywniał, wszystkie jego mięśnie napięły się do granic możliwości. Delikatnie ocierała się policzkiem o jego plecy.

- Nie wierzysz mi? To prawda. Teraz to rozumiałam, wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy. Chcę, żebyśmy byli razem, Ross. Teraz.

Jęknął cicho.

Cassie odebrała to jak odtrącenie. Starła się zdusić dławiący ją w gardle szloch.

- Nie... nie przyszło mi do głowy, że mnie nie zechcesz. Przepraszam. Ja...

- Och, Cassie! - Odwrócił się natychmiast i zamknął ją w ramionach. - Ty gąsko! Oczywiście, że cię pragnę. Rozpaczliwie. Jesteś dumna, dzielna i piękna. Pragnę cię każdą cząstką swego ciała, ale nie mogę.

Cassie uśmiechnęła się promiennie.

- To żadna hańba. Kocham cię i oddaję ci się z własnej, nieprzymuszonej woli. Chcę, byś się ze mną kochał, Ross. - Pocałowała go, starając się okazać mu swą namiętność.

- Jesteś czarodziejką, Cassie Elliott - szepnął. Najwyraźniej on również odczuł działanie magii.

Całował ją do utraty tchu, aż całe jej ciało zdawało się zebrać o dotyk. Piersi bolały, a naprężone brodawki nieomal rozdzierały cieniutki materiał bielizny.

- Muszę to zdjąć - zawołała, nie mogąc dłużej znieść dotyku materiału na rozpalonej skórze. Zerwała z siebie bieliznę i chciała ją odrzucić, ale Ross wyjął ją z jej dłoni.

- Usiądź na chwilę, Cassie - poprosił. Rozłożył koszulkę na sianie i ułożył na niej dziewczynę. Materiał, który jeszcze przed chwilą zdawał jej się ohydny i szorstki, teraz stał się gładki jak jedwab.

Cassie chciała przyciągnąć do siebie Rossa, ale on zmagał się ze spodniami.

- Są mokre - rzuciła kpiąco. - Już dawno powinieneś się ich pozbyć.

Roześmiał się, ale z dziwnym napięciem.

- Gdybym to zrobił, kochałbym się z tobą już kilka godzin wcześniej.

Och, Cassie... za chwilę może być za późno. Czy jesteś absolutnie pewna?

Przykryła jego dłonie rękami.

- Tak, jestem pewna. Nie widzę cię, ale chcę cię dotykać. Całego.

Więcej już Ross nie mógł znieść. Pozbył się spodni i przyciągnął dziewczynę do siebie. Spodziewał się, że cofnie się wystraszona pierwszym kontaktem z ciałem podnieconego mężczyzny. Nic podobnego. Lekko poruszyła się, ocierając koniuszkami piersi o jego tors. Nie było odwrotu!

Zaczął całować jej pięknie wykrojone wargi, aż rozchyliła je, pozwalając mu wtargnąć do wnętrza. Była pojętną uczennicą i już po chwili całowała go z taką namiętnością, jakiej nie zaznał dotychczas z żadną kochanką. Pieścił dłońmi jej piersi, aż ich czubeczki stwardniały. Zaczął ssać jedną z piersi. Mocno. Cassie jęknęła z rozkoszy. Uśmiechnął się i przesunął rękę po jej brzuchu w dół, ku zwińczeniu ud. Nie opierała się, gdy ją objął dłonią. Otwierała się przed nim jak kwiat do słońca. Była taka piękna! I taka namiętna!

Pocałował ją w usta i nakrył własnym ciałem. Zawahał się. Czekał, choć wiele go to kosztowało. Położyła dłonie na jego pośladkach i popchnęła go w dół, unosząc się równocześnie na jego spotkanie.

Z usta wyrwał jej się krzyk, zduszony natychmiast pocałunkiem.

Znieruchomiał. Sprawił jej ból. Powinien przestać.

Na sekundę ciało dziewczyny napięło się, ale po chwili zmiękła i zaczęła go całować.

Poruszył się w niej, a ona wyszła mu na spotkanie. Mocniej. Szybciej. Wreszcie wykrzyczała jego imię. Osiągnął szczyt w chwilę po niej i opadł na jej drżące ciało.

Cassie rozpromieniła się w ciemności. Kochała ciężar spoczywającego na niej męskiego ciała. Jej własne śpiewało ze szczęścia, nasycone i rozkosznie rozleniwione. Wiedziała z góry, że tak będzie. Skąd wiedziała?

Tego wspomnienia z zaczarowanego zamku nikt już jej nie odbierze. Aż do końca życia.

Pogładziła Rossa po ramieniu. Uniósł się na łokciach.

- Jestem za ciężki. - Przewrócił się na bok, nie wypuszczając jej z ramion.
- Dziękuję - wyszeptał.

Znowu się rozpromieniła. Uświadomiła sobie, że nie mógł tego dostrzec w ciemnościach, więc szukała słów, którymi mogłaby mu odpowiedzieć, ale nagle poczuła się dziwnie onieśmielona i złożyła tylko leciuteńki pocałunek w kącik jego ust.

- Prześpij się teraz - szepnął ochryple i ułożył sobie jej głowę na ramieniu.
- Porozmawiamy o tym później.

Było jeszcze ciemno, gdy Cassie się obudziła. Ross nie spał. Słyszała tylko szmer deszczu.

- Ross?

- Tak? - Wydawało jej się, że wpatrywał się w ciemność

- O czym myślisz?

- O niczym szczególnym. O pytaniach bez odpowiedzi. Kim jestem? Skąd naprawdę pochodzę? I jak się tu właściwie znalazłem? Jak doszło do tego, że kochałem się z piękną szkocką dziewczyną?

Dotknęła palcami jego warg. Miała rację. Uśmiechał się.

- Naprawdę nic nie wiesz o rodzinie?

- Prawie nic. Byłem przekonany, że rodzina ojca pochodzi z tych stron. Szukałem, ale... Pytałem pułkownika Anstruthera i innych ludzi o Grahamów z Dumfries, ale nikt nie potrafił mi nic powiedzieć. Zdarzyło się jednak coś dziwnego. Kiedy parę dni temu zwiedzałem kościół w Ruthwell, dostrzegłem herb na starej płycie nagrobnej. Wydał mi się znajomy. Niestety, kamień był tak

zniszczony, że nikt nie mógł odczytać inskrypcji. Wszyscy jednak twierdzili stanowczo, że nazwisko nie mogło brzmieć Graham. Nie posunąłem się więc ani o krok naprzód. Może w Longtown znajdę odpowiedź. Mówiłaś, że jest tam gospoda o nazwie Graham Arms, prawda?

- Tak. Przykro mi, że niewiele się dowiedziałeś. Pewnie trudno żyć na świecie całkiem samemu. Bez korzeni.

- Nie, Cassie. Nie jestem sam. Nie posiadam rodziny, ale mam przyjaciół. Dobrych przyjaciół. Podczas gdy ty... - Odgarnął jej włosy z czoła.

- Ja... - Głos się jej załamał. Zaniemówiła na chwilę. - Ja również mam przyjaciół - powiedziała wreszcie. - Morag i Alasdaira. Pułkownika i panią Anstruther. A teraz... mam jeszcze ciebie.

Pocałował jej włosy.

Cassie nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć. Przytłaczało ją coraz bardziej poczucie, że jest naga. Że oddała się Rossowi. Nie, narzuciła mu się, jak jakaś ladacznica. Trzymał ją w objęciach, ale co sobie o niej myślał? Nieważne, że go kocha. Nie powinna mu była tego mówić. Bo on jej nie kocha. To jasne. Gdyby ją kochał, powiedziałby jej o tym.

- Biedna Cassie - mruknął, głaszcząc jej plecy. - Jakie ciężkie miałaś życie.

Cassie czuła, że Ross zaraz zacznie mówić o jej rodzinie. Zapyta o matkę. Powinna mu powiedzieć...

Nie mogła mu powiedzieć! To niemożliwe! Wystarczy, że bezwstydnie wyznała mu miłość i zmusiła go, by się z nią kochał. Na pewno uważa ją za ladacznicę. Gdyby zdradziła mu, że matka umarła w przytułku dla obłąkanych, zamknięta tam z powodu szaleństwa i cudzołóstwa, utwierdziłaby go tylko w przekonaniu, że i sama Cassie jest zdeprawowana. Będzie nią pogardzał. Nie mogłaby tego znieść!

- Ja... ty... - Rozpaczliwie starała się zmienić temat rozmowy, by zapomnieć o jej rodzinie. - Długo służyłeś w armii? - zapytała w końcu.

- Tak. Wstąpiliśmy do wojska razem z Maksem, kiedy byliśmy bardzo młodzi.

- Z Maksem?

- To mój najlepszy przyjaciel. Dorastaliśmy razem. Po śmierci mojej matki.

Więc jednak miał rodzinę. W pewnym sensie.

- Domyślam się, że w czasie służby zobaczyłeś niezły kawałek świata?

Z jego gardła wydobył się dziwny dźwięk.

- To pod niektórymi względami dziwne życie. Niesie ze sobą trudy, ale i prawdziwą przyjaźń. - Zamilkł, najwyraźniej zatonał we wspomnieniach. W jego głosie wyczuwało się uśmiech, który zniknął, gdy podjął opowieść. - Widzieliśmy śnieg, błoto i deszcz, ale i palące słońce Półwyspu Iberyjskiego. Wszystkiego doświadczyliśmy wspólnie. Również śmierci, aż nazbyt licznych. Widziałem wielu przyjaciół, dzielnych ludzi, leżących w kałuży krwi... - Wzdrygnął się. - Wybacz. Nie powinienem o tym mówić. To nie jest temat dla dam.

Cassie nic nie odpowiedziała. Wyczuwała jego ból. Potrzebował pocieszenia, nie słów. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła jego głowę do piersi. Gładziła jego włosy, jak przedtem on jej.

Westchnął, ale po chwili już się całowali. Znow zaczęła narastać w nich namiętność, który wyniosła ich wysoko ponad zaczarowany zamek i eksplodowała w niebo tysiącem gwiazd.

Ross obudził się w szarym świetle brzasku. Przez moment wydawało mu się, że jest w Hiszpanii i musi szybko zebrać swój oddział, by ruszyć do bitwy, ale w Hiszpanii nie czuł przy sobie ciepłego, miękkiego ciała kobiety. Cassie. Piękna Cassie. Namiętna Cassie.

Kochała go. Nie mógł pojąć, jakim cudem taka istota mogła obdarować go sobą. Nie zasługiwał na taki dar. Nie potrafił jej jednak odmówić. Czy jakikolwiek mężczyzna byłby do tego zdolny?

Uniósł głowę, by spojrzeć na Cassie. Tyle godzin spędzili w ciemnościach, poznając się jedynie dotykiem. Teraz pragnął nasycić oczy widokiem kobiety, która tak namiętnie się z nim kochała.

Leżała przy nim skulona, opierając policzek na dłoni. Jej spokojny oddech muskał jego nagą pierś, a ufny sen go rozczulił.

Co powinien teraz robić?

Obiecywał sobie, że odprowadzi ją tylko do ojca chrzestnego i odejdzie. Obiecywał sobie zachować dystans, by nie pozwolić jej się wykorzystać. Niemal wybuchnął śmiechem, wspominając własne absurdalne podejrzenia. Przecież kobieta nie wykorzysta ukochanego mężczyzny, prawda?

Cassie go kochała. Ross miał co do tego absolutną pewność. Miłość do Julie przyplacił złamanym sercem. Stracił ją na rzecz jedyne go mężczyzny, którego od dawna wybrała. Nie wolno dopuścić, by Cassie cierpiała tak jak on. Nie zostawi jej teraz. To kwestia honoru.

Skrzywił się. Co on wyprawia, u licha? Próbuje przekonać samego siebie, odwołując się do chłodnej argumentacji? Kompletnie szaleństwo! Przecież on po prostu nie potrafiłby jej opuścić.

Nagle przeraził się własnych uczuć.

Czy to była miłość?

Nie! Przecież by się zorientował! To nie przypominało uczucia do Julie. Podziwiał urodę i odwagę Julie. Była dla niego jak bogini, niedostępna, niedotykalna, zakazana; kobieta, której nie wolno skalać kontaktem z ziemskimi sprawami. Cassie pragnął mieć przy sobie, chronić ją i - co musiał przyznać, choć niechętnie - dzielić z nią namiętność. Z Cassie mógł się również śmiać i stawiać wraz z nią czoło niebezpieczeństwom.

W tym momencie Ross uświadomił sobie, że z Julie nigdy nie rozmawiał o okropnościach wojny, o widoku leżących we krwi towarzyszy broni ani o głębokiej tęsknocie za rodziną. Cassie zwierzył się w sposób tak naturalny, jakby rozmawiał z samym sobą. Jakby stanowiła jego część.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Był trzydziestoczteroletnim mężczyzną - to dość późny wiek na takie uczucia. A jednak jego związek emocjonalny z Cassie był nadspodziewanie silny. Miał przeczucie, że z każdym wspólnie spędzonym dniem będzie się on jeszcze bardziej umacniał.

Ale to nie mogła być miłość. Na miłość był przecież uodporniony.

Spojrzał na śliczną twarz Cassie. Ta cudowna dziewczyna oddała mu się. Z miłości. Nie mógł się oprzeć pokusie muśnięcia leciutkim pocałunkiem jej gładkiego, białego czoła.

Ciemne, spoczywające na policzkach rzęsy drgnęły i Cassie otworzyła zaspane oczy.

- Ross? - wymruczała.

- Jestem, moja słodka. Już świta. Powinniśmy zaraz ruszać.

Jej oczy rozszerzyły się, gdy uświadomiło sobie realność nocnych przeżyć. Zarumieniła się po uszy. Nie śmiała podnieść oczu.

- Zostań tu przez chwilę - powiedział Ross możliwie rzeczowym tonem, by oszczędzić jej jeszcze większego zakłopotania. Pod okryciem z płaszcza wciągnął spodnie. - Podam ci ubranie i wyjdę na dwór, żeby cię nie krępować.

Usiadł i dokładnie okrył ją płaszczem, chcąc uszanować jej skromność. Wymamrotała coś, co mogło uchodzić za podziękowania, ale kiedy zmierzał do walącego się wejścia do szopy, wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Buty! - zdołała z siebie wydusić. - Nie zdjąłeś butów! Ross również zaczął się śmiać.

- Nie odważyłem się, Cassie. Bałem się, że jeśli to zrobię, oboje będziemy musieli ganiać na bosaka.

Spojrzał na swój strój. Spodnie były jeszcze lekko wilgotne i poplamione, ale przynajmniej Cassie nie musiała się rumienić na widok jego nagości.

Przeniósł spojrzenie na jej rozbawioną twarz i poprzysiągł sobie w duchu, że kiedy następnym razem będzie się kochał z Cassie Elliott, zrobi to w

porządnym łóżku, na bielusieńkich prześcieradłach, w jedwabnej pościeli. Zaraz po ślubie.

Rozdział czternasty

Podczas gdy Cassie się ubierała, Ross zaplanował trasę. Mieli do przebycia sporą rzekę. Na drugi brzeg można było przedostać się przez jeden, jedyny most. Jeżeli James nadal znajdował się na angielskim brzegu Solway, to właśnie tam przygotował zasadzkę. Powinni ze szczególną ostrożnością zbliżyć się do tego newralgicznego punktu.

Za mostem majaczyły jakieś domy, możliwe, że wioska. Jeśli zdołają bezpiecznie przedostać się przez most, bezpośrednie zagrożenie minie. Będą mogli rozejrzeć się za kimś, kto mógłby ich zawieźć do posiadłości sir Angusa.

Jeszcze raz zlustrował uważnie okolicę i wrócił do szopy. Cassie czekała już na niego w pełni ubrana. Próbowwała wcisnąć trzewiki na poranione stopy.

- Nie, Cassie! - Ukląkł i unieruchomił jej rękę. - Jeśli włożysz buty, możesz naprawdę narobić sobie kłopotów. Mam lepszy pomysł. - Sięgnął po leżący na sianie surdut i zaczął odcinać scyzorykiem wielkie kawały materiału. Potem odciął podeszwy jej zniszczonych butów. - Usiądź na sianie i wyciągnij nogę.

To nie była prośba. Ross znów był żołnierzem. Wydawał rozkazy.

Cassie ugryzła się w język, by nie wypowiedzieć słów, które cisnęły jej się na usta, i wykonała polecenie. Owinął jej stopy suknem, dodał skórzaną podeszwę i zręcznie umocował to prowizoryczne obuwie sznurkiem i resztkami sznurówki z jej gorsetu. Przyglądała się temu zafascynowana.

- Teraz drugi. W porządku. Wstań i sprawdź, jak ci się chodzi.

Rezultat przedstawiał się dość dziwnie, ale umożliwiał jej chodzenie. Przynajmniej przez pewien czas.

- Znacznie lepiej niż przedtem. Dziękuję. Sądziś, że te łapcie wytrzymają całą drogę?

Ross poklepał ją po kostce i podniósł się.

- Wiązania szybko się porwą, jeśli trafimy na kamienisty grunt. Miejmy nadzieję, że tak nie będzie. Chodź. Musimy już iść.

Wyprowadził ją na pole.

- Owiń się płaszczem, Cassie. Jego szary, maskujący kolor sprawi, że nie będziesz rzucała się w oczy. Trzymaj się za mną jak cień. Musimy posuwać się naprzód, bardzo cicho i ostrożnie. Na wszelki wypadek założmy, że prześladowcy mogą się czaić za każdym zakrętem.

Cassie poczuła przeszywający dreszcz, ale zdołała go ukryć. Spojrzała na Rossa i spokojnie kiwnęła głową.

- Jestem gotowa - wyszeptała.

Pół mili przebyli w milczeniu. Nie spotkali żadnych żywych istot, ani ludzi, ani zwierząt. Niebo było ołowiane. Słońce nie zdołało przedrzeć się przez chmury.

- Jak się sprawują buty, Cassie? - Uśmiechnął się do niej przez ramię.

Skórzane podeszwy kłapały przy każdym kroku i musiała podnosić stopy znacznie wyżej niż w normalnym obuwiu. Ross musiał to zauważyć, a jednak odpowiedziała mu z uśmiechem:

- To najwygodniejsze pantofelki balowe, jakie miałam na nogach, sir. Powinien pan zostać szewcem.

- Może i zostanę. A ty jesteś idealną kandydatką na szewcową. Będiesz kroić skóry i wypisywać rachunki. - Odwrócił się i ruszył naprzód.

Cassie poczuła nagły chłód, jakby znów wpadła w lodowate mgły Solway. Ross Graham najwyraźniej uznał, że Cassie Elliott zostanie jego żoną. Co za arogancki, zarozumiały, odrażający typ! Nie kochał jej! Nawet nie poprosił jej o rękę. Zwyczajnie uznał, że skoro odebrał jej dziewictwo, to ma

prawo decydować o jej przyszłości. Typowy mężczyzna! Cassie poczuła, że jeszcze chwila a zacznie jednocześnie płakać z żalu i krzyczeć ze złości.

Gniew okazał się silniejszy. Jak śmiał traktować ją jak... jak jednego ze swych podwładnych, którym może wydawać polecenia? Złapała go za rękę i odwróciła twarzą do siebie, po czym z całej siły spoliczkowała.

- Wystarczy, że brat traktuje mnie jak rzecz - krzyknęła. - Okazuje się, że nie jesteś od niego lepszy.

Łzy napłynęły jej do oczu, więc zebrała spódnicę i puściła się pędem przez pola, zbaczając z obranego kierunku.

- Cassie!

Ross dotknął ręką policzka. Dziewczyna miała znacznie więcej siły, niż przypuszczał! Ruszył za nią, niezbyt jednak szybko, by dogonić ją, kiedy jej gniew zdąży wyparować.

Miała rację. Przynajmniej w pewnym stopniu. Musiał przyznać, że okazał brak wyczucia. Natomiast Cassie zachowała się wyjątkowo nierozważnie. Podniosła głos, mogła zaalarmować nieprzyjaciół. Nikt się jednak nie pojawił, a więc byli chyba bezpieczni.

Wyglądali doprawdy cudacznie. Młoda kobieta człapała po błotnistym polu w łapciach domowej roboty, próbując uciec przed zarośniętym mężczyzną w obszarpanym surducie. Gdyby tylko mogła spojrzeć teraz na nich z dystansu...

Nie wytrzymał. Parsknął śmiechem. Usłyszała i odwróciła się. Jej twarz była pełna furii i upokorzenia. Nerwowy śmiech Rossa zamarł jak nożem uciął.

- Cassie! Zaczekaj! - Puścił się biegiem, ale dziewczyna znów zaczęła uciekać.

Dopadł ją, kiedy potknęła się w swych niezgrabnych buciorach i runęła jak długa na trawę. Na chwilę straciła oddech. Ross nie tracił czasu na przekonywanie, porwał ją w ramiona i zaczął całować. Walczyła z nim, ale tylko przez chwilę. Wkrótce odżyła w nich namiętność gwałtowna jak błyskawica.

W ostatniej chwili, już na granicy utraty panowania nad sobą, Ross oderwał usta od warg Cassie.

- Wybacz, moja słodka, nie chciałem cię zranić. Ja... Ja cię potrzebuję. I naprawdę pragnę, byś została moją żoną. Wyjdiesz za mnie?

Zawahała się. Wpatrywała się w niego oczyma tak pociemniałymi, że mógł w nich utonąć. Wytrzymał jej wzrok. Wreszcie kiwnęła głową na zgodę.

Miał ochotę wydać triumfalny okrzyk, ale tylko znowu ją pocałował, mocno i długo. Odpowiedziała mu z równą namiętnością. W taki sposób przypieczętowali umowę.

Skradając się w cieniu żywopłotów, zbliżyli się do rzeki. Była zbyt głęboka i rwąca, by przebyć ją w bród. Ross wepchnął Cassie głęboko w żywopłot. Kolce głogu wbiły jej się w ciało. Zaciśnęła zęby, starając się ignorować ból.

- Zaczekaj tutaj - szepnął. - Sprawdzę most.

Dostrzegła troskę na jego twarzy. Bał się ją zostawić. Może jednak ją kochał, choć o tym nie mówił? Na pewno troszczył się o nią. Cassie zamknęła oczy. Modliła się.

Po niespełna pięciu minutach wrócił. Uśmiechnięty Rozluźniony i beztroski, podczas gdy ona siedziała wbita w cierniowy krzew!

- Ani śladu twojego brata i jego ludzi. - Pomógł jej wyjść z ukrycia, troskliwie unosząc kłujące gałązki. - Biedna Cassie! Przeżyłaś ciężkie chwile, ale wreszcie mam dobre wiadomości.

Humor jej się poprawił. Troszeczkę. Jednak mu na niej zależało. Troszeczkę.

- Znalazłem wóz, nie będziesz musiała dalej maszerować na piechotę. - Porwał ją na ręce jak piórko i nie zważając na protesty, ruszył w stronę mostu.

- Postaw mnie, Ross! Mogę iść sama. Bez słowa pokręcił głową.

A niech to! Ten człowiek najwyraźniej przywykł do stawiania na swoim. We wszystkim.

Cassie przestała się wyrywać, bo ramiona Rossa zacisnęły się wokół niej jak kleszcze. Nie przestawała jednak walczyć z własnymi myślami.

Powiedział, że jej potrzebuje, i mówił szczerze. Słyszała to w jego głosie. Poprosił, by została jego żoną. Czy dlatego, że spali ze sobą? Że jeśli jej nie poślubi, to będzie zgubiona? Czy małżeństwo było ceną, jaką człowiek honoru musi zapłacić za noc namiętności?

Skąd miała wiedzieć? Dręczyła ją niepewność, tym większa, że odpowiedź na pytanie, dlaczego ona z kolei zgodziła się za niego wyjść, była prosta: bo całował ją do utraty tchu.

Powiedział, że jej potrzebuje. Poprosił ją o rękę. Powinna się tego trzymać. Na więcej nie ma co liczyć.

Wewnętrzny głos przypomniawszy jej, że ciągle jeszcze nie powiedziała mu prawdy o swej matce. Czy gdyby o tym wiedział, oświadczyłby się? Nie miała pewności i już nigdy nie będzie jej miała.

- Oto nasza karetka.

„Karetka” okazała się brudnym, wiejskim wozem drabiniastym zaprzężonym w jednego, starego konia. Woźnica obrzucił ich dziwnym spojrzeniem. Pewnie uznał ją za wariatkę, a niosącego ją mężczyznę za rzezimieszka lub żebraka.

- Przyływ zaskoczył nas na Solway. Żona straciła buty i nie może iść. Mówiłeś, człowieku, że będziesz przejeżdżał koło Whitemoss House, prawda?

- Tak, panie. To po drodze. Jadę do Langrigg.

Cassie głośno wciągnęła powietrze, nawet Ross pobladł.

- Do Langrigg? - mruknął kapitan.

- Tak. To taka wioska po drugiej stronie zatoki, naprzeciw opactwa. Może macie ochotę tam zajrzeć?

- Nie, dziękuję. Podwieźcie nas po prostu do Whitemoss House koło Newton Arlosh. Będziemy bardzo zobowiązani, nie pożałujecie.

- Dzięki, panie. - Chłop dotknął brudnej czapki i wdrapał się na ławkę z przodu wozu.

Ross posadził Cassie z tyłu, po czym sam wskoczył. Zajął się przygotowaniem dla nich jak najwygodniejszego siedzenia.

- Proponował, byśmy usiedli koło niego, ale odmówiłem - szepnął jej na ucho. - To niespełna pięć mil stąd, a nie ustaliliśmy jeszcze, co powiemy twojemu ojcu chrzestnemu.

Wóz ruszył. Woźnica zaczął podśpiewywać jakąś melodię.

- Oprzyj się o mnie, Cassie, i opuść głowę, żeby nikt nie widział twojej twarzy. Gdyby podczas jazdy ktoś do nas zagadał, nie wolno ci odpowiadać. Rozumiesz?

Kiwnęła głową. Miał rację, oczywiście, ale czy musiał być tak apodyktyczny? Mówił jak sierżant, musztrujący rekruta.

- Powinniśmy w miarę możliwości trzymać się prawdy. Obawiam się, że ty będziesz musiała udzielać sir Angusowi wyjaśnień. Możesz powiedzieć, że wybrałaś się do niego, oczywiście z Morag, żeby... eee... poprosić go o radę w sprawie swej przyszłości. Musiałaś zrobić to w tajemnicy, ponieważ twój brat sprzeciwiłby się tej wizycie. Czy sir Angus zna Jamesa?

- Tak.

- To dobrze. Akurat byłem w Annan i zaoferowałem się towarzyszyć paniom w podróży. Niestety, warunki nie pozwalały na przejazd powozem przez Solway, a Morag odmówiła marszu na piechotę, ale ty...

- Ale ja okazałam się upartym, samowolnym bachorem i uparłam się iść - dokończyła rozbawiona Cassie. Tak, tę rolę mogła odegrać bez trudu! - Nie martw się! - oświadczyła z przekonaniem. - Sir Angus nie widział mnie od lat. Skołużę go bajeczką, że chciałam zabrać starą Shonę w roli przyzwoitki i za późno zorientowałam się, że nie będzie mogła nam towarzyszyć.

- Znakomicie. Podczas przeprawy zmokliśmy i straciłaś buty.

- Doprawdy? I co potem?

- Nigdzie nie mogliśmy wynająć koni, udało nam się natomiast uprosić tego dobrego człowieka, by podwiózł nas do granicy posiadłości sir Angusa. I oto po paru godzinach dotarliśmy na miejsce.

- Po paru godzinach?

- Tak, Cassie. Wbij to sobie do głowy. Przeszliśmy Solway dzisiaj, podczas porannego odpływu. Ostatnią noc spędziłaś we własnym łóżku w Langrigg. Po szkockiej stronie.

Musiała się uśmiechnąć. Zdawał się myśleć o wszystkim. Poza jednym.

- Ross, powiedziałaś woźnicy, że jesteśmy małżeństwem - szepnęła mu na ucho, maksymalnie ścisząc głos. - Chcesz powiedzieć to samo mojemu ojcu chrzestnemu?

- Nie, oczywiście, że nie! Dowiedziałby się, że to nieprawda - Spojrzał uważnie na chłopca, ale nadal podśpiewywał sobie, nie zwracając uwagi na pasażerów. - Okłamałem woźnicę, ponieważ dama nie może podróżować w towarzystwie mężczyzny, który nie jest jej mężem.

- Mogłeś powiedzieć, że jesteśmy rodzeństwem.

- Czy wyglądamy jak rodzeństwo? Rzeczywiście, nie wyglądali.

- W takim razie pozostaje mieć nadzieję - szepnęła Cassie, zostawiając pytanie Rossa bez odpowiedzi - że woźnica nie zacznie opowiadać na prawo i lewo, iż wiózł do Newton Arlosh jakiegoś brudnego włóczęgę z żoną.

Ross kiwnął głową i wzruszył ramionami.

- Dla mojego ojca chrzestnego kapitan Graham i panna Elliott mają być tylko znajomymi? - dopytywała się.

- Tak. Nie! - zawołał porywczo. - Nie, Cassie, tego nie zdołamy mu wmówić. Powiedz, że jestem bliskim przyjacielem pułkownika Anstruthera, a ty ostatnio dość często odwiedzałaś jego żonę. Poznaliśmy się podczas twoich odwiedzin. Mamy wspólne zainteresowania...

- Roślinki i ogrody?

Uśmiechnął się. Zauważyła, że wreszcie zaczyna go opuszczać napięcie.

- Jak sobie życzysz, moja droga, ale czy jesteś pewna, że twój ojciec chrzestny nie ma w tej materii wystarczającej wiedzy, by sprawdzić mój zasób informacji? Bo jeśli ma, to z miejsca zostanie przyłapany na kłamstwie.

Cassie oparła się na ramieniu Rossa i zamknęła oczy, ukołysana rytmicznym ruchem wozu. Droga, w przeciwieństwie do tych, którymi jechali poprzednio, była równa i pozbawiona wyboi. Spokojny oddech dziewczyny świadczył, że wreszcie usnęła. Miał nadzieję, że obudzi się dopiero pod domem sir Angusa. Potrzebowała odpoczynku.

Mógł wreszcie uporządkować myśli. Stłumiony trzask postawił go w stan alarmu. Rozejrzał się dokoła, ale nigdzie nie dostrzegł źródła dźwięku. Może koń nadepnął na suchą gałązkę? To najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Teren był płaski, wszędzie pola, tylko wzdłuż drogi rosły krzewy i niskie żywopłoty. Człowiek mógł się za nimi ukryć, ale nie koń. Jeśli więc James Elliott czaił się gdzieś w pobliżu, to musiał być na piechotę. Mało prawdopodobne. Przypuszczalnie jednak zrezygnował i wrócił wczoraj przez Solway. Dołączył do swych ludzi i zastanawia się nad innym sposobem złapania Cassie.

Nie bądź taki pewien, jeszcze na to za wcześnie, podpowiadał mu głos wewnętrzny. Ten głos wewnętrzny w Hiszpanii niejednokrotnie ocalił mu życie. Ross uważnie lustrował okoliczne pola, wypatrując śladu zaniepokojenia czy rozdrażnienia zwierząt. Zdenerwowane owce czy ptaki podrywające się do lotu mogły go ostrzec przed zbliżającym się atakiem. Cassie nie będzie bezpieczna, dopóki nie znajdzie się w Whitemoss House, domu sir Angusa. Ross miał tylko własne pięści, by jej bronić przed ewentualną napaścią Elliotta i jego ludzi. W Whitemoss House będzie mógł pożyczyć pistolet oraz z pewnością otrzyma wsparcie sir Angusa i jego służby.

Oczywiście pod warunkiem, że ojciec chrzestny Cassie uwierzy w szytą grubymi nićmi bajeczkę, którą sklečili na jego użytek. A jeśli nie? Czy odmówi Cassie schronienia? Nie. Niemożliwe! Był jej ojcem chrzestnym. Cassie twierdziła, że wiedział o łajdactwach Jamesa. Sir Angus na pewno jej nie

odtrąci. Istniało jednak prawdopodobieństwo, że nie uwierzy w ich wymysły i zażąda prawdy. Jeśli do tego dojdzie... Cóż, jeśli do tego dojdzie, to Ross najspokojniej w świecie przyzna, że spędzili ze sobą całą dobę, i formalnie poprosi o rękę Cassie. Sir Angus bez wątpienia wyrazi zgodę. Człowiek światowy nie walczy z tym, co nieuniknione.

Cassie będzie wściekła. Na nich obu.

Biedna Cassie.

Wóz zaczął zwalniać.

- Jesteśmy na miejscu, panie - krzyknął chłop przez ramię. Głową wskazał na prawo, w stronę długiej alei okolonej najpierw żywopłotem, a potem wysokimi, pięknymi drzewami. - Whitemoss House. Pół mili stąd.

Napięcie zaczęło opuszczać Rossa. Wkrótce Cassie będzie bezpieczna. Wystarczy przejść pół mili, by dotrzeć do domu. Pół mili zdwojonej ostrożności.

- Cassie, kochanie, jesteśmy na miejscu.

Otworzyła oczy i zamrugła powiekami, porażona ostrym światłem. Rozejrzała się dokoła ze zdumieniem.

- A gdzie dom?

- Na końcu tej alei - powiedział z uśmiechem, żeby jej dodać otuchy. - Jeszcze kilkaset jardów, a będziesz mogła odpocząć i opatrzyć skaleczenia. - Zeskoczył z wozu i postawił ją na ziemi. - Zaczekaj w krzakach, a ja ureguluję należności. - Sięgnął do kieszeni.

Stopy Cassie zeszywniały podczas jazdy i każdy krok sprawiał jej ból, ale postanowiła to ukryć w obawie, że Ross uprze się, by nieść ją przez te ostatnie pół mili na rękach. Powoli przeszła na drugą stronę drogi, do kępy krzewów rosnących przy wejściu na teren posiadłości sir Angusa.

Wóz ruszył, a woźnica zaśpiewał jeszcze głośniejsze, najwyraźniej bardzo zadowolony z zapłaty. Zarobek spadł mu niespodziewanie jak z nieba.

- Chodź, Cassie. - Ross stanął przy niej i z uśmiechem odprowadził wzrokiem oddalający się wóz. - Jeszcze kawałek i będziemy u celu.

Pochylił się, by wziąć ją na rękę.

- Nie! To za daleko. I powinieneś mieć wolne ręce na wypadek, gdyby pojawił się James.

Ross spoważniał natychmiast i kiwnął głową.

- Masz rację. Im wcześniej zapukamy do drzwi sir Angusa, tym będę szczęśliwszy. Ruszajmy.

Droga trwała dłużej, niż Cassie sądziła, ale wreszcie zobaczyli przed sobą dom - niski, obrośnięty bluszczem budynek o błyszczących oknach i szerokich drzwiach u szczytu białych schodów. Od miejsca, w którym stali, prowadziła do domu szeroka aleja, przecinająca doskonale utrzymane trawniki, obramowana szpalerem wspaniałych lip.

Ross odetchnął z ulgą.

- Teraz jesteśmy bezpieczni.

- To znaczy?

- Między nami a domem nie ma już gdzie się schować.

Dopiero w tym momencie Cassie zrozumiała, w jak silnym napięciu pozostawał Ross przez cały ten czas. Może dlatego wydawał jej się szorstki i oschły? Uśmiechnęła się lekko

- Postarajmy się, droga panno Elliott, choć trochę poprawić pani wygląd. Bo jeśli sir Angus zobaczy na progu swojego domu takiego obszarpańca, wezwie policję. - Pomógł jej wygładzić nieco spódnice. Z zabłoconymi łapciami nic się nie dało zrobić, można było tylko próbować je ukryć. - A teraz trzeba cię trochę przyczesać. - Splótł jej włosy w warkocz, który przewiązał na końcu kawałkiem sznurka.

- Gdzie nauczyłeś się zaplatać warkocze?

- Żołnierz zdobywa na służbie wiele cennych umiejętności, moja droga. A jeśli chodzi o tę konkretną, to dama nie powinna o nią pytać, bo wolałaby nie słyszeć odpowiedzi - odparł i obdarzył Cassie łobuzerskim uśmiechem.

Odpowiedziała tym samym. Nie mogła się powstrzymać. Ross - jej Ross?
- znowu zachowywał się jak pogodny lekkoduch, który wesoło się z nią przekomarza. Może nawet ją uwodzi?

- Jeszcze ta umorusana twarz. Nie możesz stanąć przed ojcem chrzestnym w tym stanie, moja droga. - Wyjął z kieszeni wilgotną chusteczkę, którą podobno w tym właśnie celu zmoczył w rzece, i zaczął jej ścierać błoto z twarzy. - No, dużo lepiej - stwierdził. - Nie, zaczekaj. Masz jeszcze smugę brudu na czubku nosa. - Pocałował wskazane miejsce i cofnął się o krok z roześmianymi oczyma. - Teraz ujdiesz.

Podał jej ramię gestem światowca, jakby wchodzili na salę balową.

- Pójdziemy, milady?

Dygnęła lekko i przyjęła ramię. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Nie tylko z powodu jego uroczych błazeństw, choć były przemile i podnosiły ją na duchu, ale ze względu na okazaną jej troskę. Musiał ją kochać! Inaczej nie zachowywałby się w ten sposób.

Prędzej czy później usłyszy od niego te wymarzone słowa. Na pewno usłyszy.

Rozdział piętnasty

Kiedy stanęli przed imponującymi drzwiami Whitemoss House, promień słońca przedarł się przez ciężkie chmury. Białe schody przed wejściem i szyby w oknach zaśniły.

- Zobacz - powiedział Ross, obejmując łokieć Cassie. - Dom wita nas uśmiechem. Teraz już będziesz bezpieczna.

Cassie czuła jednak, że nie opuszcza jej zdenerwowanie. Obejrzała się przez ramię na Rossa. Jego twarz również nie wyrażała całkowitej pewności. Nie mieli już jednak odwrotu. Musieli iść naprzód. Sięgnęła po solidną kołatkę z brązu i zastukała. Rozległo się takie echo, jakby wewnątrz domu było wielką, pustą dziurą.

- Głowa do góry, Cassie - szepnął.

W tym momencie w drzwiach stanął niezwykle wyniosły kamerdyner. Spojrzał na Cassie jak na pamiątkę zostawioną na schodach przez źle wychowanego kota.

- Żebraków karmimy przy drzwiach kuchennych - oznajmił i chciał im zamknąć drzwi przed nosem.

Dziewczyna poczuła przypływ oburzenia. Żaden sługus nie będzie jej tak traktował!

- Przyszliśmy zobaczyć się z sir Angusem – oświadczyła gniewnie. - Proszę mu zaanonsować pannę Cassandrę Elliott, jego chrzestną córkę, i kapitana Rossa Grahama.

Kamerdyner wytrzeszczył oczy.

Cassie minęła go i z wysoko podniesioną głową weszła do holu. Kamerdyner stał w progu jak wmurowany.

- Wprowadź nas do salonu, tam poczekamy. Nie zwykłam czekać w holu, jak jakaś handlarka.

Kamerdyner ożył. Ukłonem zaprosił Rossa do domu i zamknął drzwi. Potem zaprowadził dziwnych gości do biblioteki.

- Poinformuję sir Angusa o państwa przybyciu - wymamrotał i z niskim ukłonem wycofał się.

- Przypomnij mi, żeby nigdy nie wchodził ci w drogę, kiedy odgrywasz wielką damę. Jestem pod wrażeniem.

Teraz, kiedy gniew ją opuścił, zdenerwowanie wróciło ze zdwojoną siłą.

- Ja... ja... - zająknęła się. - Służba powinna znać swoje miejsce.

- Tak. Kamerdyner już poznał swoje: pod twoim butem. Czy ja również wkrótce się tam znajdę?

Ross droczył się z nią, by zapomnieć o zdenerwowaniu. Cassie poczuła, jak robi jej się ciepło na sercu. Był takim delikatnym, wrażliwym człowiekiem! Czy jako mąż będzie...?

Drzwi gwałtownie otwarły się i do pokoju wpadł starszy mężczyzna średniego wzrostu i znacznej tuszy.

- Cassie? To naprawdę ty? - Stał jak wryty na widok dziwacznej pary, która wtargnęła do jego biblioteki. - Cassie? - powtórzył niepewnie.

Podbiegła i uścisnęła obie jego dłonie.

- Och, ojcie chrzestny! Tak się cieszę, że wreszcie tu dotarłam. Nie miałam do kogo się zwrócić. Byłeś... jesteś moją ostatnią deską ratunku!

Sir Angus rozpogodził się.

- Moje drogie dziecko. Na litość boską, co się z tobą stało? Wyglądasz jak... No, nieważne. Gdzie twoja pokojówka? Kim jest towarzyszący ci dżentelmen?

- Ojcie chrzestny, pozwól sobie przedstawić kapitana Rossa Grahama, oficera Pięćdziesiątego Drugiego Regimentu Jego Królewskiej Mości. - Ross skłonił się uprzejmie. - Kapitan Graham był tak uprzejmy, że odprowadził mnie tutaj, kiedy... - Popchnęła sir Angusa w stronę sofy i niemal siłą go posadziła, po

czym przycupnęła tuż obok i wzięła go za rękę. - Och, boję się, że uznasz mnie za okropną idiotkę.

Sir Angus wyraźnie zaczynał być zatroskany. Obrzucił kapitana surowym spojrzeniem, jakby próbował rozstrzygnąć, czy to on ponosi winę za nieznany mu jeszcze wybryk chrześnicy.

- Pozwól sobie wytłumaczyć - zawołała błagalnie Cassie, zanim którykolwiek z mężczyzn mógł jej przeszkodzić w przedstawieniu historyjki, jaką przygotowała wraz z Rossem. - Musiałam uciec z domu, sir. James postanowił sprzedać mnie pierwszemu mężczyźnie, który byłby gotów zapłacić za mnie tyle, by pokryć jego długi. Twierdził, że muszę wyrazić na to zgodę, bo jeśli nie, to zamknie mnie w przytułku dla obłąkanych.

- Dobry Boże! - Sir Angus był oburzony. Zrobił się niemal fioletowy na twarzy. - Chciał cię sprzedać? To niemożliwe! Jesteś szlachetnie urodzona. Dama opuszcza rodzinny dom jedynie po to, by wyjść za mąż.

- Och, on miał na myśli właśnie małżeństwo. Nie... eee... nic innego, ale nie obchodziło go, kim będzie ten człowiek. Byle tylko gotów był płacić.

Sir Angusowi najwyraźniej ulżyło.

- Jeżeli brat proponował ci honorowy związek z dżentelmenem, to sądzę, że nie powinnaś przejmować się szczegółami kontraktu, moja droga.

Cassie szybko zmieniła taktykę. Nie miała wyboru - musiała uciec się do kłamstwa.

- Ale James nie zamierzał wydać mnie za dżentelmena! Zresztą żaden dżentelmen nie przystałby na jego warunki. Oczekiwałby posagu, a nie listy długów do spłacenia. Kandydaci, o których wspominał James, bez wyjątku parali się handlem. Podobno jeden z nich udusił ojca, by przejąć sklep. Och, ojciec chrzestny! Wołałabym chyba przytułek niż małżeństwo z takim człowiekiem!

- Nie ma mowy ani o jednym, ani o drugim, moja droga. Ślub ze sklepikarzem? Oczywiście, że nie. Co za pomysł? Dziwaczny! Nigdy nie podejrzewałem, że James może być do tego zdolny.

Cassie cmoknęła go w policzek.

- Dziękuję, kochany ojcie chrzestny! Byłam pewna, że mnie zrozumiesz. Nie wiedziałam, co robić. Potrzebowałam twojej rady. Ty zawsze miałeś na względzie moje dobro.

- Właśnie. Właśnie. - Sir Angus kiwnął głową z aprobatą i poklepał ją po ręce.

- Chyba zgodzisz się, że po takich pogroźkach nie mogę wrócić do brata, ale nie mam własnych pieniędzy i nie mam dokąd pójść. Co powinnam zrobić, ojcie chrzestny? On pewnie wkrótce zjawi się tutaj i zażąda, bym natychmiast wróciła do Langrigg.

- Nie podejmuj żadnych pochopnych decyzji, moja droga - stwierdził sir Angus z ponurą miną. - Wszystko w swoim czasie. Na razie jesteś tutaj i musisz mi wyjaśnić, dlaczego podróżujesz bez przyzwoitki, za to w towarzystwie dżentelmena, który nie jest z tobą spokrewniony? To w najwyższym stopniu niestosowne...

- A, to! - Cassie lekceważąco machnęła ręką. - To skutek splotu dziwnych przypadków, ojcie chrzestny. Nie uwierzysz, zupełnie jak w powieści!

Sir Angus chrząknął i najwyraźniej zamierzał udzielić jej reprimendy za upodobanie do czytania powieści. Ale Cassie nie pozwoliła wejść sobie w słowo.

- Było tak. Wykrałam się z Langrigg z Morag, moją pokojówką, o świcie. Pojechałyśmy do Annan, chciałyśmy przeprowić się przez Solway. Wybrałam najkrótszą drogę, żeby James nie zdążył mnie dopaść, zanim do ciebie dotrę. On nie zgadzał się, bym utrzymywała z tobą kontakty. Nie pozwalał mi nawet pisać do ciebie.

- Tak, twój brat pielęgnuje stare waśnie.

- W Annan natknęliśmy się na kapitana Grahama. Pan kapitan jest prawdziwym dżentelmenem i przyjacielem pułkownika Anstruthera. Ostatnio dość często spotykaliśmy się w domu pułkownika. - Cassie zbliżyła usta do ucha ojca chrzestnego i wyszeptała: - Kapitan jest nieco sztywny, ale nie mam mu tego za złe. - I normalnym już tonem kontynuowała: - Kapitan Graham uznał, że dama nie powinna podróżować jedynie w towarzystwie pokojówki, i nalegał, bym przyjęła jego eskortę. Upierał się przy tym tak długo, aż ustąpiłam. Właśnie przez tę zwłokę... - rzuciła spojrzenie na Rossa wszystko zaczęło się źle układać.

- To niesprawiedliwe, panno Elliott. Ja...

- Nie, panie kapitanie. Opóźnienie nastąpiło wyłącznie z pana winy. Gdybyśmy wyruszyły wcześniej, tak jak chciałam, to na pewno zdałybyśmy się przeprowić. To przez pana musiałam w końcu iść na piechotę i zostawić Morag.

- To nie tak - odparł oschle Ross. - Kiedy przewodniczka stwierdziła, że już za późno na przeprawę przez Solway, powinna pani zrezygnować i podjąć próbę następnego dnia. Pani służąca zachowała się bardzo rozsądnie, odmawiając marszu na piechotę. Proszę tylko spojrzeć na siebie, to widomy skutek pani uporu.

Cassie potrząsnęła głową i zwróciła się znowu do ojca chrzestnego.

- Nie mogę wrócić do Jamesa! - oznajmiła zdławionym głosem. - On mnie zamknie w Langrigg jak w więzieniu albo wyśle do domu wariatów. Nigdy już nie zdołam się do ciebie wyrwać. A tylko w tobie moja nadzieja na uniknięcie... mezaliansu!

Sir Angus znowu poklepał ją po rękę.

- Tak, tak, doskonale rozumiem, ale nie powinnaś podróżować bez przyzwoitki. Pomyśl o swej reputacji, moja droga.

- Ależ ja miałam przyzwoitkę, ojcie chrzestny. Shonę, przewodniczkę. Uznałam, że będzie równie dobra jak Morag. Nawet lepsza, bo Morag nie zna przeprawy przez zatokę i okropnie boi się ruchomych piasków. Tylko że... tylko

że Shona nie została ze mną, jak zakładałam. Zaledwie zbliżyliśmy się do angielskiego brzegu, uparła się, żeby wracać do Annan. Opuściła nas! - Cassie starała się włożyć w te słowa maksimum oburzenia. - Powinna z nami zostać do czasu, aż dotrzemy tutaj.

- Muszę stwierdzić, że zachowałam się w tej sprawie wyjątkowo nierozsądnie, Cassie. Nie wiedziałem, że jesteś taka uparta.

- Och, proszę, nie gniewaj się na mnie, ojczyźnie. W przyszłości postaram się postępować z większą rozwagą. Przysięgam.

Natychmiast złagodniał.

- Dobrze, ale nie wyjaśniłaś jeszcze, dlaczego jesteś w tak opłakanym stanie.

- Kiedy Shona nas opuściła, musieliśmy sami dotrzeć do brzegu. Przyptyw zbliżał się strasznie szybko, ledwo zdążyliśmy. Po piasku okropnie trudno biec. Kilka razy przewróciłam się w wodę. Uniknęliśmy utonięcia tylko dzięki temu, że zgodziłam się porzucić bagaż. - Machnęła ręką w stronę Rossa. - Kapitan Graham pomógł mi wyjść na brzeg. Oczywiście, jestem mu głęboko wdzięczna. Szkoda tylko, że nie zdołał ocalić sakwojażu. Nie mam nawet czystej sukni na zmianę.

Spojrzała na Rossa tak, jakby ponosił odpowiedzialność za wszystkie jej nieszczęścia.

- Wydaje mi się, Cassie, że powinnaś raczej dziękować kapitanowi, zamiast się uskarżać. - Sir Angus wstał i podszedł do kominka, żeby zadzwonić na służbę. Po czym zwrócił się do Rossa: - Widzę, sir, że przeżył pan piekiel... bardzo ciężkie chwile, by doprowadzić tu moją chrześnicę całą i zdrową.

- Nie przeczę, sir. W dodatku przez całą drogę prześladował nas pech. Nigdzie nie mogliśmy wynająć koni. Musieliśmy na piechotę dotrzeć do Kirkbride i dopiero tam trafiliśmy na chłopską furmankę, która nas tutaj podwiozła. Panna Elliott jest zmarznięta i przemoczona. Czy mógłbym zasugerować...

- Nie ma potrzeby, sir, nie ma potrzeby. Moja gospodyni zaraz się nią zajmie. Cassandra potrzebuje gorącej kąpieli i zmiany garderoby. Pan również, prawda?

- O niczym innym nie marzę, sir. Bardzo dziękuję.

Cassie z ulgą opadła na stojącą przy kominku sofę w bawialni sir Angusa. Wreszcie prezentowała się przyzwoicie. Nie mogła uwierzyć, że jej ojciec chrzestny okazał się człowiekiem tak serdecznym i tak łatwowiernym. Bez mrugnięcia okiem przełknął ich nieudolnie skleconą bajeczkę. Jak cudownie było poczuć się wreszcie bezpieczną i wolną od lęku! To nieważne, że jej przyszłość z Rossem nie była jeszcze pewna. Czuła, że zdołają jakoś ułożyć sobie życie, że im się uda. Miała w sercu tyle miłości, że wystarczy dla nich dwojga. Jej miłość pokona wszystkie przeszkody.

Wskazała Rossowi miejsce przy sobie. Zignorował jej gest. W serce Cassie wkradł się cień wątpliwości. Kapitan zachowywał się tak, jakby nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Wpatrywał się w ścianę nad kominkiem.

- Ross? - zawołała z naciskiem. - Co się stało?

Odwrócił się i spojrzał na nią półprzytomnie. Jego twarz była szara jak popiół. Potem znów wbił oczy w ścianę. Cassie wzięła go za rękę. Była zimna i lekko wilgotna, jakby zaczynał gorączkować. Pewnie się rozchorował! Nic dziwnego. Przecież on również był przemoczony.

- Ross! Usiądź. Źle się czujesz. Jesteś...

Drzwi otwarły się i do bawialni wszedł sir Angus. Cassie puściła dłoń Rossa jak oparzona. Modliła się w duchu, by ojciec chrzestny tego nie zauważył. Poczwała, że żar zalewa jej twarz. Nie chciała zrazić do siebie sir Angusa, bo naprawdę potrzebowała jego pomocy. Bez jego wsparcia będzie musiała wrócić pod władzę Jamesa. Na razie musiała udawać, że Ross nic dla niej nie znaczy. Gdyby ojciec chrzestny dowiedział się, co między nimi zaszło... Nie, nie mógł się o tym dowiedzieć. Nigdy. Wystarczy, że James wyzywał ją od nierządnicy, choć nie miał do tego powodów. Teraz...

- Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni ze swych pokojów - stwierdził jowialnie sir Angus. - Oboje wyglądacie znacznie lepiej, od kiedy pozbyliście się tych wilgotnych łachów.

Był serdeczny jak zawsze. Może jednak nic nie zauważył? Trzeba tylko jakoś wytłumaczyć ten zdradziecki rumieniec.

- Dziękuję, ojcie chrzestny. Bardzo tu gorąco - zauważyła, wachlując się ręką. - Zawsze palisz w kominku o tej porze roku?

- Zawsze, kiedy wiatr wieje z tej strony. Ten dom jest pełen przeciągów. A najlepszym sposobem na zimno i wilgoć jest ogień na kominku i dobra brandy. Napije się pan ze mną, kapitanie?

Cassie z ulgą stwierdziła, że Ross zdołał wziąć się w garść. Lekko skłonił się przed gospodarzem.

- Z największą przyjemnością, sir. Dziękuję za pańską wyjątkową uprzejmość wobec nieproszonych gości.

- Ja też, ojcie chrzestny. - Cassie z determinacją próbowała rozładować napięcie, jakie wyczuwała w głosie Rossa.

- Ty możesz dostać kieliszek madery, Cassie, albo ratafii. Brandy to niej jest napój dla dam.

Dziewczyna zerknęła z ukosa na kapitana Grahama, po czym oznajmiła z powagą:

- Zatem napiję się madery, ojcie chrzestny. Mam nadzieję, że rozgrzewa równie skutecznie jak brandy?

- Ależ z ciebie trzpiotka, moje dziecko.

Sir Angus uśmiechnął się serdecznie. Napełnił kieliszki i podał je swobodnym, pełnym życzliwości gestem. Cassie ucieszyła się, że tak dobrze czuł się w jej towarzystwie i w towarzystwie Rossa.

Ross natomiast najwyraźniej nie czuł się tu najlepiej. Nadal stał przy ogniu i co chwilę zerkał na ścianę.

- Co tak pana zafrapowało w tych miniaturach? - Sir Angus podszedł do kominka.

Ross wskazał miniaturę przedstawiającą młodzieńką dziewczynę w sukni, modnej przed trzydziestu laty.

- Ta dama w niebieskiej sukience, sir. - Jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

- Przyznaję, że była wyjątkowo atrakcyjną dziewczyną, a podobieństwo zostało uchwycone rzeczywiście doskonale. Nie chcę być wścibski, sir, ale czy mogę zapytać, dlaczego ona tak bardzo pana interesuje?

Ross głośno przełknął ślinę.

- Bo to moja matka.

Rozdział szesnasty

- Proszę usiąść, sir - zaproponował sir Angus, otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia. - Mamy sobie wiele do powiedzenia i zajmie to trochę czasu. - Spojrzał na Cassie i uniósł brew. - Może powinnaś wrócić do swojego pokoju, kochanie? Należy ci się odrobina odpoczynku.

Dziewczyna zawahała się. Nie mogła upierać się przy pozostaniu.

- Nie ma potrzeby, sir - zapewnił szybko Ross. - Panna Elliott zna już trochę historię mojej rodziny. Rozmawialiśmy na ten temat u Anstrutherów.

Zanim sir Angus zdążył zaprotestować, odprowadził Cassie na jej dawne miejsce na sofie. Usiadł obok niej i powiedział:

- Panna Elliott orientuje się już, że przyjechałem do Szkocji między innymi po to, by dowiedzieć się czegoś o swym najwcześniejszym dzieciństwie. Mama zmarła w Londynie, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, a nikt inny nie potrafił mi nic powiedzieć o mojej rodzinie. Wiedziałem tylko, że wywodzi się z okolic Dumfries. Jak dotąd, nie udało mi się niczego odkryć. Ta miniatura

świadczy, że pan, sir, posiada interesujące mnie informacje. Byłbym niewymownie wdzięczny, gdyby zechciał pan rzucić nieco światła na moich antenatów.

- Owszem, mogę to zrobić, ale to smutna historia. Cassie zmarszczyła brwi. Nie zabrzmiało to obiecująco.

- Przede wszystkim pragnę pana poinformować, sir, że nie nazywa się pan Ross Graham.

Dostrzegła tylko, że cała krew odpłynęła z twarzy Rossa. Sir Angus lekko kiwnął głową.

- Pańskie nazwisko brzmi: Ross Graham Fergusson.

Przerwał i upił łyk brandy, by ta informacja w pełni dotarła do świadomości słuchaczy.

Ross pierwszy otrząsnął się z wrażenia.

- Czy to oznacza, że jesteśmy w jakiś sposób spokrewnieni, sir?

- Tak, ale to bardzo odległe pokrewieństwo. Dzięki niemu jednak wiem to i owo o pana historii.

Cassie zagryzła wargę. Czula tuż przy sobie gorące ciało Rossa. Nawet wsparł się o nią lekko, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że razem stawiają czoło temu, co mają usłyszeć.

- Ta dama na portrecie to Margaret Graham, córka wziętego prawnika z Edynburga. Wyszła za mąż za mojego dalekiego krewnego, znacznie od siebie starszego Jamesa Rossa Fergussona. Był on najmłodszym dzieckiem, a zarazem jedynym synem ziemiańskiej rodziny spod Dumfries. Pan, sir, jest z kolei jedynym jego synem.

Cassie złożyła ręce.

- A więc Ro... kapitan Graham powinien mieć w tych stronach dobra rodowe? To cudownie!

Spojrzała na Rossa rozpromieniona. Ucieszyła się z pomyślnych dla niego wiadomości i zapomniała na chwilę o roli, jaką miała odgrywać.

Sir Angus zdawał się jednak nie zauważać jej mało stosownego zachowania.

- Owszem, jest dziedzicem dóbr rodowych Fergussonów, ale tylko na papierze. Obawiam się, że nie ma najmniejszych szans na ich odzyskanie. Dlatego właśnie pańska matka, sir, uciekła wraz z dzieckiem i ukryła się tak daleko. Rozumiała to, czego nie mogła przyjąć do wiadomości rodzina z Dumfries: że wszelkie próby odzyskania majątku syna oznaczałyby tylko wyrzucenie olbrzymich sum w błoto. Zdawała sobie sprawę, że walka może doprowadzić do bankructwa. Pańska matka była bystrą kobietą. Wykształconą w Londynie. Córką jednego z najlepszych prawników w Edynburgu, przy którym wiele się nauczyła. Ma pan jej wiele do zawdzięczenia, chłopcze.

- Proszę zdradzić, co właściwie zrobiła moja matka? - zapytał zaintrygowany Ross, bo opowieść starszego pana nie wydawała mu się zbyt jasna. - I dlaczego?

- Najpierw muszę panu powiedzieć to i owo o pańskim ojcu i dziadku. Pański dziadek, również James Fergusson, był stronnikiem pretendenta do tronu, nazywanego dzisiaj Dobrym Księciem Charliem. Walczył po jego stronie wraz z pańskim ojcem, wówczas zaledwie piętnastoletnim wyrostkiem. Po bitwie pod Culloden pański dziadek zmarł na smagany wicherami wrzosowisku, a jego ziemie zostały zarekwirowane i wcielone do Korony. Pański ojciec został z niczym.

- Poszedł za księciem na wygnanie?

- Tak. Gdyby wrócił do Szkocji, zostałby skazany na śmierć za zdradę. Do końca życia nienawidził dynastii hanowerskiej. Trudno mieć do niego pretensje. Zaledwie doszedł lat męskich, został wygnańcem, bez rodziny i bez grosza przy duszy, wyzutym z rodzowego majątku przez wrogów z dalekiego Londynu. Przez wiele lat służył na kontynencie jako najemnik w różnych armiach. - Sir Angus urwał i powoli pociągnął łyk brandy.

Ross miał wrażenie, jakby kamień przygniótł mu serce.

Szukał ojca, a odkrył zdrajcę!

- W końcu jednak wrócił - zauważył sztucznie lekkim tonem. - Inaczej nie spotkałby mojej matki.

- Wrócił w piętnaście lat po bitwie pod Culloden. Pod nazwiskiem James Ross Scott, bo za jego głowę nadal jeszcze była wyznaczona nagroda.

Cassie głośno wciągnęła powietrze i pod osłoną fałd spódnicy ucisnęła ukradkiem dłoń Rossa. Ten dotyk podziałał na niego jak balsam.

- To nie miało już wtedy większego znaczenia - wyjaśnił sir Angus. - Rząd zdążył okrzepnąć i nie zamierzał przysparzać sobie wrogów, ścigając takich ludzi jak pana ojciec. Z pewnością początkowo śledzili go, żeby sprawdzić, czy nie knuje jakichś akcji odwetowych, ale potem zostawili go w spokoju. Jak wielu innych, którzy... opowiedzieli się po niewłaściwej stronie, został bez przeszkód przyjęty do towarzystwa i doskonale prosperował. Niestety, w handlu, ale po utracie majątku nie miał innego wyjścia. Wreszcie dorobił się na tyle, by odzyskać pozycję dżentelmena i się ożenić. Był już dobrze po pięćdziesiątce. Nie mógł dłużej zwlekać.

- Jak poznał moją matkę?

- Niestety, nie wiem. Chyba w Edynburgu, gdzie często jeździł w interesach. Może jej ojciec był jego adwokatem? To by wszystko tłumaczyło.

Ross kiwnął głową. Bał się odezwać, by nie zdradzić kłębiących się w nim emocji.

- Pan był ich jedynym dzieckiem, nosił pan nazwisko Ross Graham Fergusson. Pańska rodzina mieszkała w pięknym nowym domu w Dumfries i prosperowała znakomicie do czasu, gdy rząd postanowił zwrócić byłym właścicielom niektóre ze skonfiskowanych dóbr.

- Nie rozumiem? Ziemie zostały zwrócone?

- Tylko niektóre. Nie objęło to dóbr Fergussonów. Nie wiem dlaczego. Może pański ojciec za słabo o to zabiegał? Może za mało zapłacił tym, od których zależała decyzja? Tak czy owak, od tego czasu stało się jasne, że

majątek przepadł nieodwołalnie. Zniknęła szansa na jego odzyskanie. Pański ojciec zmarł w tym samym roku. Podobno rażony apopleksją.

Zatem wrzeszczący starzec ze wspomnień Rossa musiał być jego ojcem, zmarłym przed przeszło trzydziestu laty. Jedynym wspomnieniem syna pozostała jego furia i przerażenie matki.

- Biedna mama. Jak sobie poradziła, gdy została sama z trzyletnim dzieckiem?

- Ojciec Margaret dopilnował, by w jej kontrakcie ślubnym znalazły się zapisy, zabezpieczające ją na przyszłość. Bardzo hojne zapisy. Również pański ojciec zostawił swemu spadkobiercy znaczne sumy w funduszu powierniczym. Wdowa z dzieckiem mogłaby więc żyć w dostatku, gdyby nie...

- Gdyby nie...

- Gdyby nie rodzina pańskiego ojca. Miał dwie starsze siostry, obie zamężne, które za wszelką cenę pragnęły odzyskać od rządu rodzinne ziemie. Oczywiście, nie miały tak ogromnych sum, jakich wymagało prowadzenie spraw sądowych z Koroną Brytyjską. Postanowiły więc wykorzystać fundusze powiernicze małego bratanka. Pańska biedna matka nie mogła się od nich opędzić, nachodziły ją dzień w dzień wraz z hordą swoich dzieci. Dopóki żył jej ojciec, skutecznie im się przeciwstawiała, ale po jego śmierci nie była w stanie sama znieść presji rodziny. Zrobiła więc jedyną rzecz, jaka jej pozostała. Sprzedała wszystko i uciekła z panem do Anglii, pod opiekę londyńskiego prawnika, jednego z opiekunów pańskiego funduszu powierniczego, nazwiskiem Gent. Udzielił pańskiej matce schronienia i ukrył ją przed rodziną męża.

- Wróciła do panińskiego nazwiska Graham. Sir Angus kiwnął głową.

Ross poczuł, że dławi go w gardle. Matka zabrała tajemnicę do grobu, by chronić ukochanego syna.

- Kiedy zmarła?

Ross musiał odchrząknąć, by wydobyć z siebie głos.

- Gdy miałem osiem lat. Zostałem przygarnięty przez najbliższą przyjaciółkę mamy, pannę Mary Rosevale. Chodziły razem do szkoły w Londynie. Panna Rosevale wychowywała już własnego bratanka, więc wzięła i mnie. Max i ja dorastaliśmy właściwie jak bracia. Również razem wstąpiliśmy do wojska.

- Nadal jesteście przyjaciółmi?

- Tak, sir. Najlepszymi. Choć teraz mój przyjaciel zajmuje bardzo wysoką pozycję towarzyską. W wojsku służył jako zwyczajny kapitan Rosevale, ale teraz jest lordem Penrose.

Ross powoli zaczął odzyskiwać panowanie nad sobą. Łatwiej mu było rozmawiać o Maksie. Także dotyk ręki Cassie działał na niego kojąco.

- Słyszałem o tej sprawie. Parę miesięcy temu wiele się o niej mówiło w Londynie. Pewnie nadal się mówi. - Sir Angus pociągnął kolejny łyk brandy i z uznaniem spojrzał na szklaneczkę.

- O ile się nie mylę, nowy lord Penrose został już zakuty w małżeńskie okowy? Plotki na ten temat dotarły aż tutaj.

- Lordowski tytuł nie wiązał się ze znacznymi dochodami, to prawda. Zapewniam pana jednak, sir, że lord nie poślubił swej kuzynki dla pieniędzy. To związek z miłości. - Spojrzał szybko na Cassie. Nie mógł się powstrzymać.

- Nowomodne obyczaje - mruknął sir Angus. - Nie uznaję ich. Za moich czasów poślubiało się osobę wskazaną przez rodzinę i kwita.

Tego już było dla Cassie za wiele.

- Ojcie chrzestny - wybuchła. - Nie mówiłam ci o tym wcześniej, ale ostatnim pomysłem Jamesa było wydanie mnie za pułkownika Anstruthera, który mógłby być moim dziadkiem. Chyba nie zaaprobowałbyś takiego związku?

- Anstruther? Ale on przecież już ma... - Sir Angus chrząknął głośno. - Jesteś pewna, Cassie? Pułkownik Anstruther to nie jakiś tam kupczyk. To dżentelmen, który nie przyjąłby od Jamesa oferty kupna żony, ale to byłaby dla

ciebie znakomita partia, bez dwóch zdań. Anstruther jest bardzo majątny. I nie ma dzieci. Więc... - Zaczerwienił się lekko. - Ale nie ma o czym mówić. Nie teraz. To niegodne i niewłaściwe. Może kiedy pułkownik zostanie wdowcem...

Ross zaklął w duchu. Reakcja sir Angusa nie spełniła nadziei dziewczyny. Sama była sobie winna. Po co wspominała o pułkowniku? Powinna pozwolić ojcu chrzestnemu żyć w przekonaniu, że brat chciał ją przehandlować sklepikarzowi.

Ross postanowił jej pomóc. Zastanawiał się, w jaki sposób oderwać myśli starszego pana od mariażu chrześnicy z miejscowym krezusem. Alternatywą był przecież związek z człowiekiem o budzącej niesmak przeszłości.

Serce mu się ścisnęło na wspomnienie tego, co przed chwilą usłyszał. Syn zdrajcy! I on śmiałyby aspirować do ręki Cassie? Ale co innego miał robić? Zhańbił ją. Mógł to naprawić tylko w jeden sposób... dając jej własne nazwisko. Graham. Tak, to jego prawdziwe nazwisko i zamierzał je zatrzymać.

- Sir - odezwał się spokojnie. - Odpowiedział pan na większość z moich pytań. To rzeczywiście smutna historia, ale przynajmniej wiem, kim jestem i skąd pochodzę. Dzięki panu dowiedziałem się, że nie mam tu czego oczekiwać i wyjadę ze Szkocji z tym, z czym przyjechałem. Dowiedziałem się również, że jestem synem zdrajcy, który trudnił się w życiu również handlem. Muszę się z tym zmierzyć. - Zdecydowanie odstawił szklaneczkę na mahoniowy stół i wstał. - Niemniej posiadam przyjaciół i wpływy. Jestem dżentelmenem; mam królewski patent oficerski.

Sir Angus był wyraźnie nieco zaskoczony zachowaniem gościa, jednak skinął głową. Dla człowieka jego pochodzenia oficer był bez wątpienia dżentelmenem, niezależnie od historii jego rodziny.

Ross nie odważył się spojrzeć na Cassie.

- Zapewniam pana, sir, że moja sytuacja finansowa pozwala na utrzymanie rodziny na odpowiednim poziomie. Za pańskim pozwoleniem, pragnąłbym pojąć pańską córkę chrzestną za żonę.

Cassie sapnęła z wrażenia.

Sir Angus wstał, nie wypuszczając z ręki szklaneczki.

- Kapitanie Graham, to w najwyższym stopniu niestosowne. Jak można zwracać się z taką prośbą w obecności damy? Zresztą powinien pan prosić o jej rękę Jamesa, nie mnie.

- Nie mogę zwrócić się z taką prośbą do człowieka, który chciał mnie powiesić.

- Co?!

Ross szybko wyjaśnił, jak uratował Cassie, gdy jej koń poniósł spłoszony przez burzę. W „nagrodę” za zasługi został oskarżony o porwanie i wtrącony do więzienia.

- To oburzające! - uniósł się sir Angus. Ręka, w której trzymał szklaneczkę, wyraźnie drżała. - James Elliott z pewnością nigdy nie był prawdziwym dżentelmenem, ale zrobić coś takiego oficerowi? Nie mogę w to uwierzyć.

- To prawda, ojcie chrzestny - stwierdziła spokojnie Cassie i położyła rękę na ramieniu starszego pana.

Wpatrywał się w dziewczynę przez dłuższą chwilę. A potem zmarszczył brwi.

- Ale jeśli kapitan... Co robiłaś sama na koniu podczas burzy, Cassie?

- Ja... ojcie chrzestny, chciałam jechać do ciebie. Nie miałam wyboru. James odgrażał się, że wyśle mnie do Bedlam. Właśnie tamtego dnia.

- Co? Nie, nie, to bez sensu. Skoro chciał cię sprzedać, żeby spłacić długi, to nie mógł cię zamknąć w domu wariatów. Nikt, nawet najnędzniejszy ze sklepikarzy, nie poślubiłby kobiety z Bedlam. James musiał mieć dobrze w czubie, kiedy wysuwał takie groźby albo uniósł się gniewem. Jak było, Cassie?

Krew odpłynęła z twarzy Cassie.

- Był na mnie wściekły - wyszeptała, wpatrując się w podłogę. - Powiedział, że nie jestem cnotliwa.

Ross głośno wciągnął powietrze, co wyraźnie dało się słyszeć w głuchej ciszy, jaka zapadła po tych słowach.

- A miał rację? - zapytał sir Angus cicho, ale bardzo stanowczym tonem.

Krew napłynęła gwałtownie do twarzy Cassie. Ross czekał na jej odpowiedź, wstrzymując oddech.

- Ja...

- Spójrz na mnie, Cassie - poprosił sir Angus. Dziewczyna podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Oskarżył mnie fałszywie, sir. Znalazł u mnie wiersz miłosny napisany przez piętnastoletniego chłopca.

- Kogo?

Cassie potrząsnęła głową.

- Nie mogę powiedzieć. To jeszcze dzieciak i nie zasługuje na karę, jaką James chciał mu wymierzyć.

- Chroniłaś go?

- Odmówiłam podania Jamesowi jego nazwiska. Nie chciałam, by został z mojego powodu wychłostany.

Na Jowisza, co za dziewczyna! Jego dziewczyna!

Ross nie poruszył się i nie odezwał, choć wiele go to kosztowało. Chciało mu się śmiać, porwać ją w ramiona i całować aż do utraty tchu, aż do... Nie, nie czas na to.

- Rozumiem. - Sir Angus pogładził się po brodzie. - To syn dżentelmena?

- Tak.

- I za to James gotów był posłać cię do Bedlam?

- Tak powiedział. Odgrażał się, że wyda mnie za ostatniego łajdaka, pod warunkiem, że będzie dość bogaty. I że jeśli ludzie zaczną plotkować na temat mojej reputacji, to do końca życia będę trzymana pod kluczem. Jak moja matka.

- Ostatnie słowa wypowiedziała zdławionym głosem.

Sir Angus poklepał ją po ramieniu.

Odpreżyła się odrobinę. Wreszcie udało się jej odzyskać sympatię ojca chrzestnego. Szkoda tylko, że musiała w tym celu nieco podkoloryzować prawdę.

Sir Angus spojrział ponad głowę Cassie na Rossa, który podczas całego występu dziewczyny stał bez ruchu, z mocno zaciśniętą szczęką.

- Czy zamierza pan ubiegać się o rękę mojej chrześnicy również po tym, co pan przed chwilą usłyszał, sir?

- Jestem zdecydowany poślubić Cassie. Na dobre i na złe.

- Rozumiem - zapewnił pospiesznie sir Angus, najwyraźniej pod wrażeniem siły słów Rossa. - Zresztą nie ma pan powodów do obaw. Matka Cassie nie była wariatką.

- W takim razie, dlaczego...

- Ona... wybacz, moja droga, że muszę sprawić ci ból, ale kapitan Graham ma prawo wiedzieć. Matka Cassie była w okrutny sposób krzywdzona przez męża, sir. Aby oszczędzić uczucia dziewczyny, nie dodam nic więcej. W końcu podjęła próbę ucieczki w towarzystwie pewnego mężczyzny.

- Och, nie! - Cassie głośno zaczerpnęła powietrza. To, w co nigdy nie wierzyła, okazało się prawdą.

Sir Angus spojrział na nią ze współczuciem, ale podjął opowieść.

- Ojciec Cassie złapał ją i zamknął w przytułku za wiarołomstwo. Nikt nie był w stanie jej ocalić. W końcu tam zmarła.

- Rozumiem - odparł Ross z kamienną twarzą.

- A jeśli chodzi o pana oświadczyzny - ciągnął sir Angus, któremu najwyraźniej ulżyło, że miał już za sobą ujawnienie tej ponurej historii sprzed lat - ze słów Cassie wnoszę, że nie jest pan szwagrem, jakiego James Elliott by sobie wymarzył.

- To prawda, sir. Dla niego nie jestem ani dość bogaty, ani dość słaby. Gdyby próbował mnie naciągnąć na pieniądze, spotkałoby go srogie rozczarowanie.

- Hm. - Sir Angus usiadł, wyraźnie zatroskany i bezwiednie obracał w palcach szklaneczkę brandy. Wreszcie podniósł wzrok. - Przypomnij mi, Cassie, ile masz lat.

- Niedługo skończę dwadzieścia trzy.

- Tak myślałem. Jesteś pełnoletnia, więc brat nie ma prawa decydować o tobie. Nie wiem, w jaki sposób mógłby cię zmusić.

Cassie parsknęła gorzkim, nieco chrapliwym śmiechem.

- Bardzo prosto. Trzyma mnie w domu pod kluczem, jak w więzieniu. Nie daje mi do ręki pieniędzy. Dopilnował, bym nie zaprzyjaźniła się z nikim, kto mógłby udzielić mi pomocy. A w razie potrzeby może zacząć rozpuszczać plotki o moim złym prowadzeniu się. Zapowiedział mi bez ogródek, że jeśli nie zaakceptuję jego planów wydania mnie za mąż, to zostanę zamknięta w Bedlam za cudzołóstwo. Wiem, że mówił poważnie. Dlatego przeprowadziłam się przez Solway, by do ciebie dotrzeć, ojcie chrzestny. Nie znam nikogo innego, kto mógłby stanąć po mojej stronie. Chyba nie odeślesz mnie do niego?

Nie potrafiła ukryć błagalnej nutki w głosie. A może był to strach?

- Na razie z pewnością zostaniesz u mnie, kochanie. Brat nie może cię zabrać stąd siłą. I nie sądzę, by próbował. Musi zdawać sobie sprawę, że nie przebywasz już na terenie Szkocji. A po tej stronie Solway nie ma zbyt wielu ludzi na usługi.

- Dziękuję, ojcie chrzestny! - Cassie odetchnęła z ulgą. Starszy pan uśmiechnął się.

- Jako osoba pełnoletnia możesz sama udzielić odpowiedzi na oświadczyzny kapitana Grahama. Pozwól sobie powiedzieć tylko jedno: nie musisz godzić się na małżeństwo z kapitanem czy z kimkolwiek innym, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Możesz zamieszkać u mnie, z przyjemnością będę cię gościł pod swoim dachem. Zabezpieczę cię również na wypadek mojej śmierci. Nie będziesz musiała wracać do Langrigg. Nigdy.

- Ojcie chrzestny! - Cassie zarzuciła mu ręce na szyję i głośno cmoknęła w policzek. - Dziękuję! Z całego serca dziękuję!

- Nie musisz mi dziękować, moje dziecko - wymamrotał zaczerwieniony sir Angus. - Taki stary kawaler jak ja z radością powita w domu młodą, pełną wdzięku istotę. Dzięki tobie i ja odżyję. Będę też miał komu zapisać majątek.

Cassie nie znajdowała słów na wyrażenie wdzięczności.

Czuła się tak, jakby nagle rozwiały się wiszące nad nią ciemne chmury i nagle cała - duszą i ciałem - skapała się w olśniewającym słońcu.

Ross chrząknął za jej plecami. Miał bardzo surową minę.

- Pańska propozycja jest niezwykle wspaniałomyślna, sir, ale czy James Elliott nie zacznie rozpowszechniać plotek o złym prowadzeniu się siostry, jeśli pozostanie ona tutaj bez przyzwoitki? Może z czystej zemsty rzucić cień na jej dobre imię. Przecież odebraliśmy mu ostatnią szansę uregulowania długów.

- Jestem starym człowiekiem, sir - odparł sztywno sir Angus. - I ojcem chrzestnym panny Elliott. Nie ma niczego niestosownego w jej obecności w moim domu.

Ross milczał. Pomimo zaprzeczeń gospodarza, wszyscy zdawali sobie sprawę, że uwagi Grahama były słuszne. Cassie nie mogła pozostać pod dachem samotnego mężczyzny bez przyzwoitki. Nie powinna przyjąć propozycji sir Angusa.

Zapadła niezręczna cisza. Ross zauważył rumieniec na policzkach Cassie. Może zastanawiała się, czy jej reputacja ucierpi, jeśli zaakceptuje propozycję sir Angusa? Raczej nie. To nie w jej stylu. Jeśli rozważała przyjęcie propozycji ojca chrzestnego, to po to, by uwolnić się od brata. Czy od Rossa również chciała się uwolnić? Od syna zdrajcy?

Musiał zostać z nią choć na chwilę w cztery oczy i dowiedzieć się prawdy. Jego zamiary i uczucia nie uległy zmianie, należało jednak upewnić się, czy Cassie nadal kocha go na tyle, by wyjść za niego za mąż. Zamieszkanie z sir

Angusem nie dawało jej gwarancji bezpieczeństwa. Taką gwarancję dawało jedynie małżeństwo. Z nim, oczywiście.

W drzwiach stanął kamerdyner sir Angusa. Był wyraźnie podekscytowany.

- Czy mógłbym prosić o rozmowę na osobności, sir Angusie? Właśnie nadeszła pilna wiadomość. Myślę, że powinien pan ją usłyszeć jak najszybciej.

- Na osobności? A, tak. Moja droga, czy...

- Może przejdziemy z kapitanem do ogrodu? - zaproponowała Cassie sztucznie beztroskim tonem.

Sir Angus kiwnął głową.

- Dobrze. Możecie wyjść do ogrodu z bawialni, przez francuskie okno. Weź szal, Cassie, bo dziś mocno wieje.

Cassie uśmiechnęła się łobuzersko do Rossa, którego serce wykonało na ten widok dziwną woltę. Chyba nie uśmiechałaby się do niego w taki sposób, gdyby zamierzała go odtrącić?

Rozdział siedemnasty

- Obawiam się, że cierpię na niezdrową ciekawość. To okropna wada, prawda? Ale nie mogę przestać się zastanawiać, co może być tak pilnego i ważnego, że ojciec chrzestny odesłał nas z pokoju.

Cassie starała się pokryć zdenerwowanie przesadną swobodą. Prawdę mówiąc, trochę niezręcznie czuła się teraz sam na sam z Rossem. Dopóki byli w towarzystwie sir Angusa, mogła sobie wmawiać, że Rossowi na niej zależy, że jego spojrzenie wyraża ciepłe uczucia, a nie wstręt do córki ladacznicy.

W końcu się dowiedział! Z pewnością ją odtrąci! Jaki mężczyzna przy zdrowych zmysłach mógłby poślubić dziewczynę bez grosza przy duszy, której matka zmarła w przytułku dla obłąkanych?

- Cassie?

Drgnęła. Jego głos brzmiał jakoś dziwnie. Był pełen napięcia.

- Co się dzieje, moja droga? Powiedz, proszę.

Nie odpowiedziała. Nie mogła spojrzeć mu w oczy.

- Już mi nie ufasz, Cassie? - zapytał ledwie słyszalnie, jakby z trudem wymawiał słowa.

Podniosła na niego wzrok.

- Oczywiście, że ci ufam. Czy mogłoby być inaczej?

- Pomyślałem, że teraz, kiedy sir Angus uczynił cię swą spadkobierczynią, mogłaś zmienić zdanie. Czy o to chodzi? Mam rację?

- Nie! Jak mogłeś tak pomyśleć?

- Ja... - Na jego ustach pojawił się niezrozumiały dla niej uśmiech. - Wydawało mi się, że gdy dowiedziałas się, iż kochałaś się z synem zdrajcy, postanowiłaś...

Cassie zaczerwieniła się po uszy i przerwała mu niecierpliwym ruchem ręki.

- Niczego nie żałuję, Rossie. Niczego! Ja... - Delikatnie, ale stanowczo uwolniła rękę i oddaliła się od niego na dwa kroki. Dostrzegła ból w jego twarzy, więc pośpiesznie dodała: - Wcale nie jesteś synem zdrajcy. To dawno przebrzmiała sprawa, która już nikogo nie interesuje. Jesteś kapitanem Rossem Grahamem, oficerem i dżentelmenem. Możesz zaproponować małżeństwo każdej kobiecie. Absolutnie każdej!

Przez niemal minutę wpatrywał się w jej twarz badawczo.

- Naprawdę tak sądzisz, Cassie?

- Oczywiście, że tak! - odparła stanowczo.

Dlaczego koncentrował się na tej dawno przebrzmiałej historii? Czy nie mogli szczerze porozmawiać o tym, co naprawdę ważne?

Ponieważ ciągle milczał, w końcu wybuchła:

- Zapytaj kogo chcesz, jeśli mi nie wierzysz. Zapytaj ojca chrzestnego. Zapytaj pułkownika Anstruthera. Wszyscy powiedzą ci to samo. Nikogo to już nie obchodzi.

Odwróciła się, by nie dostrzegł łez, napływających jej do oczu. Musiała iść do domu, żeby nie rozkleić się kompletnie.

- Cassie, zaczekaj! - Położył jej rękę na ramieniu. - Wybacz mi, Cassie. - Jego głos był niski i lekko drżący. - Wybacz, ale tak się skupiłem na własnych troskach, że nie dałem ci nawet szansy wyjaśnienia, co się stało. Powiedz, czym się martwisz. Proszę.

Powoli, pieszczotliwym gestem przesunął dłoń z jej ramienia wzdłuż ręki, aż do palców. Ten dotyk był dobry, czuły, pełen troski... Mimo to jednak nie śmiała spojrzeć Rossowi w twarz.

Zaczęła szybko, w pośpiechu wyrzucać z siebie słowa.

- Wiem, że nie powiedziałam ci całej prawdy o sobie. Pozwoliłam, byś złożył mi propozycję małżeństwa nieświadom, że jestem córką wariatki. - Ross mocno uściśnął jej palce, ale Cassie nie potrafiła już przerwać potoku słów. - I w dodatku cudzołżnicy, ale o tym nie wiedziałam, przysięgam! Zawsze byłam

przekonana, że moja matka została fałszywie oskarżona. - Wyrwała mu rękę i odwróciła się twarzą do niego. - Okazuje się, że byłam w błędzie. Mój ojciec miał prawo ją zamknąć.

Ross westchnął głęboko. Cassie podniosła oczy, spodziewając się zobaczyć na jego twarzy wyraz wstrętu i gniewu, ale on wyglądał tak, jakby mu ulżyło. Co, u licha?

- Kiedy miałaś mi powiedzieć o losie swojej matki?

- Ja... no... mogłam...

- Może wtedy, kiedy przeskakiwaliśmy kałuże na ruchomych piaskach Solway? Albo kiedy kuliliśmy się w krzakach, modląc się, by twój brat nas nie spostrzegł?

- Ja...

- Właśnie. A może miałaś mi o tym powiedzieć, kiedy przemoczeni i zmarznięci tuliliśmy się do siebie, żeby się trochę rozgrzać?

- Tak. Mogłam...

- Cassie, nie jesteś wariatką, chociaż rzeczywiście masz trochę dziurawą pamięć. Ja natomiast pamiętam doskonale, że znalazłem wówczas znacznie bardziej interesujące zajęcie dla twoich rozkosznych ust. Nie było już miejsca na rozmowę. - Uśmiechnął się do Cassie promiennie.

- Jesteś niemożliwy! Dlaczego mnie nie słuchasz?

- Ponieważ, moja słodka, gadasz od rzeczy. Twoja matka nie była szalona. Masz na to słowo ojca chrzestnego. Biedaczka, wiele wycierpiała z ręki męża okrutnika. Trudno ją winić, że chciała uciec. Nie zamierzam jej sądzić, ty też nie powinnaś.

Przyciągnął ją do siebie, a gdy otworzyła usta, by zaprotestować, roześmiał się i mocno ją pocałował.

Cassie nie próbowała się wyswobodzić. Jak mogłaby się wyrwać, skoro o niczym innym nie marzyła? Nade wszystko pragnęła znaleźć się w ramionach Rossa Grahama, mężczyzny, któremu oddała serce. Jego bliskość, jego zapach,

dotyk doprowadziły jej krew do stanu wrzenia. Nauczył ją miłości, a ona teraz udowadniała, że czasami uczeń przerasta mistrza.

Jęknął i odsunął się, by odzyskać panowanie nad sobą.

- Jesteś prawdziwą wiedźmą, Cassie.

Dotknął palcami jej włosów z takim zachwytem, jakby dotykał największego skarbu na ziemi. Potem znowu pochylił głowę i wpił się wargami w jej ust.

To był bardzo długi pocałunek. Cassie miała wrażenie, że ich dusze stapiają się w jedno. Kiedy Ross uniósł wreszcie głowę, jego oczy miały rozmarzony, trochę nieprzytomny wyraz. Czy jej były takie same? Pewnie tak, bo już nie wiedziała, kim jest i gdzie się znajduje, no i dlaczego przestał ją całować?

- Ross? O co chodzi?

- Mam nadzieję, że teraz ma pani pełną jasność co do moich intencji.

- Ja... to znaczy, że naprawdę... że rzeczywiście chcesz poślubić córkę wariatki?

Potrząsnął głową ze znużeniem.

- Nie jesteś córką wariatki. Natomiast ja jestem synem zdrajcy. Ten związek byłby korzystny tylko dla mnie. Czy mimo to zgodzisz się wyjść za mnie, Cassie?

Zajrzała mu w oczy. Były już przytomne i pełne niepewności. Obawiał się, że mu odmówi! Jak mógł tak pomyśleć? I to z takiego powodu! Oddała mu się, ponieważ go kochała. Wybrała go. Nikt nie mógł tego zmienić poza samym Rossem.

- Nie wierzysz, że cię kocham? - Jej głos był bardzo cichy i nieco drżący.

- Muszę w to wierzyć, skoro pozwoliłaś mi się kochać. Więszego dowodu miłości mężczyzna nie może otrzymać. Wyjdiesz za mnie? Naprawdę?

- Jeśli jesteś pewien, że chcesz mnie za żonę. Jeśli jesteś absolutnie pewien. Powinnam była powiedzieć ci o matce, kiedy oświadczyłeś mi się po

raz pierwszy. Powinnam dać ci szansę wycofania się. Co będzie, jeśli nasze dzieci odziedziczą szaleństwo?

Ross objął jej ramiona i potrząsnął nią. Niezbyt mocno, ale wystarczająco, by się opamiętała.

- Ile razy mam ci powtarzać, że twoja matka nie była wariatką i że nie istnieje szaleństwo, które może zostać odziedziczone przez następne pokolenia? Jesteś całkowicie normalną dziewczyną, choć upartą jak muł. Syn zdrajcy może być tylko zaszczycony, mogąc cię pojąć za żonę.

W kącikach ust Cassie pojawił się leciuteńki uśmiech.

- A więc zgoda, kapitanie Graham, synu zdrajcy. Przyjmuję pańskie oświadczenia.

Ross chciał krzyczeć z radości. Przyjęła go! Naprawdę go przyjęła, znając ponurą przeszłość jego rodziny. A więc musiała go naprawdę kochać. To prawdziwy cud!

Odrzucił pokusę pocałowania jej. Za bardzo jej pragnął, gdyby ją teraz pocałował, mogliby zacząć się kochać pod żywopłotem, na oczach wszystkich domowników sir Angusa. Powinien zachowywać się jak na dżentelmena przystało i panować nad pożądaniem, dopóki nie zostaną połączeni świętym węzłem małżeńskim.

Ale to musi nastąpić szybko. Bardzo szybko.

Wziął ją pod rękę i pociągnął w głąb ogrodu.

- Musimy się pobrać jak najszybciej, Cassie. Poproszę sir Angusa, byś mogła wyjść za mąż z tego domu. Tak będzie najbezpieczniej. Zagrożenie nie minie, dopóki nie opuścisz kościoła z obrączką na palcu. Gdyby to było możliwe, urządziłbym ślub już jutro, ale muszę otrzymać zezwolenie. Z Londynu!

Ścisnęła jego rękę i spojrzała mu w oczy z psotnym uśmiechem.

- Możemy przekraść się przez granicę do Gretna Green.

- Nie, milady, nie możemy.

- Dlaczego? Tak by było najszybciej. Szybciej niż ze specjalnym zezwoleniem.

- Boże, strzeż mnie przed przemądrzałymi kobietami - zawołał z szerokim uśmiechem. - Z dwóch powodów, moja panno. - Głęboko nabrał powietrza i zaczął wskazywać na palcach, jak preceptor szczególnie tępemu dziecku. - Po pierwsze dlatego, że nie możesz postawić stopy w Szkocji, dopóki nie zostaniesz szacowną mężatką. A po drugie dlatego, że sekretny ślub w Gretna Green wyrządziłby nieodwracalną szkodę twojej reputacji. Wyobraź sobie tylko te plotki: niewinna młoda panna uwięziona do Gretna, bez wątpienia ofiara pozbawionego skrupułów oficera, nieświadoma, że to syn zdrajcy.

Oczy Cassie rozszerzyły się.

- Och, masz rację. Ślub w Gretna zniszczyłby twoją reputację i...

- Moją reputację?

- Oczywiście. Nie mogę do tego dopuścić. Wszystko musi się odbyć z zachowaniem wszelkich obowiązujących zasad.

Ross potrząsnął głową.

- Widzę, że nasze małżeństwo będzie prawdziwą przygodą, Cassie. Pomimo że przysięgniesz mi miłość, szacunek i posłuszeństwo.

- Jestem pewna, że nigdy nie zażadasz ode mnie czegoś idiotycznego, więc nie boję się, iż będę zmuszona złamać przysięgę.

- Idiotycznego? - Ross uderzył się otwartą dłonią w czoło, starając się nie roześmiać na widok miny Cassie. - Masz moją zgodę na nieposłuszeństwo względem każdego polecenia, które zostanie uznane za idiotyczne...

- Świetnie!

- ...przez rozsądnego mężczyznę.

Cassie wybuchła śmiechem. Ross objął jej szczupłą talię, uniósł dziewczynę nad ziemię i zakręcił się z nią wokół własnej osi.

- Przestań, przestań! Kręci mi się w głowie! Postaw mnie na ziemi, nieznośny człowieku!

Postawił, ale jego dłonie pozostały na kibici dziewczyny.

- Mnie się kręci w głowie od samego patrzenia na ciebie. A kiedy cię dotykam, doprowadzasz mnie do szaleństwa. - Lekko wzmógł uścisk dłoni obejmujących jej talię. - Och, Cassie, gdybyś wiedziała, jak bardzo cię w tej chwili pragnę, uciekłaś gdzie pieprz rośnie.

Nie uciekła jednak, tylko zarzuciła mu ręce na szyję.

Ross jęknął. Jeszcze przed chwilą pragnął, by sir Angus jak najszybciej zakończył sprawy, by móc podzielić się z nim radością i zacząć planować wesele. Teraz, boleśnie podniecony, wolałby, aby interesy przeciągały się jak najdłużej.

Ross przestał walczyć z własną namiętnością. Cassie wręcz dopominała się o pocałunki. Jakież mężczyzna mógłby się jej oprzeć?

Sam był zaskoczony, że ten pocałunek wyrażał nie tylko namiętność, ale i głębsze uczucie. Cassie wspierała się o niego z ufnością, miłością i całkowitym oddaniem. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie było w stanie się poruszyć.

Odkoczyli od siebie, słysząc wymowne chrząknięcie. Cassie zaczerwieniła się, ale nawet nie próbowała ukrywać szczęścia. Promieniała radością i chciała podzielić się nią z całym światem. Zaborczym gestem ujęła Rossa pod ramię i pociągnęła go ku francuskiemu oknu do saloniku, w którym stał sir Angus.

- Ojcie chrzestny! Ty pierwszy dowiadujesz się o naszym szczęściu. Ross i ja pobierzemy się najszybciej jak to możliwe. Och, ojcie chrzestny, nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa!

Sir Angus nie odezwał się i Cassie stanęła zdumiona.

- Nie cieszysz się, ojcie chrzestny? Proszę, nie bądź zły. Nie chcę odrzucać twojej wspaniałomyślnej oferty udzielenia mi schronienia, ale widzisz... ja go kocham. I najbardziej na świecie pragnę zostać jego żoną.

Sir Angus zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Cieszę się ze względu na ciebie, drogie dziecko. Gratuluję też panu, kapitanie Graham. Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi.

- Dziękuję, ojcie chrzestny. - Cassie znów pocałowała go w policzek. Tym razem z mniejszym impetem niż poprzednio, co Ross odnotował z zadowoleniem.

- Wejźmy do domu. Nie powinniśmy rozmawiać o tak doniosłych wydarzeniach na schodach. - Sir Angus cofnął się do pokoju.

Ross ruszył wraz z Cassie za nim, ale już wyczuwał niebezpieczeństwo. Żołnierski instynkt go nie opuścił. Działo się coś bardzo złego. Jeszcze przed chwilą sam tłumaczył Cassie, że dopóki nie wyjdzie z kościoła jako jego żona, będzie istniało zagrożenie, iż zostaną rozdzieleni. Teraz ta prawda w pełni dotarła i do niego.

Usiedli, ale tym razem dziewczyna otwarcie przytuliła się do Rossa, nie przejmując się, czy sir Angus to zauważy, czy nie. Była odprężona i dosłownie promieniała szczęściem. Ross natomiast był zbyt spięty, by ujawnić swe uczucia. Czuł, że sir Angus zniweczy ich plany.

Pełne napięcia milczenie trwało przez kilka chwil. Ross postanowił je przerwać.

- Sir, przykro mi, że chrześnica nie zamieszka z panem, na co pan liczył. Ona...

- Nie myśl o tym, mój chłopcze - odparł sir Angus ze słabym uśmiechem.

- Jeśli ona jest szczęśliwa, to macie moje błogosławieństwo.

- Dziękuję, sir.

- Dziękuję, ojcie chrzestny - szepnęła Cassie w tym samym momencie.

- Ale, Cassie... - Sir Angus wpatrywał się we własne ręce złożone na kolanach. - Kochanie, mam okropną wiadomość. O Boże, nie wiem, jak mam złagodzić ten cios? Drogie dziecko, muszę cię poinformować, że twój brat nie żyje. Utonął. Wczoraj. W Solway.

Oczy Cassie rozszerzyły się. Potem zerwała się z kanapy.

- To moja wina - wyszeptała. - Życzyłam mu śmierci. Modliłam się o nią. Stało się. Boże, wybacz mi!

- Cassie! Dziecko!

Za późno, dziewczyna osunęła się na podłogę zemdlona.

- Nie przejmuj się tak okropnie, drogi chłopcze. Doktor powiedział, że wkrótce dojdzie do siebie.

- Naturalnie - odparł automatycznie Ross, choć wcale nie był tego taki pewny.

Jej ciało niewątpliwie wróci do normy, ale umysł? Nie zapomniał żarliwej modlitwy Cassie, by piekło pochłonęło jej brata. Bez wątplenia ona również ją pamiętała. Przez resztę życia nie pozbędzie się poczucia winy. Nieważne, że nie była odpowiedzialna na śmierć Jamesa. Sumienie i tak nie da jej spokoju.

- Cieszę się, że mogę porozmawiać z panem w cztery oczy, kapitanie Graham.

Sir Angus zdawał się nie dostrzegać zamętu panującego w duszy Rossa ani niezgodności w czasie między ucieczką Cassie a utonięciem jej brata. Siedział i bębnił palcami w oparcie fotela.

- Po śmierci brata nie ma już nikogo, kto by się o nią upomniał. Zamierzam wziąć tę rolę na siebie. Jeśli chodzi o... kwestie finansowe i tym podobne.

- Dziękuję, sir. Cassie z pewnością będzie panu ogromnie zobowiązana. Nie jestem bogaty, ale zapewniam, że zdołam ją utrzymać na odpowiednim poziomie. Będzie miała wszystko, co należy się damie z jej sfery.

Ross przedstawił zwięźle swą sytuację finansową. Kiedy skończył, sir Angus promieniał zadowoleniem.

- To mnie w pełni satysfakcjonuje, sir. W pełni. Stwierdził pan, że nie jest pan bogaty. Cóż, pozwolę sobie zauważyć, że w porównaniu z jej bratem, znajduje się pan doprawdy w komfortowej sytuacji. Może James powinien był jednak wziąć poważnie pana pod uwagę jako kandydata do ręki swej siostry.

Ross lekko skinął głową, ale nie odezwał się. Uwaga sir Angusa była słuszna, niemniej w świetle niedawnej śmierci Jamesa Elliotta wydawała się nieco nie na miejscu.

Sir Angus najwyraźniej również uświadomił sobie, że popełnił *faux pas*, bo chrząknął i pośpiesznie zmienił temat.

- Najważniejsze, że pan zrozumiał sytuację majątkową mojej chrześnicy, kapitanie.

Ross spojrział na niego ze zdumieniem.

- Wiem, że biorę Cassie bez żadnego majątku. Absolutnie bez grosza. Czyż nie tak?

- Może coś tam zostało. Langrigg nie podlega zasadom majoratu, więc Cassie dziedziczy całą posiadłość. Nie ma innych spadkobierców. Langrigg to nie tylko dwór, ale i spory szmat ziemi. Nie wiem, jakie przynosi dochody ani czy nie jest zastawione. Zapewne na majątku ciążyą długi, i to dość znaczne. James Elliott nie inwestował w swoją ziemię. Wszystkie dochody poświęcał na spełnianie własnych zachcianek. Hazard i kobiety sporo go kosztowały.

- Spłacę jego długi, oczywiście.

- Także długi karciane?

- Tak - odparł Ross. - Był bratem Cassie. Nie chcę, by ją dręczyły niespłacone długi honorowe.

- Na pana miejscu najpierw wywiadziłbym się o ich wysokość - mruknął sir Angus. - Mogą być wyższe, niż pan sądzi. Chyba nie narazi pan przyszłości żony, by uregulować zobowiązania finansowe jej brata nicponia?

- Zgodnie z pana sugestią dowiem się, ile był winien, ale tak czy owak jego długi zostaną spłacone.

Sir Angus nie spierał się już więcej na ten temat.

- Co zamierza pan zrobić z Langrigg? Zamieszkacie tam?

- To w znacznej mierze zależy od Cassie. Moja posiadłość w Wiltshire jest niewielka, ale bardzo ładna. Jeśli jednak Cassie będzie chciała spędzać część roku w Langrigg, zgodzę się w przyjemnością.

- Byle nie zimowe miesiące - mruknął sir Angus z lekkim uśmiechem.

Ross uśmiechnął się również i skinął głową.

- Rozumiem. Postaram się przekonać ją, że najlepiej przyjeżdżać tu latem, kiedy ogród prezentuje się najpiękniej.

- A co ze ślubem? - zapytał sir Angus po krótkiej przerwie.

- To zależy od Cassie.

- Obawiam się, że w obecnym stanie nie jest w stanie podejmować żadnych decyzji.

- Też tak sędzę. Boże, jaka szkoda, że nie zawiozłem jej do Gretna, zamiast przekraczać Solway.

- Nie, kapitanie Graham. Dobrze pan zrobił. Proszę nie zapominać o jej historii. O historii jej matki. Jeśli Cassie ma zająć należne jej miejsce w społeczeństwie, to nie może być najmniejszych wątpliwości co do legalności waszego ślubu. - Podniósł rękę, by uciszyć ewentualne protesty Rossa. - Może wyjść za mąż z mojego domu. Mam pewną pozycję w towarzystwie, ale ślub w Gretna nie zostałby zaakceptowany.

Ross kiwnął głową. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę. To samo mówił Cassie w ogrodzie.

- Sir Angusie, Cassie nie opowiedziała mi o swojej matce - odezwał się po chwili. - Chyba sama nie zna całej prawdy. Mówił pan, że pani Elliot nie była obłąkana, lecz padła ofiarą okrucieństwa męża.

- Widzę, że jest pan gotów usłyszeć wszystko, nawet to, co najgorsze, o rodzinie, w którą zamierza pan wejść. Cóż, pańskie prawo. Miał pan do czynienia z Jamesem Elliottem. Jego ojciec był taki sam. Matka Cassie, Elizabeth Fergusson, była jego drugą żoną, znacznie młodszą od męża. W dodatku piękną, a on należał do zazdrośników. Kiedy urodziła się Cassie,

wmówił sobie, że żona nie dochowała mu wierności. Może nawet podejrzewał, że Cassie nie jest jego córką. - Urwał, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w ogień. - Zastanawiałem się, czy to dlatego wysłał ją na wiele lat do szkoły w Edynburgu. Zdawał się nienawidzić tego dziecka. Jego syn szybko zaraził się tą nienawiścią od niego. - Ze smutkiem pokiwał głową.

- A matka Cassie, sir? - przypomniał delikatnie Ross.

- Nieszczęsna Elizabeth. Wystarczyło, że uśmiechnęła się do innego mężczyzny, chłopca czy starca, by robił jej dzikie awantury. Bił ją. Wyjątkowo okrutnie. Czasami tygodniami nie wychodziła z pokoju, zanim siniaki zniknęły. W końcu nie mogła już tego znieść. Znalazła sobie kochanka i próbowała uciec od męża. Nie udało jej się. James Elliott dogonił ich i zamknął Elizabeth w zakładzie dla obłąkanych. Nikt nie mógł jej pomóc.

- Jej kochanek... z pewnością próbował?

- Nie mógł. Zginął. Podobno skreślił kark podczas katastrofy powozu, ale nigdy w to nie wierzyłem. Został zamordowany. Przez Elliotta. Z zemsty. Ten człowiek musiał panować nad wszystkim i wszystkimi. To on powinien był wylądować w Bedlam.

W głosie sir Angusa było tyle goryczy, że Ross domyślił się, iż starszy pan coś ukrywa.

- Był pan spokrewniony z matką Cassie, sir?

- Tak, byłem jej dalekim kuzynem. Bardzo dalekim. Mieliśmy wspólnego prapradziadka.

- To znaczy, że ja również jestem kuzynem Cassie?

- Tak, ale równie dalekim jak ja. Nie ma przeszkód, by ją pan poślubił, jeśli to pana niepokoi.

Ross kiwnął głową. Starszy pan musiał zatem ukrywać co innego.

- Dziwię się, że pani Elliott miała okazję spotykać się z kochankiem. Przecież chorobliwie zazdrosny mąż musiał jej bardzo pilnować?

- Tak, ale nie mógł zamknąć drzwi przed członkami rodziny. Byłem ojcem chrzestnym jego córki.
- Więc to pan?! Ale mówił pan, że ten mężczyzna...
- To był mój brat.

Rozdział osiemnasty

- Pozwól, że z tobą pójdę, Cassie.
- Nie.
- Nie możesz być sama.
- Potrzebuję samotności. - Wiedziała, że nie powinna w taki sposób opędzać się od Rossa. Nie ponosił odpowiedzialności za jej problemy. Starał się udzielić jej wsparcia. Odwróciła się ku niemu. - Przepraszam, Ross. Nie chciałam być niegrzeczna ani niewdzięczna. Wiem, że masz najlepsze intencje, ale... Wybacz, naprawdę potrzebuję samotności.

Czuła, że łzy znowu napływają jej do oczu. Uniosła spódnice i pobiegła poszukać schronienia w ogrodzie. Za plecami usłyszała głębokie westchnienie Rossa. Był głęboko nieszczęśliwy, ale nie poszedł za nią. Jako prawdziwy dżentelmen nie chciał zakłócać jej żałoby.

Pod koniec alei zatrzymała się i obejrzała za siebie. Była sama. Starła się oderwać myśli od swego nieszczęścia i skupić uwagę na czymkolwiek, choćby na idealnie przystrzyżonych żywopłotach czy ścieżkach wysypanych czystym żwirkiem.

Francuski styl urządzania ogrodów był szalenie efektowny, ale Cassie wołała inny.

Sir Angus najwyraźniej lubował się w stylu klasycznym, obowiązującym w latach jego młodości, i tego wymagał od zespołu ogrodników. Gdyby Cassie miała pozostać w Whitemoss, namawiałaby ojca chrzestnego do wprowadzenia

bardziej nowoczesnych trendów, ale przecież nie zostanie tutaj. Wyjdzie za Rossa Grahama. Wyjdzie?

Ze zdumieniem pokręciła głową. Nie była już tego taka pewna. Niczego nie była pewna.

Usiadła na małej ławeczce i odruchowo wygładziła fałdy czarnej spódnicy. Na szczęście gospodyni mogła pożyczyć jej strój odpowiedni dla kobiety w żałobie. Może nie najlepiej pasował... Prawdę mówiąc, kompletnie na nią nie pasował, ale kto miał ją tutaj podziwiać? Cichy wewnętrzny głos przypominał jej, że Ross ją widział w tym odzieniu. Co sobie o niej pomyślał? Czerwone, zapuchnięte oczy, blada twarz i workowata suknia. Co gorsza, Cassie zamieniła z nim najwyżej kilka słów od chwili, gdy usłyszała tę wiadomość.

On stara się ci pomóc, Cassie Elliott, a ty go ciągle odpychasz!

- A co mam robić? - jęknęła na głos. - Mój brat nie żyje. A ja jestem za to odpowiedzialna.

Będzie musiała nauczyć się żyć ze świadomością tego, do czego doprowadziła.

Wstała i powoli ruszyła przez wypielegnowany ogród w stronę lasu rosnącego na jego tyłach. Słońce grzało coraz mocniej, robiło się gorąco. W cieniu drzew poczuje się lepiej. Nikt nie będzie jej tam przeszkadzał.

Majestatyczne drzewa zdawały się ją zapraszać. Dotknęła najniższych gałęzi rozłożystej leszczyny, a potem wspaniałego buku. Jakie były piękne! Niektóre z nich rosły tutaj od stu lat, może nawet dłużej. Ten dąb na przykład bez wątpienia stał tu, zanim zaczęto budować dwór. Pewnie te drzewa widziały już w swoim cieniu niejedną zapłakaną kobietę. Niezależnie od tego, jaki był powód ich łez, dawno przeminał. Problemy Cassie również z czasem znikną.

Przytuliła się do szorstkiej kory buku. Siła i spokój odwiecznego drzewa podziały na nią kojąco, jakby mówiło: „Teraz nastanie dla ciebie dobry czas, Cassie. Wykrzyczałaś w niebo swój żal i poczucie winy. Już dość. Musisz żyć ze świadomością tego, co zrobiłaś i znowu wziąć się z losem za bary.

Przeszłości nie można zmienić. Natomiast można kształtować własną przyszłość. Ucieczka do niczego nie prowadzi".

Cassie przez dłuższą chwilę głaskała korę. Potem przytuliła twarz do pnia i spojrzała w górę, w konary. Dumne i potężne, zdawały się sięgać aż do nieba. Pełne życia i spragnione życia.

Tak. Czas zrobić to samo. Powinna wziąć los w swoje ręce.

Przede wszystkim pogodzić się z Rossem. Zraniła go. Jako człowiek o ogromnej sile wewnętrznej, pełen współczucia i zrozumienia, bez słowa skargi pozwalał jej powarkiwać na siebie i odtrącać się.

Kochała go. Oczywiście, że go kochała. Mógł jednak zacząć żywić co do tego wątpliwości.

Czy miało to dla niego znaczenie, skoro nie odwzajemniał jej uczuć? Chyba jednak tak. Bo naprawdę mu na niej zależało. Tego była pewna. Tylko człowiek, nieobojętny wobec niej, w dodatku człowiek dobry i uczciwy, mógł zachowywać się tak jak Ross. Czas mu o tym powiedzieć i podziękować.

Jeszcze tylko przez chwilę zostanie w tym chłodnym, zielonym zaciszu, uporządkuje myśli i pobiegnie do domu, by go odszukać.

Wróciła powoli na ścieżkę i weszła nieco głębiej w las, zachwycając się różnorodnością drzew. Zauważyła rodzime gatunki, takie jak jarzębiny i sosny, ale również młodsze drzewa, które normalnie nie występują w tych stronach, musiały więc zostać celowo zasadzone przez sir Angusa lub jego przodków. Za trzydzieści czy czterdzieści lat las będzie się prezentował jeszcze wspanialej.

Może wróć tu z Rossem za trzydzieści lat, wraz z dziećmi i wnukami, by jeszcze raz przejść się tą ścieżką? Ten obraz rozgrzał jej serce.

Nagle Cassie usłyszała jakiś szmer. Może to królik albo ptak, szukający w ściółce robaków?

Szmer zabrzmiał ponownie, głośniejsze. Trzasnęła gałązka. To nie ptak!

- Kto to? - zawołała Cassie, zwracając się w stronę źródła dźwięku.

- Proszę wejść, kapitanie. Niech pan siada. Jak ona się trzyma?

Ross usiadł naprzeciw sir Angusa i pokręcił głową.

- Niestety, nie lepiej. Nie chce ze mną rozmawiać.

- Ani ze mną. Próbowałem znowu dziś rano, kiedy zeszła na dół po śniadaniu, ale potrząsnęła tylko głową i odwróciła się do mnie plecami. Mruknęła pod nosem, że potrzebuje samotności. Nawet na mnie nie spojrzała. To nie może dłużej trwać! Musimy nią jakoś potrząsnąć, by wyrwać ją z tego stuporu.

- Nie widzę sposobu - westchnął Ross. - Wmówiła sobie, że ponosi winę za śmierć brata, bo modliła się, by go piekło pochłonęło, i proszę: jej modlitwy zostały wysłuchane. To nonsens, obaj o tym wiemy. Cassie jest na tyle rozsądna, że pewnie również zdaje sobie z tego sprawę. A raczej kiedyś zda sobie z tego sprawę. Musimy jej dać więcej czasu.

- Więcej czasu? Tylko jeszcze bardziej pograży się w żalu, mój chłopcze. Posłuchaj mojej rady, choć jestem starym kawalerem. Co to będzie za małżeństwo, jeśli nie jesteś w stanie narzucić jej swego autorytetu? Mąż powinien trzymać w garści wszystkich domowników.

- Będę - zapewnił szybko Ross. - Ale teraz Cassie potrzebuje czasu. I będzie go miała.

Sir Angus nie dodał nic więcej. Widział, że kapitan podjął już decyzję w tej sprawie i nic nie mogło jej zmienić.

Ross wyciągnął się wygodnie w fotelu i utkwił wzrok w miniaturze wiszącej na przeciwległej ścianie. Portret jego matki znajdował się nadal na swoim miejscu. Był zadowolony, że wreszcie poznał prawdę. Dziwne, ale teraz, po okropnej śmierci Elliotta, prawda ta nie wydawała mu się już taka przerażająca. Postanowił zapomnieć o całej tej rodzinie. Z wyjątkiem matki, która była kobietą dzielną i zdecydowaną. Podobną do Cassie.

Uśmiechnął się do portretu.

Zaprobowalabyś Cassie, mamó. Będzie dobrą żoną i jeśli Bóg da, dobrą matką. Szkoda tylko, że nie zobaczysz swoich wnuków. Jeśli patrzysz teraz z

góry, to proszę cię, mamó, pobłogosław Cassie i pomóż jej uporać się z udręką. Chcę, by przyszła do mnie z własnej woli i została moją żoną z radością.

- Przepraszam, sir. - To był kamerdyner sir Angusa. Przyzwyczał się już do gości i traktował ich z należytyim szacunkiem. - Właśnie przybył pański ordynans, Fraser. Przyprowadził dwa konie. Bagaże wniósł już na górę.

- Znakomicie. Bardzo mi się przyda zmiana ubrania. W tych nie prezentuję się najlepiej.

Spojrzał krytycznie na bryczesy i surdut pożyczone od jednego z gajowych sir Angusa. Odkąd przybył na północ, bezustannie niszczył swe eleganckie ubrania i paradował w cudzych, niedopasowanych. Taki już widać jego los.

Kamerdyner ruszył do wyjścia.

- Chwileczkę - zatrzymał go Ross. - Powiedz Fraserowi, żeby mi naszykował ubranie. Za parę minut będę na górze.

Służący skłonił się i wyszedł.

- Dotarcie tutaj zajęło pańskiemu służącemu dziwnie dużo czasu, kapitanie Graham - zauważył sir Angus. - Mam nadzieję, że udzieli mu pan stosownej reprimendy.

- To zależy, sir. Miał na głowie powóz, dwa konie i mnóstwo sakwojaży. Ciekawe, jak sobie z tym wszystkim poradził? I ze zbirami Elliotta na dodatek.

- Oni byli zbyt zajęci wyciąganiem swego pana z ruchomych piasków, by przejmować się jakimś tam służącym. Co innego, gdyby mogli dopaść pana czy Cassie.

- To prawda. A teraz przepraszam, sir, ale pójdę się dowiedzieć, co Fraser porabiał przez ostatnie dwa dni.

- Fraser! Nareszcie! Już niemal postawiłem na tobie krzyżyk! Co cię tak długo zatrzymało? Gdzie zostawiłeś Morag? Panna Elliott jej potrzebuje.

Ordynans odwrócił się od sterty ubrań Rossa, które wypakowywał z sakwojaży. Bezwzględnie wymagały prasowania.

- Nie mogłem dotrzeć wcześniej, sir. Chyba że powystrzelałbym tych obwiesi z Langrigg albo utopił Morag w Solway. To okropnie uparta baba, zupełnie jak jej pa...

Ross próbował ukryć uśmiech.

- Nie jest twoją rzeczą krytykowanie lepszych od ciebie, Fraser. - Starał się, by zabrzmiało to surowo, ale bez powodzenia.

- Oczywiście, sir - przyznał służący z uśmiechem, który mówił wszystko. Niewątpliwie zamierzał nadal krytykować lepszych od siebie, tak jak to czynił zawsze, choć jedynie w obecności Rossa. - Powyjmowałem pańskie rzeczy, ale trzeba je koniecznie odświeżyć i wyprasować. Do obiadu powinien pan już zasiać w przyzwoitym stroju. Jak się czuje pani? To znaczy... panna Cassie?

- Niezbyt dobrze.

- Co się stało?

- Nieważne. Panna Elliott jest tutaj bezpieczna. Powiedz, gdzie się podziewa Morag? I co się stało z Elliottem i jego ludźmi? Czy Hera jest zdrowa? Co zrobiłeś z powozem Elliotta?

- Nie wszystko naraz, panie. Nie wszystko naraz. - Fraser odłożył rzeczy Rossa i zaczął wyjaśniać. - Morag zostawiłem w gospodzie w Longtown. Nie było sensu ciągnąć jej aż tutaj, bo nie byłem pewien, czy pan dotarł tu z panną Elliott. Poza tym na widok konia w tę babę wstępuje diabeł. Mieliśmy do dyspozycji tylko te dwa wierzchowce, bo powóz zostawiłem w Gretna. Nie chciałem zostać aresztowany jako koniokrad podczas próby przekroczenia granicy.

- Przewiozłeś Morag przez granicę na końskim grzbiecie?

- Tak, sir. Było to najtrudniejsze zadanie, jakie w życiu wykonałem. Ona nie lubi koni. A one odpłacają jej tym samym. W końcu posadziłem ją za sobą, bo Hera nie chciała mieć z nią nic wspólnego.

- Co zrobiłeś z bagażami? Twój koń nie mógł nieść dwóch osób i jeszcze sakwojaży na dodatek.

- Przytroczyłem je do siodła Hery. Ross wybuchnął śmiechem.
 - Nie była ci za to wdzięczna! Poczula się z pewnością głęboko urażona, że potraktowałeś ją jak juczną chabetę.
 - Owszem, i wyraziła to bardzo dobitnie, próbując kopnąć mnie w tyłek.
 - Koniecznie muszę do niej pójść z jabłkiem albo marchewką w kieszeni, żeby ją jakoś udobruchać, ale dość o tym. Powiedz, czy pościg cię dopadł?
 - Właściwie nie. James Elliott podjechał blisko i zajął do powozu. Ma... Miał wspaniałego siwka. Aż dziw, że nie dogonił nas wcześniej.
 - Jak się zorientował, że panny Elliott nie ma w karecie? Morag miała ułożyć kosze, żeby wyglądały jak skulona postać.
 - I postarała się, ale kiedy nie znalazł w środku pana, zrozumiał, że i panny Cassie nie ma co szukać. Ross zaklął. Oczywiście!
 - Nie próbował nawet nas zatrzymać. Zawrócił i popędził do Annan. Myślałem, że pośle za nami choć jednego ze swych ludzi, ale nie.
 - Potrzebował wszystkich, żeby nas złapać przy przekraczaniu Solway.
 - Ależ on nie mógł się przeprawić! Nadchodził przypływ.
 - Owszem, ale Elliott miał konie, a my szliśmy na piechotę. Dotarli na drugi brzeg tuż za nami. Gdyby nie udało nam się w porę znaleźć kryjówek... Wolę nawet o tym nie myśleć. Tak czy owak, zdążyliśmy się schować i nie znalazł nas. A próbował. Swoich ludzi odesłał na drugi brzeg, żeby zdążyli przed przypływem. Dotarli bezpiecznie do Szkocji?
 - Tak, sir.
 - Widziałeś ich?
 - Nie, sir. W tym czasie walczyłem z Morag i Herą, ale wieści rozchodzą się tutaj błyskawicznie. Jeszcze przed zachodem słońca wszyscy wiedzieli już o waszej ucieczce. A nawet o wypadku Elliotta.
 - Aż dziw, że te wieści nie dotarły jeszcze do Whitemoss. Sir Angus nadal wierzy, że przeprawiliśmy się rano, a nie wieczorem.
- Fraser kiwnął głową.

- Dzisiaj już na to za późno, ale chciałbym, żebyś rano pojechał do Longtown po Morag. Sir Angus z pewnością pozwoli mi skorzystać ze swego powozu, bo zdaje sobie sprawę, że obecność zaufanej pokojówki mogłaby pomóc pani Elliott.

- Nie wiem, czy to rozsądne wysłać mnie do Longtown, sir. Może pan potrzebować mojego wsparcia do obrony panny Cassie. Jeśli jej brat przyjedzie...

- Jej brat nie żyje. Utonął w Solway. Powiedziałeś, że o tym wiesz.

Fraser potrząsnął głową.

- Nic podobnego, sir. To prawda, że złapał go przypływ, a jego koń został wciągnięty przez ruchome piaski, ale on sam ocalał. Jego ludzie to nikczemnicy, ale lojalni wobec swojego pana. Wyciągnęli go.

- O Boże! Cassie! On po nią przyjdzie!

- Właśnie o tym mówię, sir. Z pewnością już do tej pory się pozbierał. Musimy chronić pannę Cassie...

Ale Ross już go nie słuchał. Biegł ile sił w nogach w stronę schodów.

Gdzie Cassie? Ostatnio widział ją w ogrodzie. Chyba nawet Elliott nie odważyłby się zaatakować jej tuż pod domem sir Angusa? Od jej wyjścia upłynęła godzina, może nawet dwie. Nie wiadomo, dokąd poszła.

Na dole o mało nie wpadł na kamerdynera.

- Powiedz swemu panu, że Elliott żyje! - krzyknął, nie zatrzymując się i wybiegł do ogrodu.

Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że Cassie nie ma. Wpadł do lasu. Jeśli Elliott ją tu przydybał...

- Cassie! - zawołał ile sił w płucach. - Cassie! Gdzie jesteś? Nie doczekał się odpowiedzi.

Dostrzegł natomiast zbliżającego się sir Angusa.

Towarzyszył mu kamerdyner i kilku lokajów. Ross natychmiast objął nad nimi dowodzenie, nie pytając gospodarza o zgodę.

- Rozciągnijcie się w tyralierę i szukajcie panny Elliott. Może być wszędzie. Gdybyście natrafili na jakikolwiek ślad intruzów, poinformujcie mnie o tym niezwłocznie.

- Kapitanie Graham! - zawołał sir Angus z naciskiem. - Co tu się dzieje? Doszły mnie jakieś nieprawdopodobne wieści o Elliotcie. Naprawdę przeżył?

Ross niecierpliwiał się, by dołączyć do ludzi poszukujących Cassie, ale odpowiedział.

- Mój ordynans twierdzi, że nie utonął. Został wyciągnięty w ostatniej chwili przez swoich ludzi. Przez dwa dni zdążył dojść do siebie i obawiam się... poważnie się obawiam, że dopadł Cassie.

Sir Angus aż się zachwiał.

- Och, nie! Znowu? - wymamrotał.

- Słucham?

- Nie rozumie pan? Ojciec Cassie odebrał Elizabeth mojemu bratu. Oboje nie żyją. Teraz James odebrał panu Cassie.

Rozpaczliwie pokręcił głową.

- Proszę się tak łatwo nie poddawać, sir.

Jeśli rzeczywiście ją ma, to mu ją odbiorę albo zginę, dodał w myślach Ross.

- Z pomocą kapitana Roseval i sierżanta Ramseya damy radę. W końcu jesteśmy żołnierzami, a będziemy mieć do czynienia z pospolitymi rzezimieszkami.

Fraser zerknął na swego pana z ukosa, ale nie otworzył ust.

- Masz wszystko, co potrzeba?

- Tak, sir.

- Dobrze. W drogę. Sir Angus twierdzi, że jeśli pojedziemy galopem drogą do Bowness, trafimy na koniec odpływu. Przy odrobinie szczęścia możemy ich dopaść jeszcze na angielskim brzegu. Nasze konie są wypoczęte. A ich mają już za sobą kawał drogi.

- To prawda, sir. - Fraser wskoczył na konia i ruszył z kopyta.

Ross poklepał lśniąca szyję Hery.

- Ostatnio spotkał cię okropny despekt, moja piękna - mruknął. - Obiecuję, że ci to wynagrodzę, ale teraz musisz pędzić jak wiatr. Nie zawieź mnie.

Klacz zarżała, jakby rozumiała prośbę pana i zatańczyła niecierpliwie. Ross zgrabnie wskoczył na siodło i zebrał wodze.

- Jedna ślicznotka rusza w pogoń za drugą - powiedział głośno, jakby rzucał losowi wyzwanie. - Przysięgam, że obie odzyskają przynależne im miejsce.

Rozdział dziewiętnasty

Cassie gryzła, kopała i drapała. Nadaremnie. James był większy i silniejszy, więc wkrótce pokonał jej opór. Zresztą z pomocą nieodstępnego Tama oraz peleryny Elliotta, która unieruchomiła jej kończyny i stłumiła wołania o pomoc.

Dwaj mężczyźni zawlekli ją przez las do miejsca, w którym zostawili konie. Jednym z nich był Lucyfer! Cassie nie wierzyła własnym oczom.

- Wsadź ją na konia, Tam. Sprawdź, czy jest dobrze zakneblowana. Nie chcę, żeby mi wyła po drodze.

Tam wyciągnął niemal całkiem czystą chusteczkę i obwiązał nią usta Cassie. Nie zakneblował jej jednak i nie związał jej rąk.

- Zostawiam ci wolne ręce, Cassie, żebyś mogła kierować koniem. Chustkę będziesz mogła zdjąć, kiedy oddalimy się od tego domu. Musimy ocalić twoją reputację, nawet tu, w Anglii.

Cassie szeroko otworzyła oczy.

- Ale ostrzegam, dziewczyno. Jeśli spróbujesz jakichś sztuczek, to zostaniesz przytroczona do mojego siodła ze skrepowanymi rękami i nogami. A tego twojego cholernego konia zastrzelę. - Na jego twarzy pojawił się okrutny uśmiech. - Tak, zrobię to z prawdziwą przyjemnością.

Cassie zadrżała na widok tego uśmiechu. James naprawdę gotów był zamordować jej kochanego konia pod byle pretekstem. Wiedziała, że to nie czczya pogróżka.

- Pojadę za tobą do Langrigg - powiedziała spokojnie.

- Dajesz słowo?

- Aż dziw, że jesteś gotów polegać na słowie kobiety, Jamesie.

- Normalnie nie, ale ciebie znam i wiem, że na twoim można polegać.

Więc jak, przyrzekasz?

- Tak. - Jaki miała wybór? - Może wobec tego darujesz sobie knebel?

- Obiecujesz nie krzyczeć?

- Nie podejmę próby ucieczki i nie będę wzywać pomocy w drodze do Langrigg. Masz moje słowo - powiedziała Cassie.

Dotrzyma go. W drodze do Langrigg. Jeśli jednak później nadarzy jej się szansa ucieczki - z Lucyferem! - to bez wątpienia z niej skorzysta.

- Dobrze. Zostaw ten knebel, Tam. Podaj pannie Cassie strzemień i pomóż jej wsiąść.

Czarna suknia pożyczona od gospodyni sir Angusa nie nadawała się jednak do konnej jazdy i dziewczyna nadaremnie próbowała usiąść w siodle. Spódnica była zbyt wąska. Tego James nie przewidział.

- Niech diabli porwą kobiety i ich durne ciuchy!

Nie wiem, po co włożyłaś to czarne Obrzydlistwo. Zwykle wykazujesz więcej gustu w doborze stroju. - Wyciągnął sztylet zza cholewy i rozciął w tyłu spódnicę Cassie od góry do dołu. - To powinno wystarczyć. Będziesz mogła przerzucić kolano przez łąk, ale owiń się starannie płaszczem. Masz wyglądać przyzwoicie, gdybyśmy kogoś spotkali.

Cassie tuli się szczelnie peleryną i pozwoliła, by Tam wsadził ją na grzbiet Lucyfera. Usadowiła się możliwie najwygodniej, starannie zasłaniając peleryną halki, wystające spod rozciętej spódnicy.

W tak upalny letni dzień pod sztywną, śmierzącą peleryną będzie jej potwornie gorąco. Postanowiła jednak nie myśleć o tym ani o bracie. Postanowiła przywołać wspomnienie czegoś pięknego. Na przykład tamtego wspaniałego buku. Nie! Będzie myślała o Rossie.

- Tam są!

Ross wskazał szpicrutą niewielką grupkę ledwie widocznych w oddali jeźdźców, zbliżających się do szkockiego wybrzeża. Wbił pięty w boki Hery i wpadł galopem na piaszczyste dno zatoki, nie zwracając uwagi na bajora i wiry wodne.

- Proszę uważać, sir! - krzyknął Fraser, który został daleko w tyle, bo jego koń nie był w stanie dotrzymać kroku raczej Herze. - Niech pan nie zapomina o ruchomych piaskach!

Przerażenie w głosie ordynansa otrzeźwiło nieco Rossa. James Elliott stracił swego siwka w ruchomych piaskach. Jeśli Ross pójdzie w jego ślady, to Cassie niewiele będzie miała z niego pożytku.

Pochylił się nad szyją Hery i uważnie wpatrywał się w podłoże, próbując ocenić stabilność gruntu. Zwolnił, ale tylko trochę.

Gdy dotarł do szkockiego wybrzeża, Elliott zniknął, a Fraser został daleko w tyle. Ross poczuł, że ogarniają go wątpliwości. Czy powinien jechać dalej - jeden człowiek przeciwko dwóm uzbrojonym po zęby? Może lepiej zaczekać na Frasera, choć oznaczało to stratę cennych minut? Pomyślał o Cassie w szponach Jamesa i natychmiast podjął decyzję.

Nic nie było ważniejsze od ratowania tej dziewczyny. Ruszył.

Grupka Elliotta przemknęła przez Annan dość szybkim kłusem. Cassie jechała pośrodku ze spuszczone głową. Zacerwieniła się. Mieszkańcy miasteczka rozpoznali ją bez trudu i zauważyli jej dziwny przydzwiek.

Jechała bez kapelusza i rękawiczek. W dodatku ubrana w czarną krynolinę i szary płaszcz. Komentarze ograniczały się do zdławionych pomruków, groźna mina Jamesa skutecznie zniechęcała do głośniejszych wypowiedzi, ale to wystarczyło. Panna Elliott została przyłapaną na czymś niestosownym. Została odwieziona do domu w niełasce.

Cassie zagryzła wargę. Do diabła z jej bratem! Do diabła z pozorami! Do diabła z Rossem Grahamem, którego nie było przy niej, gdy go najbardziej potrzebowała! Gdyby nie posłuchał jej prośby i poszedł za nią do lasu, nie doszłoby do tego. Byłaby teraz w Whitemoss. Bezpieczna!

Troje jeźdźców dotarło właśnie do mostu, gdy z tyłu rozległ się krzyk. Była niemal pewna, że ktoś wołał jej imię. Obejrzała się przez ramię. Czy to Ross? Na swej kasztance? Przecież nikt inny nie wołałby jej po imieniu?

Zebrała wodze Lucyfera, gotowa zawrócić. Ross przyjechał, by ją ratować!

- Dałaś słowo, Cassie - warknął James, jadący tuż za nią.

Smagnął szpicrutą zad Lucyfera. Koń rzucił się galopem przez most.

Cassie nie mogła nic zrobić. Nawet gdyby zdołała zapanować nad wierzchowcem, nie była w stanie złamać słowa, nawet danego bratu. Obiecała mu posłuszeństwo aż do granic Langrigg. Odwróciła się w siodle, by jeszcze raz spojrzeć na Rossa. Musi mu jakoś dać znać, że go potrzebuje, że nadal go kocha, choć z pozoru współdziałała z porywaczami.

Spojrzała na niego błagalnie.

Proszę, zrozum, Ross! Proszę. Kocham cię! Jedź za mną do Langrigg. Znajdę jakiś sposób. W Langrigg. Znajdę sposób na pewno.

Jadący obok James brutalnie złapał ją za ramię.

- Uważaj, Cassie, bo ten piekielny koń cię zrzuci. Jeśli o mnie chodzi, to może cię nawet zabić, byle ten nędznik, który nas ściga, nie dostał cię żywej.

Wyładowany wóz wyjechał z bocznej ulicy i wtoczył się na most w Annan. Ross nie zdołał go wyprzedzić, więc ściągnął wodze Hery. Zatrzymała się tak gwałtownie, że o mało nie zgubiła podkowy na śliskich kocich łbach.

Do licha, do licha, do licha! Już ledwo ich widać! Pędzą galopem w stronę Langrigg. Ross zamknął oczy i zobaczył pod powiekami ostatnie spojrzenie Cassie.

Dlaczego się nie zatrzymała? Dlaczego nie ruszyła do niego? James Elliott nie mógł zastosować wobec niej przemocy na głównej ulicy Annan. Miała szansę się uwolnić. Miała szansę uciec do niego, ale pojechała z tamtymi. Dobrowolnie.

Nie potrafił w to uwierzyć. Zapewniała, że go kocha. Jeśli tak, to czemu oddaliła się z bratem?

Czuł, że ją stracił. Stracił ukochaną kobietę.

Jęknął głośno.

Ludzie odsunęli się od niego, jakby cierpiał na jakąś zaraźliwą chorobę. A on miał tylko złamane serce.

Zdawał sobie sprawę, że zależy mu na Cassie. Nie był jednak gotów przyznać, nawet przed sobą, że ją pokochał. Miłość wiązała się z ryzykiem, a Ross Graham nie chciał już wystawiać swojego serca na szwank.

Serce miało jednak własne plany i bez pytania oddało się w służbę tej dziewczynie. Teraz ścisnęło się boleśnie na widok wyprostowanej jak struna Cassie, która oddalała się coraz bardziej. Dopiero teraz - ponieważ - Ross uświadomił sobie, jak bardzo ją kocha. Cassie! Najdroższa Cassie!

Ale... co miało oznaczać to jej dziwne ostatnie spojrzenie? To nie był triumf ani gniew. To było... nie, nie potrafił tego określić. Może odrzucenie? Możliwe. Miała powód, by go odtrącić. Stracił ją przez własne zaniedbanie. Zawiódł ją, gdy go najbardziej potrzebowała.

W rozpaczy pchnął Herę na most. Nie mógł i nie chciał utracić Cassie w ten sposób. Musiał jej przynajmniej powiedzieć, że ją kocha. Dlaczego ten wóz porusza się w takim żółwym tempie? Nie było miejsca, by go wyminąć.

- Sir! - Fraser wreszcie dopędził swego pana. - Gdzie ona jest? Nie mógł ich pan zatrzymać?

Ross potrząsnął głową.

- Zanim przejedziemy przez most, Elliott dotrze do Langrigg. - Nawet nie próbował ukryć gniewu i zniecierpliwienia. - Nie ma sensu gnać za nimi. Są przygotowani do odparcia ataku. Teraz trzeba nam sprytu.

Cassie odważyła się ponownie zerknąć przez ramię, dopiero kiedy wjechali na ziemie należące do Langrigg. Nikt za nimi nie jechał. Ross zrezygnował z pościgu.

Chciało jej się krzyżeć z gniewu.

James złapał za wodze Lucyfera i zmusił go, by zwolnił do stępa.

- Już nie ma powodu do pośpiechu, moja droga - stwierdził miękkim głosem. - Wreszcie jesteś w domu. Bezpieczna na łonie rodziny. I tu pozostaniesz.

Cassie nie podniosła wzroku wbitego w drogę. Nie miała odwagi spojrzeć na Jamesa. Bała się, że mógłby wyczytać z jej oczu, iż jeszcze się nie poddała. Daleko jej do tego!

- Aż do dnia ślubu - ciągnął James, nie przejmując się jej ostentacyjnym milczeniem.

Zesztywniała.

- Wiedziałem, że to cię zainteresuje.

- Nie wyjdę za żadnego mężczyznę, którego ty mi wybierzesz, Jamesie Elliott.

Brat rozsiadł się w siodle i ryknął śmiechem, który odbił się szerokim echem w całej dolinie.

- Słyszałeś to, Tam? Twoja panienka doszła do wniosku, że może mi się sprzeciwić. Dobry żart, co?

- Tak, panie - przyznał z zarechotem Tam.

Cassie zgromiła go wzrokiem. Gdyby to od niej zależało, Tam zgniłby w więzieniu.

- Kiedy dojedziemy do domu, zamkniesz pannę Cassie w jej pokoju, a klucz oddasz mnie, Tam. Nie zdołasz stamtąd uciec, Cassie. A ponieważ twoja wierna Morag zniknęła już jakiś czas temu, więc mogę liczyć na całkowitą lojalność służby. Pozostaniesz w swoim pokoju aż do dnia ślubu.

- Nie! Nie wydasz mnie za męża.

- Jak sobie życzysz. W takim razie pozostaniesz w swoim pokoju. Na zawsze. - Poklepał szpicrutą szyję konia. - Niestety, nikt ze służby nie będzie miał klucza, więc nie będą ci mogli przynosić jedzenia. Jaka szkoda.

Cassie poczuła, że serce przestało jej bić. Mówił poważnie. James był gotów zagłodzić ją na śmierć! Nie zamierzał dopuścić, by przeciwstawiła się jego woli.

Przez dłuższy czas nie odzywała się ani słowem. Kiedy jednak w oddali zarysowała się sylwetka domu, wrodzony zdrowy rozsądek wziął górę nad wściekłością. Może już nigdy nie będzie miała szansy udobruchać brata.

- Rozumiem, że wybrałaś dla mnie męża? - zapytała chrapliwym głosem.

- O, tak.

- Mogę wiedzieć kogo?

James odwrócił się w siodle, by spojrzeć jej prosto w twarz.

- Nagle zrobiłaś się dziwnie uprzejma, Cassie. Czemu zawdzięczam tę zmianę tonu?

- Niezbyt mi się spodobała przedstawiona przez ciebie alternatywa.

Jej głos był tak cichy, że prawie niedosłyszalny. Kiwnął głową z szerokim uśmiechem.

- A więc wreszcie zmądrzałaś. Zajęło ci to nadspodziewanie dużo czasu, dziewczyno. Właściwie mógłbym zachować w tajemnicy nazwisko twojego oblubieńca, żeby zrobić ci niespodziankę, ale mam miękkie serce, więc powiem od razu. Robert Munro z Newton Douglas jest gotów zapłacić mi za ciebie pięć tysięcy funtów.

Cassie zamrugła powiekami ze zdumienia. Przecież zaledwie parę dni temu James zażądał od Rossa dwudziestu tysięcy!

- To nie najlepsza cena, przyznaję, ale Robert Munro jest starym człowiekiem. Pewnie długo nie pożyje. Ponieważ nie ma własnych dzieci, więc spodziewam się, że wkrótce zostaniesz majątną wdową.

Jako wdowa byłaby wolna!

- O, nie, Cassie! - James najwyraźniej zauważył błysk nadziei w oczach siostry. - Nie myśl, że jako mężatka zdołasz wymknąć mi się z rąk. Munro zgodził się ustanowić mnie powiernikiem twojego majątku. Więc kiedy twój małżonek szczęśliwie wyciągnie kopyta i zostanie pogrzebany, położę łapę na każdym pensie, jaki przynoszą jego posiadłości. Jak za dawnych lat, co? Moim zdaniem, dobrze będzie, jeśli Munro zdoła przeżyć noc poślubną.

- Morag! Nareszcie!

Pokojówka wpadła do sali najlepszego zajazdu w Annan.

- Och, sir! Gdzie panna Cassie? Ona...

- Ciii. - Ross położył palec na ustach i lekkim ruchem głowy nakazał jej milczenie. Wokół nich kręciło się zbyt wielu ciekawskich. Podjął decyzję, ale potrzebował pomocy Morag, by móc zrealizować swój plan. - Wyjdźmy na dwór. Muszę z tobą porozmawiać. Fraser wniesie twoje rzeczy na górę.

Nie pozwolił jej nawet otworzyć ust, dopóki nie znaleźli się nad brzegiem rzeki, z dala od obcych uszu.

- Potrzebuję twojej pomocy, Morag. Zamierzam ocalić twoją panią.

- Słucham, sir.

- Została uwięziona w Langrigg House. Fraser próbował przekupić kogoś ze służby, by nam pomógł, ale wszyscy panicznie boją się Jamesa Elliotta.

- Zawsze tak było. Jednego chłopaka tak zbił, że biedak o mało nie umarł. Do drugiego strzelał. Nikt nie odważy się wejść mu w drogę. Szczególnie teraz.

- Szczególnie teraz? Dlaczego? Co się dzieje?

- Jaśnie pan jest zdesperowany. Jeśli w najbliższym czasie nie zdobędzie pieniędzy, to straci Langrigg. Tak mi powiedziano. Bez Langrigg nie będzie miał żadnej władzy ani znaczenia w świecie. Jediną szansą na spłatę długów jest sprzedanie panny Cassie.

- Słyszałaś coś, Morag? Miejscowi nie chcą ze mną rozmawiać ani nawet z Fraserem.

- Jesteście tu obcy, sir. W Gretna, gdzie zatrzymaliśmy się, żeby zmienić konie, słyszałam, że panienska Cassie ma niedługo iść za mąż, ale pan ją uratuje, prawda? Musi ją pan ratować!

Spróbuję, pomyślał Ross. Na Boga, zrobię wszystko, co w mojej mocy! Cassie nie mogła przestać go kochać.

- Powiedz mi, Morag, gdzie ona jest? W jakim pomieszczeniu została zamknięta?

- W swoim pokoju, na samej górze.

- Skąd mam wiedzieć, który to pokój? Jak do niej dotrzeć?

- Nie zdoła pan do niej dotrzeć, sir. W oknach niedawno założono kraty. Zresztą nie uda się panu wspiąć po murze. W ten sposób jej pan nie wydobędzie.

- Musiałbym wejść do domu drzwiami? Kiwnęła głową.

- Ilu służących mogę napotkać? Chodzi mi o sprawnych fizycznie mężczyzn.

- Pewnie wielu. Jaśnie pan spodziewa się pana. Chce pana zastrzelić. Nikt nie oskarży go o morderstwo, jeśli to zrobi.

Ross uderzył się pięścią w otwartą dłoń. Samobójczy atak nie ocali Cassie. Musi istnieć jakiś inny sposób...

- Opowiedz mi o ślubie, Morag.

- O co panu chodzi, sir?

- Jak wygląda w Szkocji ślub? Nic nie wiem o zwyczajach weselnych, obowiązujących w tej części kraju.

- Cóż, w naszych stronach wystarczy wyrażona przy świadkach deklaracja woli zawarcia małżeństwa. Nie jest wymagana nawet obecność pastora.

- Więc brat może ją zmusić do zgody na ślub w Langrigg, bez opuszczania domu?

- Tak, ale tego nie zrobi. Panna z wyższych sfer powinna zostać wydana za mąż w kościele albo w jakimś innym miejscu, w obecności duchownego. Bez tego małżeństwo nie będzie akceptowane w dobrych domach.

- Rozumiem. - Ross zagryzł wargę. Tu trzeba szukać szansy na ratunek. - A więc albo ślub panny Elliott odbędzie się w kościele, albo wielebny zostanie przywieziony do Langrigg House. Wiesz, w jakim kościele? I który pastor?

- W kościele w Annan. Na pewno, bo gdyby wybrali inny, wzbudziłoby tylko ludzką ciekawość i zaczęłyby się komentarze. Langrigg należy przecież do parafii Annan.

Ross objął ramiona służącej i lekko je uścisnął.

- Czas wracać do Annan, Morag. Wydaje mi się, że powinienem uciąć sobie pogawędkę z waszym duszpasterzem.

Wielebny McLean był wesołym, łysym mężczyzną o rumianej cerze. Potwierdził bez najmniejszych oporów, że panna Cassandra Elliott zostanie wkrótce wydana za mąż i że on osobiście odprawi ceremonię.

Ross zerwał się i zaczął nerwowo krążyć po przytulnym saloniku na plebanii. Tylko w ten sposób był w stanie utrzymać gniew na wodzy.

- Muszę pastora poinformować, że została zmuszona do tego małżeństwa. Panna Elliott nie idzie dobrowolnie do ołtarza. Powinien wielebny temu zapobiec.

- Nie mogę tego zrobić, drogi panie. Otrzymałem zapewnienie z ust samej panny Elliott, że wstępuje w ten związek z własnej i nieprzymuszonej woli.

- Nie wierzę! - wyrwało się Rossowi, zanim zdążył ugryźć się w język.

- Słucham? - Czerwona twarz pastora stała się z oburzenia niemal fioletowa.

Ross z trudem przełknął ślinę.

Gdzie się podziało jego żelazne opanowanie i żołnierska dyscyplina? Chciał przeciągnąć duchownego na swoją stronę, a tymczasem obraził go posądzeniem o kłamstwo!

- Proszę o wybaczenie, panie McLean. Nie chciałem sugerować, że... Wiem jednak z najbardziej wiarygodnego źródła, że ta dama nie życzy sobie tego małżeństwa. Przynajmniej ja jestem o tym święcie przekonany. Co nie usprawiedliwia wyciągania przeze mnie pochopnych wniosków. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

Wielebny McLean kiwnął głową.

- Nie zwykłem chować urazy, młody panie. Doskonale rozumiem, że w pierwszej chwili panna Elliott mogła nie być zachwycona przyszłym małżonkiem. Pan młody jest... no... nieco od niej starszy. W dodatku już dwukrotnie owdowiał, ale to człowiek o znakomitej pozycji towarzyskiej i właściciel wspaniałego majątku Newtown Douglas. Przypuszczam, że panna Elliott zmieniła zdanie, gdy uświadomiła sobie wszystkie zalety przyszłego związku.

Ross powstrzymał się od odpowiedzi. Duchowny wyobrażał sobie, że Cassie mogłaby wyjść za jakiegoś lubieżnego starca dla majątku, ale to bzdura. Nie Cassie! Przecież jej serce było już zajęte, kochała Rossa!

Więc dlaczego powiedziała, że się zgadza?

- Rozmawiał pastor z panną Elliott na osobności?

- Nie było takiej potrzeby. Towarzyszył nam jej brat. Przecież to on poprowadzi ją do ołtarza.

- A, tak. Oczywiście. Zapomniałem. Czy mógłby mi wielebny powiedzieć, kiedy ma się odbyć ten ślub? Bardzo chciałbym w nim uczestniczyć.

- Doskonale! Zależy mi na tym, żeby podczas ceremonii kościół był pełen. Przyjdą, oczywiście, wszyscy mieszkańcy

Langrigg i pewnie parę osób ze strony pana młodego, ale nie jestem taki pewien obecności obywateli ziemskich z okolicznych majątków. Może nie zostali powiadomieni...

- Kiedy ślub? - zapytał Ross ponownie ze spokojną determinacją.

- Jutro rano.

- Tak prędko? Panna Elliott musiała dość nagle zmienić zdanie. - Ross starał się mówić lekkim tonem. - Jeszcze wczoraj słyszałem z jej własnych ust, że stanowczo sprzeciwia się temu małżeństwu.

- Cóż, mój panie, kobieta zmienną jest. Tak, nawet bardzo zmienną. Bo ja również wczoraj zostałem zawiadomiony, że ślub ma się odbyć w możliwie najszybszym terminie.

Ross uniósł brwi.

- Doprawdy?

- Tak. I to z całym ceremoniałem wymaganym dla damy z jej sfery. Brat wolał cichy, kameralny ślub w Langrigg, ale panna Elliott obstawała przy okazałej uroczystości kościelnej. Powiedziała: w kościele albo w ogóle.

Ross wreszcie zrozumiał. Cassie postawiła wszystko na jedną kartę. Liczyła na jego siłę i determinację. Nie dozna zawodu!

Dzień ślubu wstał szary i chłodny. Sprawilo to Cassie jakąś dziwną, perwersyjną wręcz przyjemność. Ten dzień miał rozpocząć nowy etap w jej życiu albo położyć kres jej egzystencji.

Chciała wierzyć, że Ross po nią przyjdzie i znajdzie sposób, by ją uwolnić. Gdyby tak się jednak nie stało, musiała wziąć sprawy w swoje ręce. Nawet jeśli to grzech.

Wygładziła fałdy muślinowej halki i rozwiązała skórzaną sakiewkę, zawierającą przybory do szycia.

Wyjęła najdłuższą igłę i wypróbowała ją na kciuku. Tak, wystarczająco ostra. Owinęła ją kawałkiem jedwabiu i schowała do kieszeni.

Ale jedna broń to za mało. Co będzie, jeśli ktoś sprawdzi, co ukryła w kieszeni? Musiała mieć pewność, że jej plan się powiedzie. Uważnie rozejrzała się po spartańsko urządzonej sypialni. Zakłęła szpetnie, gdy jej spojrzenie padło na białą suknię ślubną, która przed godziną została rozłożona na jej łóżku.

W desperacji wyciągnęła szufladkę nocnej szafki. Lak do pieczętowania listów, ogarki świec, pudełeczko z hubką i... mały nożyk, którego używała niegdyś do obcinania paznokci! Rozpromieniła się w poczuciu triumfu. Nikomu nie przyszło na myśl, żeby tu zajrzeć. Sama zapomniała o tej szufladce. Nożyk był niewielki, ale ostry. Wystarczająco ostry, by powstrzymać mężczyznę w jego zapędach.

Nie odważyła się schować go do kieszeni. Musiała wymyślić jakąś inną kryjówkę. Gdzie, na litość boską?

Nagle uświadomiła sobie, kiedy ta broń będzie jej najprawdopodobniej potrzebna. Kieszeń zdecydowanie nie była tym miejscem. Wzruszyła ramionami i wsunęła starannie owinięty w muślinową chusteczkę nożyk pod obramowanie jedwabnej pończoszki. Potem zacisnęła zęby z determinacją, włożyła suknię ślubną i stanęła dumnie wyprostowana twarzą do drzwi. Czekala, aż James, czy ktokolwiek inny, po nią przyjdzie.

- Ross - wyszeptala, dotykajac przez fałdy sukni malego nożyka. - Wiem, że po mnie przybędziesz. Kocham cię. Jestem twoja. Tylko twoja. Niczyja inna.

Rozdział dwudziesty

Fraser powinien już być z powrotem! Gdzie się ten człowiek, u licha, podziewa? Może ma jakieś kłopoty z Morag? Służąca Cassie nie toleruje koni, to prawda, ale przecież wynajął powóz? Nie powinno być żadnych problemów. Fraser miał tylko przywieźć Morag, poczynić drobne przygotowania, dać pewnemu człowiekowi parę gwinei i wrócić konno do Annan. Jeśli zaraz się nie pojawi, Ross będzie musiał pojechać sam.

Poklepał lśniąca szyję Hery.

- Spokojnie, panienko. Będiesz miała swoją chwilę chwały. Już wkrótce. Tylko mnie nie zawieź, kiedy skieruję cię w te szerokie wrota.

Ross przesuwał wodze w palcach, starając się zachować spokój. Zdawał sobie sprawę, że to szaleństwo, że wywoła niewyobrażalny skandal. Wiadomość o nim może dotrzeć nawet do Londynu. W okolicach Dumfries odbije się z pewnością tak szerokim echem, że ani on, ani Cassie nie będą mogli już nigdy wrócić w te strony, ale czy miał jakiś wybór?

Rozważał starannie wszelkie możliwe wyjścia z sytuacji - niektóre jeszcze bardziej szalone niż to, na które się zdecydował - ale ani on, ani Fraser nie zdołali wymyślić nic lepszego.

Należało więc zacisnąć zęby i zrealizować plan. Chyba Cassie zrozumie? Tak, zrozumie z pewnością. Miała do wyboru albo skandal, albo wymuszone małżeństwo. A przecież mówiła, że go kocha.

Hera zaczęła się niepokoić. Zbyt długo stała bez ruchu. Mieszkańcy Annan pewnie zadawali już sobie pytanie, czemu jeden z gości weselnych siedzi na koniu na drugim końcu ulicy, zamiast podjechać pod kościół, zsiąść i na piechotę udać się do świątyni. Jeśli Fraser nie pojawi się w ciągu kilku minut, Ross będzie musiał przystąpić sam do działania. Na razie jednak został na

miejscu, starając się uspokoić klacz i obserwując ludzi, wchodzących do kościoła.

Wszyscy należeli do niższych klas. To służba z Langrigg i zapewne również z majątku pana młodego. Kilku lepiej ubranych mężczyzn to zapewne kupcy z Annan. Prawdopodobnie dostarczali swoje towary do Langrigg i uznali za swój obowiązek wziąć udział w ceremonii, nawet jeżeli nie otrzymywali zapłaty.

Ale ci dwaj? To chyba nie kupcy?

Przed wejściem do kościoła zatrzymały się dwa wspaniałe wierzchowce. Z jednego zsiadł pułkownik Anstruther, z drugiego nieznany Rossowi mężczyzna. Za nimi do świątyni weszło jeszcze trzech dżentelmenów i dwie damy. Obecność osób z wyższych sfer mogła diametralnie zmienić sytuację! Niezależnie od tego, ilu rzezimieszków James Elliott przyprowadzi ze sobą na ślub siostry, w obecności ludzi ze swojej sfery będzie musiał zachowywać się jak dżentelmen.

Wyglądało na to, że wszyscy goście weselni już się zebrali. Od kilku minut nikt nie wszedł do kościoła. Wszyscy czekali na pannę młodą.

Ross również wstrzymał oddech w oczekiwaniu.

Nareszcie nadszedł ten moment. Przed drzwi świątyni zajechał powóz Elliottów. Ross uniósł się w strzemionach, ale niczego nie mógł zobaczyć. Karetą zasłaniała mu widok.

Cassie zapewne weszła już do środka. Z bratem.

Ross musiał działać szybko, zanim będzie za późno, ale potrzebował pomocy Frasera? Gdzie on się podział?!

W tym momencie ordynans wyłonił się zza rogu.

- Co cię zatrzymało?

- Morag! - jęknął Fraser. - Co za baba!

- Nieważne. Wszystko przygotowane?

- Tak, sir. Pod Królewską Głową w Springfield. To ostatnia wioska przed granicą. Czekają tylko na nasz przyjazd. Z tyłu jest ukryty pokój dla... nie ma potrzeby o tym mówić. Wystarczy, że zyskamy nad nimi dziesięć, piętnaście minut przewagi, a nikt już nie zdoła nam przeszkodzić.

Ross kiwnął głową.

- Zmieniłem częściowo plan. Fraser uniósł brwi.

- Mówił pan, że nie ma innego sposobu. Jeśli pan...

- Nie przypuszczałem, że w kościele pojawi się ktoś, kto mógłby stanąć w obronie panny Elliott, ale przyjechał pułkownik Anstruther oraz kilku innych dżentelmenów, a także damy. - Uśmiechnął się i pogładził ucho Hery. - Jestem pewien, że ta ślicznotka byłaby gotowa wpaść galopem do kościoła i uwieźć sprzed ołtarza pannę młodą, ale nic z tego. Wejdę tam sam. Owszem, będzie skandal, ale nieporównywalny z tym, jaki bym wywołał, podjeżdżając konno przed ołtarz.

Ordynans z ulgą skinął głową.

- Dzięki Bogu - westchnął.

- Do dzieła, Fraser. Nie mamy chwili do stracenia. Ja idę ratować pannę Elliott, a ty dopilnuj, by przynajmniej przez pewien czas nikt nie mógł ruszyć za nami w pogoń. Ten powóz - Ross wskazał szpicrutą stojącą przed drzwiami kościoła karetkę - należy do Elliotta. Przetnij lejce. A jeśli chodzi o konie gości... Hm, nie chciałbym urazić żadnego z dżentelmenów, ale nie mogę ryzykować, że James będzie miał do dyspozycji dobrego, szybkiego wierzchowca. Nie. Odwiąż je i pognaj w stronę rzeki. Nie stanie im się nic złego, a zyskamy na czasie.

- Rozkaz, sir. - Fraser rozpromienił się, bo tego typu zadania stanowiły jego specjalność.

Ross zeskoczył z siodła. Rzucił ordynansowi wodze Hery i powiedział:

- Poczekaj, aż wejdę do kościoła, zanim podejmiesz jakiegokolwiek działania. Wrócę najdalej za dziesięć minut. Pamiętaj, żebyś czekał z końmi pod drzwiami.

Fraser zmarszczył brwi, nieco urażony, że kapitan Graham przypomina mu o czymś tak oczywistym, ale spojrzał w twarz swego pana i nagle uśmiechnął się, by mu dodać otuchy.

- Może pan na mnie polegać, kapitanie. Na pewno zdołamy bezpiecznie wywieźć stąd panienkę.

- Dziękuję, Fraser - powiedział Ross i podał mu rękę. Uścisnęli sobie dłonie może nie jak równi, ale jak przyjaciele i wypróbowani towarzysze.

Zanim Ross dotarł do kościoła, drzwi zostały zamknięte. Dobiegał zza nich gwar, ale trudno było stwierdzić, co działo się wewnątrz. Zdjął kapelusz i rzucił go na schody. Później go zabierze. Jeśli będzie miał czas. Przygładził ręką włosy, odetchnął głęboko i pchnął drzwi. Wewnątrz panował półmrok.

Uwaga wszystkich obecnych była skoncentrowana na tym, co działo się przy ołtarzu, więc nikt nie zauważył przybycia Rossa. Cassie stała na wprost pastora, który donośnym głosem przemawiał do zgromadzonych w świątyni wiernych. Brat szeptał jej coś do ucha. Zapewne jakieś groźby. Stojący u jej drugiego boku przygarbiony, brzuchaty staruszek na cienkich, krzywych nogach właśnie sięgał po rękę Cassie.

Ross ruszył wzdłuż nawy. Każdy jego krok odbijał się echem w kościele. Wszyscy odwrócili głowy. Również Cassie. Jej twarz rozjaśniła się na jego widok. Serce wezbrało mu miłością i tęsknotą.

Ross zatrzymał się kilka kroków od ołtarza, żeby mieć na oku Elliotta i jego ludzi.

- Panie McLean - powiedział uroczystym tonem. - Proszę przerwać ceremonię. Panna Cassandra Elliott nie jest wolna, nie może więc wstąpić w związek małżeński. Jest zaręczona ze mną.

Brat Cassie zaczął głośno, ale niewyraźnie bełkotać jakieś protesty, wściekle rozglądając się dokoła. Sięgnął do surduta po broń, której, rzecz jasna, nie miał. To była oczywista korzyść z rzucania mu wyzwania na terenie świątyni.

- Kapitanie Graham, to doprawdy oburzające! - Duchowny nie zamierzał przyjmować od nikogo poleceń, stojąc przed ołtarzem we własnym kościele. - Doskonale pan wie, bo nie dalej jak wczoraj sam pana o tym poinformowałem, że panna Elliott wyraziła zgodę na ten związek.

- Pod przymusem. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę teraz ją o to zapytać.

Cassie odsunęła się od brata i niedoszłego małżonka. Spojrzała na McLeana, a potem na obecnych w świątyni dżentelmenów, po czym oświadczyła zdecydowanym głosem:

- Brat zmusza mnie do małżeństwa z panem Robertem Munro, który wypłacił mi pięć tysięcy funtów w zamian za moją osobę.

Wśród zgromadzonych w kościele gości rozszedł się głuchy pomruk.

- Biorę Boga i wszystkich tu obecnych na świadków, że nie zgadzam się na ten związek - ciągnęła Cassie, wpatrując się promiennymi oczami w twarz Rossa. Wyciągnął do niej rękę. - Zareczyłam się z kapitanem Rossem Grahamem. Jestem pełnoletnia, więc nikt - tu odwróciła się, by spojrzeć na brata - absolutnie nikt nie ma prawa mi tego zabronić.

Z lekkim uśmiechem przeprosiła pastora za to, że wprowadziła go w błąd, i podała rękę Rossowi.

- Jeszcze chwileczkę, moja droga. - Ross postanowił wykorzystać okazję, by raz na zawsze usunąć zagrożenie ze strony Jamesa. - Panie McLean, panowie, chciałbym, aby nie było najmniejszych wątpliwości co do tego, co tutaj zaszło. Ten człowiek... - Tu wskazał Elliotta, który dosłownie kipiał z wściekłości. - Ten człowiek potraktował własną siostrę jak przedmiot. Jak rzecz, którą ma prawo sprzedać, by spłacić długi, jakie zaciągnął na hazard, alkohol i... nie tylko. Wszyscy chyba wiedzą, co mam na myśli. Co więcej, James Elliott wykradł siostrę z domu jej ojca chrzestnego po drugiej stronie Solway. Następnie groźbami zmusił do tego haniebnego małżeństwa.

Uniósł brew i spojrzał na Cassie, która kiwnęła głową.

- Powiedział, że będę trzymana pod kluczem bez jedzenia i picia. Jeśli nie zgodzę się na ślub, to zagłodzi mnie na śmierć - oznajmiła szybko.

Zebrani w kościele głośno wciągnęli powietrze, wstrząśnięci jej wyznaniem.

- Niech nikt z tu obecnych nie stanie po stronie Elliotta. To nikczemnik nad nikczemnikami. Nie powinien być przyjmowany w przyzwoitych domach.

Pułkownik Anstruther energicznie skinął głową. Rzucił Jamesowi miazdzące spojrzenie. Bez wątpienia postanowił dopilnować, by nie uniknął sprawiedliwości.

Ross ścisnął dłoń Cassie i oboje ruszyli do wyjścia.

- Nie zabierzesz jej! - zawył Elliott za ich plecami. - Wpierw cię zabiję!

Byli już przy drzwiach, gdy zadudniły za nimi kroki. Ross nie odwrócił się. Otoczył tylko ramieniem Cassie i przepuścił ją przed sobą. Fraser już siedział na koniu. Ross posadził Cassie na grzbiecie Hery, a potem lekko wskoczył na siodło.

Rozejrzał się. Powóz Elliotta stał na swoim miejscu wraz z zaprzęgiem. Wierzchowce zniknęły.

- Do dzieła, Hero. - Wbił obcasy w boki klaczy, która ruszyła z kopyta, nic sobie nie robiąc z podwójnego ciężaru.

Fraser podążył za nimi, oglądając się za siebie. Nagle ryknął głośnym śmiechem.

Ross nawet się nie odwrócił, ale Cassie wyprostowała się, by dojrzeć coś ponad jego ramieniem.

- Ojej! - zawołała z nerwowym chichotem. - James próbował nas gonić. To twoja sprawka, Fraser?

Ordynans nie mógł odpowiedzieć, bo zanosił się od śmiechu. Ross kiwnął głową.

- Przeciął lejce.

- Jamie nabawi się parę ładnych siniaków, i to nie tylko na nogach - zauważyła z zadowoleniem. - Konie ciągnęły go za sobą przez pół ulicy. Mieszkańcy Annan mieli niezłą zabawę!

- Morag! Jak to dobrze, że tu jesteś!

- Za nic w świecie bym tego nie opuściła, panienko Cassie.

- Zaczynajmy - ponaglił je Fraser. - Nie wiadomo, ile mamy czasu.

- Czy to naprawdę konieczne? Nic nie wskazywało na to, że James ruszył za nami w pogoń. Możemy jechać do Longtown czy do Carlisle. W Anglii będzie chyba bezpieczni?

- Chcesz jeszcze raz przemyśleć swoją decyzję, Cassie?

- Nie, naturalnie, że nie, ale chciałabym wyjść za mąż w kościele.

- Będiesz miała ślub kościelny. Obiecuję ci to, ale najpierw pobierzemy się tutaj, w Springfield. Dla twojego własnego bezpieczeństwa, moja słodka. Kiedy już raz zostaniemy małżeństwem, nikt nas nie zdoła rozdzielić. O, jest pan Lang.

David Lang, nazywany „biskupem” Langiem, był ogromnym starcem, odzianym od stóp do głów w zrudziałą czerń. Jakby dla podkreślenia swej roli „duchownego” miał na głowie kapelusz o szerokim rondzie. Mówił z tak silnym szkockim akcentem, że Ross rozumiał co czwarte słowo. Cassie i Morag skwapliwie jednak kiwały głowami w odpowiedzi na przemówienie - najwyraźniej powitalne i zapowiadające nadchodzącą uroczystość.

Cassie zauważyła zakłopotanie Rossa, więc przetłumaczyła mu z uśmiechem:

- Mamy podać nazwiska i złożyć oświadczenie, że jesteśmy wolni i możemy zawrzeć związek małżeński. Potem wystarczy nasza zgodna deklaracja, że się pobieramy.

Ross odetchnął głęboko, wyprostował się i spojrzał na pana Langa.

- Miejmy to już za sobą. Ja, kapitan Ross Graham, kawaler, przebywający chwilowo w parafii Annan, oświadczam niniejszym w obecności świadków, że jestem wolny i mogę zawrzeć związek małżeński.

Ross wyciągnął rękę do Cassie. Położyła na niej swą dłoń i złożyła własne oświadczenie. Potem, przed obliczem Davida

Langa i w obecności dwojga świadków, którzy tak wiernie im służyli, Ross i Cassie ogłosili się mężem i żoną.

- Niech nikt nie próbuje was rozłączyć - zaintonował śpiewnie „biskup”, po czym pociągnął Rossa za rękaw. - Ale na wszelki wypadek idźcie od razu do sypialni zrobić swoje, ja tymczasem wypiszę certyfikat, żeby wszystko było legalne.

Pchnął lekko fragment ściany, który okazał się zamaskowanymi drzwiami. Za nimi znajdowała się sypialnia z łóżem nakrytym świeżymi prześcieradłami.

Morag ruszyła za Cassie, ale Ross ją zatrzymał.

- Nie - powiedział stanowczo. - Twoja pani jest teraz moją żoną. Ja się nią zaopiekuję.

- Cassie!

Podbiegła i rzuciła się w jego ramiona, tu była wreszcie bezpieczna i na swoim miejscu.

- Wybacz, Cassie, ale pan Lang uprzedził, że nasze małżeństwo powinno zostać skon...

Panna młoda zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła jego wargi do swoich ust.

- Poślubiłam idiotę - mruknęła z leciutkim uśmiechem. - Przecież doskonale rozumiem. Jeśli nasz małżeństwo nie zostanie skonsumowane, to James zrobi wszystko, żeby je unieważnić.

Ross skrzywił się.

- Nie powinniśmy się śpieszyć, po raz pierwszy będziemy razem jako mąż i żona, ale... jeśli James depte nam po piętach...

- Och, Ross. - Cassie potrząsnęła głową.

Czy on nie widzi, jak bardzo go kocham? Jak go pragnę? Spojrzała mu w oczy. Dostrzegła w nich troskę i czułość, ale gdzie namiętność? Czyżby nie pragnął jej tak mocno, jak ona jego?

- Ross, ja nie jestem już nieśmiałą dziewczicą. Miłość fizyczna mnie nie przeraża. Kochany, modliłam się o to od chwili, gdy James mnie porwał. Próbowałam ci to przekazać spojrzeniem, kiedy obejrzałam się na ciebie na moście w Annan. Nie zrozumiałeś? Nie pragniesz mnie?

To wystarczyło. Zaczął ją całować tak chciwie, jak umierający z pragnienia na pustyni rzuca się na wodę. Pocałunek przeciągał się w nieskończoność. Serce Cassie o mało nie wyskoczyło z piersi. Czowała, jak narasta w niej żar. Nie mogła dłużej czekać. Zaczęła szarpać koszulę Rossa, próbując uporać się z guzikami.

- Jesteś namiętną kobietą, droga żono - mruknął Ross, przerywając wreszcie pocałunek. - Tak bardzo mnie pragniesz?

Przesunęła językiem po jego nagiej piersi. Tego było dla Rossa za wiele. Zerwał z siebie resztę odzienia i położył nadal w pełni ubraną Cassie na łóżku.

- Skoro nie możesz się już doczekać, to zgoda - szepnął, podciągając do góry jej suknię i halkę.

Długo trwało, zanim Cassie wróciła wreszcie na ziemię. Ross leżał przy niej, a na jego twarzy gościł uśmiech pełen głębokiej satysfakcji. Nieświadomie gładził palcem jej udo.

Nagle natrafił na zgrubienie pod jej pończochą.

- A cóż to, pani żono? - Rozmarzony uśmiech zniknął.

Cassie szeroko otworzyła oczy. Wielkie nieba! Kompletnie o tym zapomniała. Mogła przecież zranić Rossa!

Powoli i ostrożnie wyjął zza pończochy zawiniątko, rozpakował i sprawdził nożyk na palcu.

- Ostry! - Spojrzał na Cassie, na nóż i znów na Cassie.

I nagle na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiezek. - Czyżbyś zamierzała pozbawić mnie męskości, gdybym nie zdołał cię zaspokoić?

- Nie, oczywiście, że nie! - zawołała, zastanawiając się gorączkowo, w jaki sposób wykręcić się od odpowiedzi. - Doskonale wiesz, że zaspokajasz... wszystkie moje potrzeby.

- Miło mi to słyszeć. - Złośliwy uśmiezek zmienił się w wyraz głębokiego zadowolenia z siebie. - Więc po co ten nożyk, Cassie?

- Ja... ja nie mogłam dopuścić, żeby on mnie dotknął. Należę do ciebie. Tylko do ciebie. Gdybyś nie zdołał mnie uratować, zamierzałam użyć go przeciwko Robertowi Munro.

- Ale to byłoby mord...

- A potem przeciwko sobie.

- Boże, Cassie!

Ross cisnął nożyk na podłogę i wziął ją w ramiona. Zadrżał, przerażony świadomością, jak mało brakowało, by utracili się na zawsze.

Przynajmniej wiedział, jak bardzo go kochała.

- Już ci dawniej mówiłem, że jesteś wiedźmą. Wystarczy jeden twój dotyk, a płonę z pożądania. Kocham cię, moja żono. - Zniżył głos jeszcze bardziej i wyszeptał: - Kocham cię z całego serca.

Tak długo czekała, by to usłyszeć! Ogarnął ją głęboki spokój. Jakby otulił ją miękki i ciepły aksamit. Leżała bez ruchu, bojąc się spłoszyć tę magiczną chwilę pełnej doskonałości.

Pocałunek Rossa ją zaskoczył. To nie był wyraz namiętności, ale miłości i pełnego oddania. Jakby przypieczętowanie ich związku. Ich miłości.

- Smakujesz bosko, Cassie. Tak, jak powinna smakować żona. Jak nektar i płatki róż.

Westchnęła głęboko i wyciągnęła się wygodnie na materacu. Niczego więcej nie pragnęła. Najchętniej zostałaaby tu na zawsze. Z mężczyzną, któremu oddała serce i który ofiarował jej własne..

W końcu Ross delikatnie opuścił spódnicę i ucałował ją w czoło.

- Najchętniej wcale bym się stąd nie ruszał, kochanie, ale czekają na nas.

Cassie aż się zachłysnęła. Kompletnie zapomniała o tamtych, którzy zostali za drzwiami. Czy słyszeli jej namiętne okrzyki?

Rozdział dwudziesty pierwszy

Ross rozparł się wygodnie w fotelu w oddanej do ich wyłącznej dyspozycji bawialni zajazdu Graham Arms w Longtown. Ta nazwa przestała już go intrygować; dowiedział się o swej rodzinie więcej, niż chciał wiedzieć. Jednego był pewien: nigdy nie będzie używał nazwiska ojca.

Uśmiechnął się do Cassie.

- Wyjedziemy, jak tylko Fraser wróci. Do Londynu daleka droga i obawiam się, że będzie dla ciebie męcząca, choć pojedziemy pocztowym dylizanssem.

- Na pewno nie bardziej męcząca niż podróż do szkoły w Edynburgu - odparła lekko Cassie. - Ojciec obstawał, bym uczęszczała do renomowanej pensji, bo nie mógł znieść, by jego córka pospolitowała się z dziećmi niższych klas. Nie zadbał jednak o komfort podróży do tego ekskluzywnego miejsca.

- Teraz będziesz podróżowała w największym komforcie, jaki mogłem ci zapewnić. - Nagle Ross roześmiał się. - Uprzedzam jednak, że dylizanse pocztowe nie są przeznaczone dla trojga pasażerów. Morag pojedzie osobno. Będziemy tylko we dwoje. Sami.

- A pocztowcy? - zapytała przekornie rozpromieniona Cassie.

- Niestety, ich obecność jest nieunikniona. Jeśli jednak będą mieli czelność za bardzo się rozglądać, to mogą się pożegnać z nadzieją zarobienia ode mnie paru dodatkowych gwinei. Wyraźnie im to zapowiem.

Cassie znowu się zarumieniła. Leciutko. Rozkosznie. Cmoknął ją w czubek różowego noska.

- Ross! A jeśli ktoś wejdzie? Wzruszył ramionami.

- Jesteś moją żoną. A raczej... - Nagle spoważniał. - Cassie, mówiłaś w Springfield, że chciałabyś mieć ślub kościelny. Obiecałem, że będziesz go miała, i dotrzymam słowa.

- Dziękuję - szepnęła z uśmiechem. - Ślub kościelny daje poczucie, że... wszystko jest w porządku. W Springfield wszystko odbyło się tak szybko i...

Urwała gwałtownie i jej twarz zalał ognisty rumieniec. Rzeczywiście, wszystko odbyło się bardzo szybko. I to z jej winy. Ross poklepał jej dłoń.

- Kiedy dotrzemy do Londynu, załatwię specjalne zezwolenie, byśmy mogli pobrać się natychmiast. Czy odpowiada pani kościół św. Jerzego na Hanover Square, milady?

- Nie wiem. Nigdy nie byłam w Londynie, ale jestem pewna, że każdy kościół, jaki wybierzesz, będzie znakomity.

- Dobrze, więc postanowione. Jeszcze jedno, Cassie. Do czasu prawdziwego ślubu przed ołtarzem śpimy osobno.

- Nie!

- Tak, Cassie. Jak sama zauważyłaś, dopiero po ślubie kościelnym będziemy mieli poczucie, że naprawdę jesteśmy małżeństwem. To, co stało się w Springfield, było... konieczne, ale więcej się nie powtórzy. Dopóki nie zostaniemy połączeni przed ołtarzem.

Owszem, pragnęła, by ich związek został pobłogosławiony przez Kościół, ale przecież byli małżeństwem. Małżonkowie powinni dzielić łóżce. Nie chciała spać sama!

- Ross, ja... - zaczęła, ale nie mogła dokończyć, bo ktoś otworzył drzwi.

W progu stanął Fraser, niemiłosiernie umorusany po długiej jeździe konnej. Uśmiechnął się do nich od ucha do ucha. Położył szpicrutę na stole i zaczął ściągać rękawiczki.

- Przyprowadziłem pani Lucyfera - oświadczył z głęboką satysfakcją.

Cassie skoczyła na równe nogi. Gotowa była go ucałować, ale zamiast tego złapała go za ręce i zaczęła z nim tańczyć dookoła pokoju.

- Panno Cassie! Pani Graham, proszę przestać!

Cassie nie przestała, dopóki nie zabrakło jej tchu. Potem Ross objął ją w tali i posadził przy sobie.

Ordynans został na środku pokoju, zawzięcie poprawiając pończochę i próbując ukryć zmieszanie.

- Miałeś jakieś problemy przy wyprowadzaniu Lucyfera ze stajni?

- Najmniejszych, sir. W Langrigg zapanował kompletny chaos.

- A mój brat?

- Pani brat... on...

- Chyba nie umarł? - zapytała pobladła Cassie.

- Nie, milady - zapewnił pospiesznie Fraser. - Nie umarł. On... on wrócił do Langrigg, zaraz po pani ucieczce z Annan. Powiadają, że wyciągnął wszystkie pieniądze z kasetki i chciał uciec. Podobno było tego ponad pięć tysięcy funtów.

Cassie i Ross wymienili spojrzenia.

- Ale nie był dość szybki. Pan Munro wpadł w furję, że pieniądze wypłacił, a żony nie dostał i nalegał, by wszyscy dżentelmeni udali się wraz z nim z kościoła do Langrigg i pomogli mu odzyskać gotówkę. Zastali jeszcze pani brata w domu. Usłyszał tętent koni i kazał zabarykadować drzwi. Po czym stanął w oknie z pistoletami w rękach.

- Strzelał do nich?

- Nie, sir. Dostał jakiegoś ataku. W jednej chwili szykował się do oddania strzału, a w następnej wył jak ranne zwierzę. Tak mówił jeden ze służących. Nie

poznawał nikogo, nawet swoich najbardziej zaufanych ludzi. Kiedy lokaj zobaczył, jak się sprawy mają, otworzył drzwi i wpuścił panów do domu. Pan Munro zabrał swoje pieniądze i odjechał. Pułkownik Anstruther zajął się całą resztą. On... on wezwał lekarza do pani brata. Doktor stwierdził, że trzeba go zawieźć do Bedlam. Dla jego własnego bezpieczeństwa. Przykro mi, milady.

Cassie odetchnęła głęboko i zamknęła na chwilę oczy.

- Niech Bóg się nad nim zmiłuje, ale może dobrze się stało - wyszeptała. - Już od kilku miesięcy podejrzewałam, że James pograża się powoli w szaleństwo. Coraz częściej miewał ataki furii. Groził mnie i innym. Napiszę do pułkownika Anstruthera z prośbą, by sprawdził, czy James ma tam właściwą opiekę. A potem... - Urwała i spojrzała na Rossa. - Wybacz. Powinnam najpierw skonsultować to z tobą.

- Sądzę, że postępujesz właściwie, kochanie - przerwał jej Ross. - Twój brat był człowiekiem nikczemnym, ale jeśli popadł w obłęd, a wszystko wskazuje na to, że tak właśnie się sprawy mają, trzeba go odizolować i otoczyć opieką. Napisz do pułkownika Anstruthera. Dopilnuję, by znalazły się pieniądze na opłacenie kuracji Jamesa.

- Dziękuję - szepnęła Cassie cicho. - Po tym, co próbował ci zrobić, zachowujesz się wyjątkowo wspaniałomyślnie.

- Robię to tylko dla ciebie, kochanie, i dla twojego spokoju. Nie dla niego.

Dwa pocztowe dyliżanse, każdy zaprzężony w czwórkę koni, zatrzymały się przed Graham Arms w Longtown. Z tyłu drugiego zostały uwiązane trzy wierzchowce.

Cassie przyglądała im się w zamyśleniu z okna bawialni. Jej mąż nie szczędził wydatków, by ich podróż do Londynu trwała jak najkrócej i była jak najwygodniejsza, ale konie? To dziwne.

Ordynans wrócił po ostatnie bagaże.

- Ty nie jedziesz, Fraser? Mój mąż... - Zająknęła się, wymawiając ten wyraz. - Kapitan Graham mówił, że przyprowadzisz konie do Londynu etapami, żeby się nie zmęczyły.

Służący wyraźnie unikał jej wzroku. - Eee... Morag... ona... no, zaproponowała, żebyś pojechał z nią dylizanssem. Tylko jedną czy dwie stacje. Żeby dotrzymać jej towarzystwa. Najwyżej do Penrith, milady. Stamtąd odprowadzę konie etapami.

- Rozumiem. - Cassie zagryzła wargę, żeby ukryć radosny uśmiech.

Co za nowina! Fraser i Morag?!

Była niemal pewna, że ordynans wybiegł z pokoju zaczerwieniony po uszy. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, zaczęła tańczyć wokół pokoju, podśpiewując sobie reela.

Fraser i Morag! Nic nie mogło jej bardziej ucieszyć.

Nagle mąż złapał ją w talii i uniósł do góry.

- Skąd się tu wzięłaś? Ja... Obrócił się z nią dokoła.

- Wślizgnąłem się, kiedy nie patrzyłaś. Tańczyłaś i śpiewałaś tak zapamiętała, że mógłby cię podejść lew ludojad i też byś nie zauważyła. Wrrr!

- Marny z ciebie lew! - Uwolniła rękę z jego uścisku i wsunęła ją w gęste, rude włosy Rossa. - Masz zbyt krótką grzywę. W dodatku w niewłaściwym kolorze.

- Co za impertynencja! Poczekaj tylko, jeszcze się oduczysz zwracać się w taki sposób do małżonka, pani Graham. - I zaczął wirować z nią tak długo, aż zakreśliło jej się w głowie i przyłgnęła do niego. Wtedy upadł na kanapę, nie wypuszczając jej z ramion. - Wystarczy ta nauczka czy mam to powtórzyć? - zapytał z łobuzerskim uśmiechem.

Ale żona doskonale wiedziała, jak sobie z nim radzić. Zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała w usta. Natychmiast zapłonęła w nich namiętność. Uśmiech zniknął z twarzy Rossa. Westchnął głęboko.

Cassie również straciła panowanie nad sobą. Znowu poczuła gwałtowne pragnienie zerwania z niego ubrań.

- Nie - wychrypiał, przerywając pocałunek. - Nie, moja słodka wiedźmo. Nie tutaj i nie teraz. - Usiadł i postawił ją przed sobą, nie puszczając jednak jej talii. - Będzie mnóstwo czasu na miłość, kiedy weźmiemy prawdziwy ślub.

W głowie Cassie rozległ się głos protestu. Przecież ich ślub był jak najbardziej legalny. Uznała jednak, że nie ma sensu teraz o tym mówić. Później znajdzie sposób, by go przekonać. Później.

- Czas jechać. Będziemy podróżować do Londynu jak każda szanująca się para małżeńska. - Ostrzegawczo uniósł brwi i pokręcił głową. - Żadnych sztuczek, pani Graham.

Cassie zrobiła najniewinniejszą w świecie minkę.

- Pamiętaj, że pocztowcy mają oczy. I uszy. Powoli skinęła głową.

- Miejmy nadzieję, że Fraser i Morag będą o tym pamiętać.

- Co masz na myśli?

Cassie wzięła Rossa za rękę i pociągnęła go do okna.

- Widzisz? - Wskazała mu wierzchowce. - Fraser jedzie dyliżansem. Z Morag. Mówi, że tylko do Penrith.

Ross nie wydawał się zbytnio zaskoczony. Spojrzał na nią szybko z uśmiechem wyższości.

- Wiedziałaś!

- Oczywiście. Dziwię się, że ty nie wiedziałaś. Chyba będę musiał zrewidować opinię o tobie. Uważałem cię za wyjątkowo bystrą.

- Och, ty draniu! Miałam... inne sprawy na głowie. I doskonale o tym wiesz. Ja...

Drzwi otwarły się i znowu do pokoju wszedł Fraser. Najwyraźniej zdążył się już opanować, bo powiedział normalnym głosem:

- Bagaze załadowane i dyliżanse czekają, sir.

Ross i Cassie wymienili porozumiewawcze spojrzenie, które kompletnie zignorował.

- Gotowa, pani Graham? - Ross podał Cassie ramię. Przyjęła je bez słowa i pozwoliła się zaprowadzić do dylizansu.

Ross znowu przewrócił się na drugi bok. Po tak wyczerpującym dniu powinien spać jak kamień. Dlaczego więc nie mógł zasnąć?

Głupie pytanie. Przecież to oczywiste. Dziś rano poślubił najbardziej zadziwiającą kobietę na świecie, którą będzie wielbił do końca życia, a jego śmieszne poczucie honoru sprawiło, że spali osobno. W świetle prawa byli mężem i żoną, Ross zdawał sobie jednak sprawę, że Cassie nie będzie miała poczucia, iż są naprawdę małżeństwem, dopóki nie zostaną połączeni w kościele.

Nie miał wyboru. Pomimo tego, co wydarzyło się między nimi w tamtej mrocznej szopie, a potem dzisiejszego ranka, nie miał wyboru.

Trudno mu było jednak znieść myśl, że Cassie leżała w sąsiednim pokoju, w odległości kilku jardów!

Jęknął głośno na myśl o jej rozkosznych ciele, ciepłym i ocieżalnym od snu, okrytym jedynie cieniutkim jedwabiem, spoczywającym na świeżutkich prześcieradłach... Gdyby tylko... Przesunął dłonią po pościeli obok siebie, na której powinna spoczywać, gdyby tu była. Gdyby była przy nim.

Zerwał się z łóżka i otworzył okno. Chłodne nocne powietrze owiało jego nagie ciało. Nie zdołało jednak ostudzić płonącej w nim namiętności.

Czy taka udreka będzie jego udziałem przez wszystkie noce, które spędzą w podróży? Jeśli tak, to do Londynu dotrze jako cień człowieka, ponieważ przez całą drogę ani razu nie zmruży oka.

Wychylił się z okna i spojrzał w gwiazdy.

Może powinien spróbować je policzyć? Jeśli nie pomogą mu zasnąć, to może przynajmniej oderwą jego myśli od Cassie. Starł się rozpoznać

konstelacje. W Hiszpanii robił to często. Na przykład Wielki Wóz. Zwykle łatwo go było znaleźć. Powinien być...

Gdzieś w pobliżu zaskrzypiała podłoga.

- Kto to?

Ross szybko cofnął się w głąb pokoju i odwrócił w stronę drzwi. Nie zamknął ich na klucz? Był niemal pewien, że to zrobił. Może hałas dobiegał z korytarza?

Przez dłuższy czas stał bez ruchu, wyężając wzrok i słuch.

Nic.

W końcu uznał, że jest sam w pokoju. Powinien wrócić do łóżka i postarać się zasnąć.

- Och, Cassie - westchnął. - Gdybyś wiedziała, co ze mną wyczyniasz...

- Wiem - rozległ się szept od strony łóżka. - Czuję to samo.

- Cassie! - Jednym susem znalazł się przy łóżku i dotknął śliskiej materii.

- Mam cię!

Odskoczyła jednak zwinnie, a jemu został w ręku strzęp oddartej koronki i kawałeczek jedwabiu. Z ciemności dobiegł go cichy śmiech. Już nie z łóżka, a z drugiego końca pokoju. Była tu! Przy nim!

Podszedł do drzwi i upewnił się, czy tym razem naprawdę są porządnie zamknięte na klucz. Była tu. Jego Cassie. I zostanie tutaj.

Uśmiechnął się szeroko w ciemności i wyciągnął się na łóżku, kładąc obok siebie skrawek jedwabiu. Czekał.

Słyszał jej szybki oddech.

- Obawiam się, że nadal nie jest to najlepszy aksamit, tylko jedwab - powiedział cicho. - Ale czy mogłabyś się na nim położyć?

Znalazła się przy nim w jednej chwili.

- Ross! Kochany! Nie odsyłaj mnie, błagam. Tak strasznie cię potrzebuję!

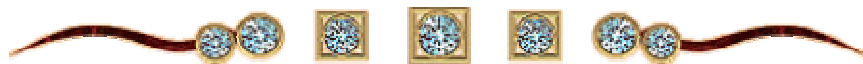
- Ciii - mruknął, przyciągając ją do siebie. Była teraz naga jak on, co przyjął bez zdziwienia. - Zmarzłaś, kochanie. Pozwól, że znów cię rozgrzeję.

Wtuliła się w niego z niskim pomrukiem i westchnęła głęboko, gdy okrył ich oboje kołdrą.

- Kocham cię, Ross - wyszeptała, całując jego wargi.

- Moja miłości. Moje życie!

Oddawali sobie pocałunek za pocałunek, dotyk za dotyk, dawali i brali rozkosz, podsycając płonący w nich ogień, aż wreszcie osiągnęli ten punkt, w którym nie ma już kobiety ani mężczyzny, jest tylko jedno radosne ciało połączone miłością.



RS